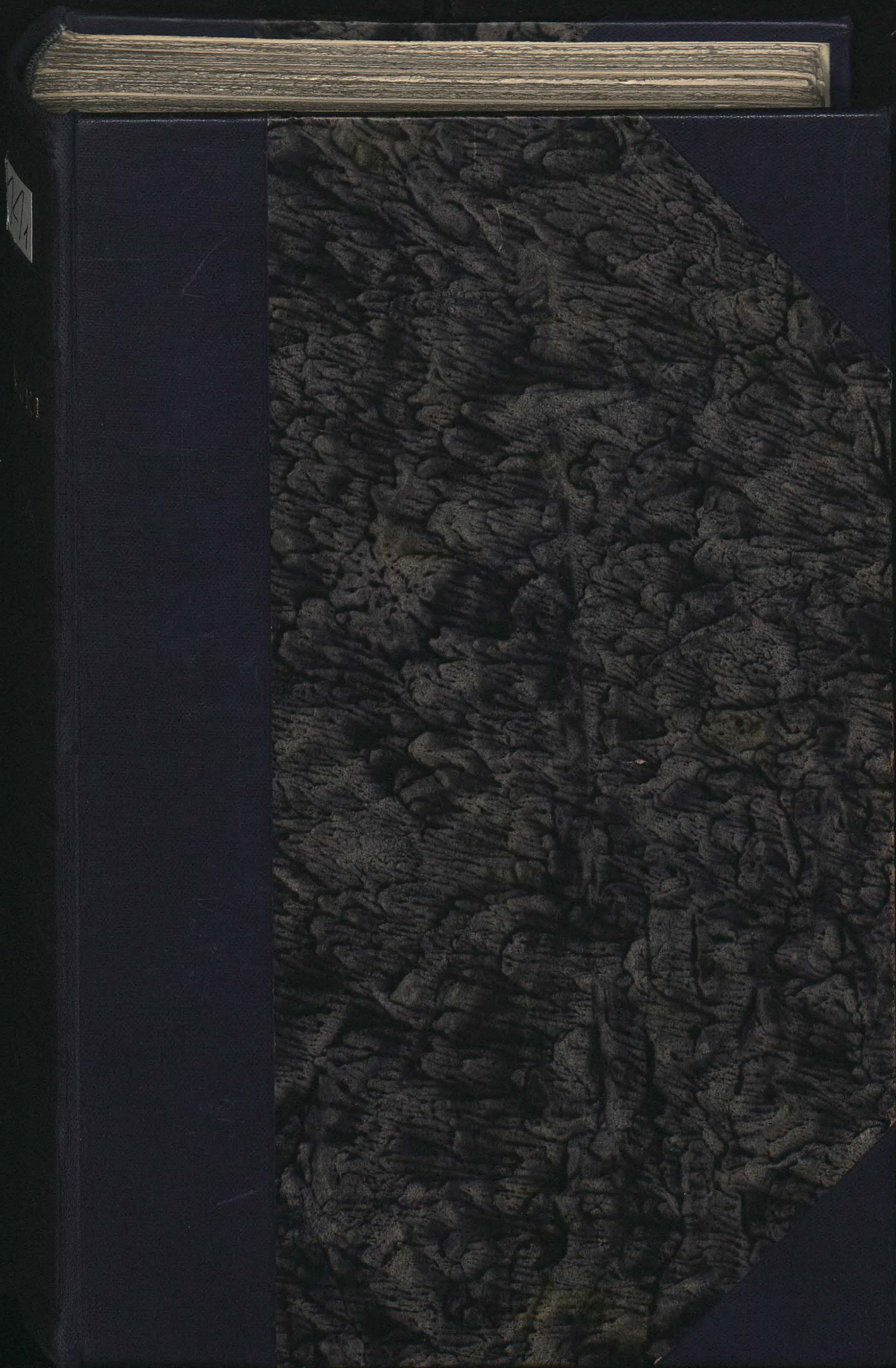

141

Oprawiono w r. 1938.



I

Bez serca.

obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

Tom. 1.

Bez serca.

Tom 1y

I.

Jednego zimowego wieczora, między siódmą a ósmą, w starym domu na Wallnerstrasse, na trzeciem piętrze, panował ruch niezwykły. U drzwi co kilka minut dzwoniono. podżyła służąca, w dosyć zaniedbanym stroju, nadąsana i zakłopotana, śpiesząc się pokazywała w progu, kilku słowami zbywała przychodzących i co prędzej biegła nazad.

Chłopcy z magazynów przychodzili z paczkami i mijali się na wschodach. Wewnątrz słychać było podnoszące się głosy, to niecierpliwe, to gniewne. Światła pośpiesznie przemykały się z pokoju do pokoju.

Niekiedy ruch uliczny, który w tej części miasta, w późniejszej porze dnia nie bywa tak żywy – przerywał i zagłuszał te niespokojne życia objawy-

w tym domu i tem miejscu, tak pobudzone życie zdawało się czemś dziwnem i niewłaściwem, bo ulica liczyła się do tych zacisznych, które jak sta

ruczkowie

staruszkowie do spokoju i życia
regularnego trybu nawykły. Starym
murom rozkłopotanie się także nie
przystawało. Kamienica w której
się to działo wyglądała bardzo poważ-
nie, prawie smutno. Zewnątrz
miała tę barwę szarą, która więk-
szy przyobleka, fizjognomią nie-
których, takich jakie w końcu XVII
i XVIII w. przybierały domy przyzwoi-
te.

Budowniczy nie wysilał się wówczas
już na oryginalności pomysłów, szedł
posłusznie za formami przyjętemi
i styl kamienicy godził się doskonale
z całym szeregiem obok stojących
sióstr rodzonych, mało co od niej młod-
szych i starszych.

Wszystkie one siedziały nachmurzone,
posępne, w takich samych popiela-
tych sukienkach, z jednakiemi powy-
ginanemi ozdobami i połamanemi
gzemsami, stroiąc w te same
kwiatki, sznury i pilastry.—

W takim domu można się było domy-
ślać tylko ludzi spokojnych i niepo-
trzebujących wiele słońca, ani do

wszystko powiększała ale murów za-
cisznych, utrzymujących zimą ciepło,
chłód latem a w pośrodku miasta
umieszczonych, z którem ich życie
wiązało.
To niezwykłe poruszenie wieczorem,
hałas, bieganina i stukanie drzwia-
mi, w spokojnie, statecznie wyglą-
dającym domu, wywoływało też
na innych piętrach niepokój i zdu-
mienie. Służące wychodziły na
wschody, ciekawie głowy zawracające
ku górze i chcąc odgadnąć co tam
takiej burzy i zamięszanie spowodo-
wało.
Wewnątrz mieszkania, której część
stała w tej chwili nieoświecona,
ruch i niepokój skupiał się cały
w jednem miejscu. Salonik i mały
gabinet przytykające do tego pokoju
były ciemne i puste; tu na stolikach
lampa, po komodach i półkach
stały rozstawione w nieładzie świe-
ce. – Z ulicy patrząc można było
z przesuwających się szybko cieniów
wnosić że się tu żywo i niecier-
pliwie krzątano.

Tak było w istocie.
Pokój ten był razem sypialnią i garderobą kobiecą, ale teraz panował w nim taki nieład, tak wszystko było porozrzucane, iż o mieszkaniu, jak w stanie normalnym wyglądało, trudno było powziąć wyobrażenie.

Na krzesłach, kanapie, stolikach, na ziemi nawet, na parawaniku kominek zasłaniającym, leżały wszędy powydobywane z szaf i kufrów różne części stroju kobiecego, poczynając od całych sukien do drobnych gałganków, wstążek, kwiatów, bielizny, rękawiczek, chusteczek i klejnotów.

Ani łóżeczko z podniesionym do góry pawilonem, ani dwie komody z na pół powysuwanemi szufladami ani nawet koszyk na drzewo przy kominku wolne od nich niebyły.

To wydobywanie najrozmaitszych części stroju, ze wszystkich kryjówek, kazało się domyślać, że

że pani władająca niemi nie była jeszcze pewną co na siebie włoży. Zwyczajnie spóźnioną porę, nie można się było dziwić że w chwili tak stanowczej mogła ją, z tego powodu opanować niecierpliwość, która w ruch gorączkowy wprawiała całe otoczenie.

Nie było ono liczne, ale poruszało się tem żywiej i fizjognomja też tego wnętrza sypialni nie dowodziła wielkiego dostatku. –

Stroje porozrzucane dokoła wyglądały wykwintniej od samego mieszkania z meblami staremi i zużytemi i ustawionemi więcej dla potrzeby niż wdzięku.

Każdy ktoby, choć przez dziurkę od klucza, wolno było ciekawem okiem zajrzeć do tego pokoiku, główną uwagę zwrócić musiał na tę, około której tu poruszało się, obracało i biegało rozkazom posłuszne wszystko.

Była to młodziuchna (tak się przynajmniej wydawała) osóbka nieco-

nieubrana jeszcze całkowicie, w gorsecie i spódniczce, z pięknie utrefioną, kruczemi włosami okrytą główką, – przyglądająca się własnej sobie w wielkiem trumeau, na pół pękniętem i nie zbyt już jasnem.

Zaprawdę mogła by być kontenta z tego co jej zwierciadło mówiło, choćby nawet nieco zamglone – i każdy coby ją zobaczył stojącą tak przed niem a jak posąg wdzięczną i cudnie ukształtowaną, musiał być obrazkiem tym oczarowany. –

Była to jedna z tych istot szczęśliwych, które natura na drogę życia wyposażała tak bogato pięknością i wdziękiem, jakby one wszystkie inne jej dary miały zastąpić.

Lecz, jakże to trudno, taką polską „tanagryjkę" opisać!!

Cudownie była piękną, a co więcej, miała jedną z tych piękności oryginalnych, wybitną indywidualnością nacechowanych, których główny wdzięk zawisł na czemś nieokreślonem.

co ni pochwycić nie daje.

Patrząc na klasycznie regularne rysy, które w jednej chwili, jednem niczem umiały przybrać charakter coraz nowy, odmienny, nie tracąc swej właściwości — trzeba było zdumiewać niesłychanemu cieniowaniu do jakiego one były zdolne.

Począwszy od główki, bujnemi, kruczemi włosami okrytej, które się buntowały przeciwko grzebieniom i szczotkom, koniecznie układając w pierścienie — aż do malusieńkiej nóżki, zachwycającego kształtu, wszystko w niej było idealnie pięknem.

Nie była to Venus z Milo, lecz niby Psyche, niby Hebe starożytna, napół niewinna jak dziecię i jak dziecię rozpieszczone swawolna.

Kształtów pełnych już i dojrzałych, które przez to nie straciły młodzieńczego wdzięku, piękne dziewczę, oprócz innej broni, miało dwoje

oczów czarnych, jakim równych trudno było znaleźć nawet tam, gdzie jest tych czarnych diamentów ojczyzna.

Oczy to były które mówiły co chciały, a choć wyraz chłodnego lekceważenia [redacted] w nich przemagał i duma niemi błyskała — umiały być i słodkie, wyzywające, pokorne, błagające — naiwne.

Profil twarzy w który były osadzone, czoło, usta, owal jej zdały się ze starożytnego medalu wzięte, tak były nieskazitelnej piękności.

Nawet w tej chwili, gdy wyraz ust i ściągnięcie brwi zdradzały niepokój i rozdrażnienie, a przeglądająca się w zwierciadle niepotrzebowała zmuszać się do nadania sobie wdzięku — choć nadąsana, twarz owa była cudnie piękną.

Ale dobroci, łagodności, ślad na twarzyczce nie pozostał, i można było powątpiewać, czy one kiedy tu nie przemieszkały.

wyrazu tych ślicznych ale skrzywio-
nych i zaciśniętych ust można się
było ulęknąć, równie jako pioruna-
jących wzroków oczu. Nie była to
już ani Psyche, ani Hebe, ale
jakieś bóstwo grozy pełne.
I wpatrując się w nią baczniej mo-
żna się było dobadać że ten wyraz
najzasadniczym był fizjognomij, której
dobroci i słodyczy uroku brakło.
Piękność jej malująca budziła raczej
niepokój i trwogę niż sympatję.
Oczy hypnotyzowały więcej niż po-
ciągały ku sobie.
A jednak nawet gdy tak się stawała
groźną, nie można się było wstrzy-
mać spojrzawszy od wykrzyknika:
— O! cudo!
Stworzoną się czuła snać do pano-
wania, bo ruchy miała królew-
skie, i głowę niosła jakby na
niej już diadem dźwigała.
Otyła. Kwaśna. potargana, zmięto-
na, z twarzą czerwoną i potem o-
krytą, — zniechęcona sługinca, o-
dziana niedbale i prawie ubogo.

Dolzi niezgrabnie kręciła się około swej pani. Widać było po niej że straciła zupełnie nadzieję, żeby jéj mogła dogodzić.

Na twarzy pomarszczonéj, zlękanéj, kroplistym potem okrytéj, wyryte tem było:

— A! kiedyż się to raz skończy!

Oprócz niéj, opodal nieco stała druga pomocnica czy doradczyni, która również zdawała się znudzoną. Ale na jéj ustach do wyrazu zniechęcenia mięszała się odrobina ironii jakiejś.

Była to kobieta lat średnich, ubrana jak do domu, lecz z pewnem staraniem aby się zbyt starą i zaniedbaną nie wydawała. Ślady dawnéj piękności, jednéj z tych pospolitych a długo trwałych, które blondynkom świeżo się wydawać dozwalają prawie do starości, czyniły tę panią Dolzi jeszcze powabną. Mogła jednak mieć lat czterdzieści z okładem, choć się do

do nich zapewne przyznawać nie myślała.

Kształtów nieco pełnych, ale utrzymowana starannie, ściśnięta może do zbytku, chwaliła się postawą zdała jeszcze dosyć zręczną. Wyraz jej twarzy, równie jak pięknej panny, nie odznaczał się dobrocią, lecz nie zbywało mu na przebiegłości. Było w niej jeszcze wiele namiętności choć już ukołysanych, dużo ognia i życia, lecz jakby gwałtownie zepchniętych wewnątrz, aby się na świat nie pokazywały. Niebieskie blade jej oczy patrzały bystro i rozumnie, ze spokojem który daje wiek i doświadczenie.

Jedną ręką w bok się wsparłszy, drugą pierścionkami okrytą trzymając na piersiach, spoglądała na pannę przed zwierciadłem tupiącą nóżkami z niecierpliwości, i zdawała się szydzić w duchu może więcej z jej gniewów, niż się lito-

litować nad nią.

Pięknej dziewczynce nic nie przypadało do smaku, niczego nie było dosyć, nic nie przychodziło w porę. Rozkazywała podawać sobie różne części stroju, przykładała je przed zwierciadłem jedne do drugich i do siebie, potem zżymała się i rzucała niemi.

Zegar stojący na kominie, stary, niesmaczny XVIII wieku zabytek, z bronzu poczerniałego i zabrukanego marmuru — właśnie wybijał pół do ósmej. Oczyma gniewnemi, posłyszawszy jego brzęczenie, panna rzuciła na godzinę, która się przypominała, nóżkami zaczęła tupać znowu i wyprawiła po coś służącą, która zdawała się bardzo rada temu, iże wyjść mogła.

Krótką chwilę panowało milczenie, które pod[illegible] jejmość, uśmiechając się przerwała:

— Nie gniewaj że się, nie niecierpliw,

Balbino, — więc mi wszystko to zostawi ślady na twej pięknej twarzyczce; a choć ona dzięki Bogu stracić na tem nie może i będzie jeszcze aż nadto piękną by wszystkim głowy pozawracała, wolałabym atoli przed ludźmi ukazała się spokojniejszą, weselszą a nie tak rozmarzoną.

Pamiętaj, że cię to starzeje uczyni.

— A! a! — śmiechem zimnym parsknęła dziewczyna, na chwilę zwróciwszy się ku mówiącej i natychmiast znowu przeglądając się ku zwierciadłu. Bądźcie proszę o mnie spokojną, szanowna pani Balbino. Macie mnie zawsze jeszcze za jakieś dziecko, potrzebujące przestrogi... O, o! więcej mi potrafię być czem zechcę, i jaką mi będzie potrzeba.

— O tem ja nie powątpiewam bynajmniej, z małym przekąsem odpowiedziała Balbina — ale to jest źle gdy się do czegoś przymuszać potrzeba... Lękam się czasem, atoli zanadto

nadto

zanadto rozumu i rachuby nie mia-
ła, bo rozum i rachunki często
zawodzą.
W obu głosach kobiet brzmiało jakieś
szyderstwo i szacunek ich. Obie musia-
ły żyć z sobą ciągle, zapominały się
nie zbyt przyjaznym. Widocznie były
na wojennej stopie, choć walki star-
sza zdawała się unikać.
Kolina odparła żywo.
— Dziękuję za te owoce doświadczenia,
którymi raczycie dzielić się ze
mną.
Pani Balbina rzuciła na nią wzro-
kiem, w którym pragnienie ze-
msty zabłysło, lecz wnet siłą woli
się poskromiła i rzekła z cicha.
— Życzcie mi, dobrze wam życzę.
— A! nie wątpię i nie wątpię, żywo
i śmiejąc się ciągnęła dalej Koli-
na. Wy równie chcielibyście się
mnie pozbyć z domu, jak ja się
z niego wydobyć życzę! W tem
jednem najzupełniej się zgadzamy.
I śmiała się bez najmniejszej ocho-
ty do śmiechu.
— Niestety — mruczała ubierając się,

zbliżając się — ani wasze modlitwy na to, interwencje ani moje starania o oswobodzenie dotąd nie skutkują.

— Ah! zapewne — dodała zbliżając się do sukni, którą pani Balbina pośpieszyła się pomódz jej wkładać — wydobyć się z tego ohydnego, ciemnego kąta, z tego wstrętnego ubóstwa, z tej więziennej uliczki, byłoby moje szczęście, gdybym się ja mogła lada czem zaspokoić. Ale ja się czuję stworzona do innego świata i w nim stanowisko sobie zdobyć muszę.. wysoko, wysoko! Muszę! muszę!!

Ostatni wyraz podniesionym głosem wykrzyknęła namiętnie. Cała jej dusza w nim była..

Po ustach milczącej pani Balbiny przesunął się uśmiechek ironiczny. Brak odpowiedzi zmusił czarne oczy do zwrócenia się na towarzyszkę, której wyraz twarzy szyderski jej nie uszedł..

— Wątpicie o tem! zawołała..

— Ja? bynajmniej, chłód udając

odpowiedziała Balbina - Tylko te środki które Rolina obiera dla osiągnięcia celu swych życzeń, nie zawsze mi się odpowiedniemi wydają.

- A ty? ironicznie spytała, nie przestając się ubierać z pomocą towarzyszki, piękna panna - napuszy-ład?

- Mówiłam ci kilka razy - flegmatycznie poczęła Balbina - nadto się rwiesz gorączkowo, zbytnie-spokojnie czegoś zachwycasz - Narzucasz się niemal - rozpraszasz na wszystkie strony. - Może to być zabawnem i odpowiadać temperamentowi, ale - jeśli mowa o rachunku - poważniejsze, umiarkowańsze, ostrożniejsze obchodzenie się z ludźmi, przy twojej piękności, z pewnością prędzej by cię doprowadziło do celu. Masz zawsze, co najmniej czterech lub pięciu podbitych i rozkochanych w tobie, łudzących się jakiemiś nadziejami --

Rolina przerwała trochę gniewnie.

— Proszę bardzo, proszę — nie troszcz-
cie się tak o mnie... Niepotrzeba
mi kurateli —
Zajmująca tą rozmową przerwała
wdziewanie jedwabnej sukni
spodniej, na którą drugą krepową
wkładać się jeszcze miała.
Rolina przybliżyła się do zwiercia-
dła. Zaczynała być z siebie ra-
da i oczy jej się uśmiechały.
Suknia doskonale malowała cud-
ną jej kibić. Utoczone ramiona
i biust wychodziły z niej kształty
tak wdzięcznemi! Barwa ubrania
złotawa, okrywająca ją krepa i
koronki, tak doskonale harmoni-
zowały z płcią jej nieco śniadą!
— Prześliczną jesteś! zawołała
jakby mimowolnemu ulegając wra-
żeniu Walbina.
Zwycięzki uśmiech Roliny po-
twierdził to uznanie, które na
nieprzyjaciółce wymogły uroki jej
piękności —
Z pośpiechem jęto teraz dopełnianie
tej toalety; i Walbina podawała

jej ogniste róże, które między
tkwiły we włosach czarnych i u
boku, przepaskę i rękawiczki z ca-
łym regestrem guziczków, zapina-
jących się wesoło.

Wszystko to ~~[illegible]~~ co na siebie brała
Rozalina, było z wielkim smakiem
obmyślane, wytwornem i pańs-
kiem się wydawało na oko. Nic
Także było dostrzedz w tym zbiorze
drobnych fatałaszków i wybiegów, któ-
remi ubóstwo posługiwać się mu-
si, gdy chce rywalizować z do-
statkiem i udawać to czem nie
jest.

Ósma godzina biła na starym
zegarze, gdy dziewczę zupełnie
już do wyjazdu gotowe, ostatnim
rzutem oka oceniwszy ubiór swój
w zwierciedle, przypięło mały
zegareczek do pasa, poprawiło
kameę, która, luźnie wpięta była,
i — zmęczona, z ostrożnością aby
nie pomiąć stroju, siadła na krze-
śle, odpocząć.

Pani Balbina, która też pokosztowała
przysmaku, opadła się nieco umieś-
-ciła.

słońca, które ~~weszło~~ (wróciła) w czasie ubie-
rania, — a tej też się nie udawało
brakować — posprzątawszy trochę po-
zostałości toaletowe, wyszła stąd
oddychając, że się raz ubieranie
skończyło.

Balbina oka nie spuszczała z mil-
czącej dziewczęcia, którego humor
dosyć pokaźny, zdawał się niebar-
dzo godzić z ubiorem i zabawą,
na którą się wybierać musiała.

Wśród milczenia przerywanego tylko
głuchym chodem zegara i turko-
tem wozów dolatującym z ulicy,
w sąsiednim salonie dały się słyszeć
kroki powolny, przybliżył się ostrożnie
do drzwi, zapukano i męski głos
zapytał:

— Czy można?

Pani Balbina żywo się z krzesła pod-
niosła i podbiegła ku drzwiom, wo-
łając głosem wesołym:

— Prosiemy! dziś jesteśmy wcześnie
gotowe..

Drzwi uchyliły się powoli, ostrożnie
i do pokoju wszedł, z pewną nie-
śmiałością, mężczyzna w mundu-
rze, z kilku na piersiach krzy=

Krzyżami.
Był to człowiek już stary, z głową siwym, krótko ostrzyżonym włosem okrytą, twarzą mocno ogorzałą i całą jak jabłko pomarszczoną — ale dobrodusznego, spokojnego wyrazu. Maleńkie oczki piwne, wąsik podstrzyżony i zakręcony do góry, czoło niskie i pofałdowane, usta do szczętu szerokie i zapadłe, broda wystająca naprzód, sprawiająca tej twarzy niemal komiczną i do dziadka od orzechów podobną — Łagodność tylko i wypiętnowana na niej rezygnacja uszlachetniały ją nieco.
Pomimo wieku trzymał się sztywno, prosto, po żołniersku, choć w ruchach miał zarazem coś bojaźliwego. Znać na nim było życie całe spędzone w karności wojskowej, w pracy ciężkiej, która się nie bardzo opłaciła.
Smutek też, z którym się on już oswoił i zrósł z nim, okrywał mu czoło zmarszczone; mówił z maleńkich oczek kryjących się pod nawisłemi brwiami.

Wejrzeniem miłości razem pełnem
i obawy zmierzył wchodzącą piękną
Rolinę, która spojrzała nań także
ale dużo ostro i jakby z wyrzutem,
którego zataić nie chciała.

— Jak anioł jesteś piękna! jak anioł!
szepnął stając w zachwycie przed sie-
dzącą, która mu się uśmiechnąć na-
wet nie raczyła.

Niespokojna była i zadumana.
Siedząca z boku Balbina ramiona-
mi poruszyła nieznacznie.
Dziewczę w istocie było cudownie
pięknem, chociaż nie tą pięknością
anielską, o jakiej mówił stary, która
daje łagodność i dobroć serca, ale
jakąś dumą zbuntowanego anioła,
który świat do walki wyzywa.

— Zmęczona, już być musisz - przemó-
wił przybyły, usiłując jak najła-
godniejszą przybrać intonacyę, aby
rozdrażnionej nie narazić sobie.
Powinnaś być jednak kontenta
z nas i z siebie.. Wszystko się stało
po twej myśli. Jesteśmy zaproszeni
do księżnej, będziesz grać w jej
amatorskim

amatorskim teatrze, przewracasz
wszystkim głowy...
Piękna Kalina malutką rączkę ślicz
nych kształtów pogardliwie jakoś
rzuciła.
— Ach! przeczucie tak kwaśno. Papie
cio to zdaje się szczytem tego coś my
marzyć i osiągnąć mogli — a dla
mnie, to dopiero próg do tych
wschodów na które ja wejść mu
szę...
Uderzyła rączką o rękę.
— Gdyby świat cię oczami umieć
pracował ojciec przypochlebiającej się,
więcej by cię na rękach na te wy
żyny! Lecz prędzej później po
znają się na mojej Kalince. Jes
tem pewny że i dziś nadzwyczaj
ną wywołasz sensację... Dziś spój
rzeć na ciebie!
Roztargniona, o czem innem myśląca
panna, zaledwie zdawała się słu
chać ojca, który odpowiedzi nie
otrzymawszy, poszedł do zegara.
— Ale to już po ósmej! rzekł trochę
niespokojnie—

— Do pałacu Księżnej nie mamy nad dwadzieścia minut drogi, nawet tą obrzydliwą dorożką, którą jechać musiemy — odparła Kalina zawsze kwaśno. — Zbyt wcześnie, właśnie nam przybywać nie wypada. Naznaczona godzina dziewiąta, wszyscy się spóźnią —

— Ale ty, z powodu teatru, musisz potrzebować być nieco wcześniej — odezwał się ojciec troskliwie.

— Ah! nie! nie! już się niecierpliwie odparła panna. Ja do teatru wcale nie zmieniam stroju, urządziłam się tak że wystąpię jak jestem. Wyjedziemy z tąd o dziewiątej i w czas jeszcze będziemy —

Ojciec skłonił się posłusznie, miał we zwyczaju nigdy się jej nie sprzeciwiać.

— W takim razie, [illegible], pozwolisz mi że pójdę dokończyć moje cygaro, którego potem nie będę już mógł palić przez cały wieczór.

Córka nic mu na to nie odpowiedziała. Stary wojskowy wysunął się po cichu, dwie kobiety zostały same. Towarzystwo pani Kalliny, nie zdawało

zdawało się być zbyt miłem Rolinie
Unikała spotkania ze wzrokiem, któ-
ry z niej nie schodził.

— Powinnaś być wesołą, odezwała się
zawsze z pewną ironją Balbina,
spotkasz tam ~~[illegible]~~ wielu twoich czci-
cieli. Jeśli kiedy to dziś będziesz
miała nie małe zadanie, żadnego
z nich nie zniechęcić, a wszystkich
przy swym rydwanie utrzymać.

Rolina spojrzała ostro na mówiącą,
i odparła z wyrazem pogardy.

— Zawsze jedna i jedna piosenka! Wy
rzucacie mi tych mnogich moich
czcicieli. Zdaje się ci, że jak nie-
doświadczone stworzonko, rady sobie
nie dam z niemi! Dla innych może
i powinno to być tajemnicą, ale dla
was coście mnie wychowywali, moje
dwadzieścia trzy lata niczem nie są.
Był czas nabyć doświadczenia!!

Roześmiała się dziko trochę.

— Kochana Rolinko! przechylając
się ku niej poczęła, głosem niesto-
sownym do epitetu pani Balbina.
— Kochana Rolinko — Wszystko co
powiem masz mi za złe, choć wi-

w istocie troszczę się o ciebie, życzę
ci najlepiej. Właśnie to co by człowiek z
doświadczeniem, a ja straconym cza-
sem, niespokojną mnie czyni-
z twoją pięknością i rozumem, do
dwudziestu trzech lat nic nie zro-
bić--

Rolina gniewna zerwała się z krzesła:
jedka, na której była przyglądała.
Oczy jej się paliły.
— I nie widzicie tego, zawołała, że
to przecie nie moja wina, że ja
jestem ofiarą, tego — (wskazała na
drzwi którymi ojciec wyszedł) — tego
położenia, tego naszego sromotnego
ubóstwa, zaniedbania się..
Gdyby nie ja, nie moje starania,
czybyśmy mieli jakie stosunki?
Byłabym zmuszona wyjść za ja-
kiego lichego urzędnika, albo takiego
jak on, wojskowego bez przyszłości...
Gdyby nie ja któżby nas znał? Któ-
by nas myślał zaprosić?
O! o! te pięć lat nie zostały stra-
cone — nie! Wydobywam się albo
raczej spodziewam się dobyć z tej
dziury obrzydłej, w której mnie
obojętność

obojętności ojca wrzuciła.

Ciągnęła dalej, coraz się rozzamięśniając.

— Dosłużył się przez całe życie, ledwie pod półkownika, w dymisyi dopiero półkownikiem został! Tyle lat zmarnował! Nieumiał, niechciał się nigdy na wierzch wybić. Ta apathja go zgubiła i ta śmieszna manja antykwarska, dla której wszystko poświęcić gotów, — nawet mnie! Tak! nawet mnie!

— Niesprawiedliwą jesteś względem ojca — odparła Rabbina zarumieniona. To najlepszy w świecie człowiek! Przecież do tego jednego co go bawi, rozrywa, czem żyje — ma prawo. Jesteś egoistką okrutną.

— Ah! roześmiała się Rolina — Egoistką! Jak gdyby świetny mój los nie podniósł ojca? ale on dla mnie niechce i nieumie nic uczynić — nic! Dziś! jestem pewna, na ten wieczór bliższy, — że mnie prowadzić musi — nauczka w duchu i starzy się, jakby największą czynił ofiarę...

Rabbina poruszyła ramionami.

– Biedny pułkownik, myślała. gdyby życie dał dla ciebie i tego by ci było mało.

Rosina może nie dosłyszała tych wyrazów, bo słuchać więcej nie chciała. Poszła do wielkiego zwierciadła, zaczęła się w niem sobie przyglądać na wszystkie obracając strony, poprawiła włosów, twarzyczka jej przybrała wyraz wesoły i szyderczy.

Myśli jej pobiegły w innym kierunku.

– A! zawołała wesoło – dziś ich podbijam wszystkich! Naprzód te moje nieśmiałe, rozkochane wszystko-ślicznie chłopię, a także bojaźliwe, stworzone – a tak szalejące za mną! Straci głowę hrabia .... choć bardzo doświadczony i tak pewny siebie! Francuz też, gdybym tylko chciała.. ale, zdaje mi się, że opanowawszy go nawet, wielkiej tam przyszłości nie ma – Nic, nic! Jego dostatek cały na popis obrachowany.. a przytem fantazje, i ze starą hrabiną, zerwać mu trudno!!

Hiszpano-amerykanin, o którym

ci wspominałam że oni za mną włó-
czy, niepodoba mi się wcale. Brzyd
ka, dzika twarz, jakieś oczy zwierzęce,
ale mówią że ma miljony i to go
czyni prawie przystojnym, przynaj-
mniej znośnym.

Zamyśliła się nagle, urwała i za-
milkła.

— Zdaje mi się — przerwała Balbina, że
wszystkich nie wyliczyłaś..

— O! nie! nie! śmiejąc się perłowe-
mi ząbkami odpowiedziała Kolina
ale tych o których zamilczałam,
dzisiaj większej nie spotkam. —
W różnych sferach mam potrzebnych
mi czcicieli —

— Którymi się doskonale i nielitości-
wie wysługiwać umiesz? nie
prawdaż? szepnęła Balbina.

— A od czegóż oni są? — mówiła oka
nie spuszczając ze zwierciadła
Kolina — alboż mój uśmiech i uś-
ciśk ręki nie są warte usług ja-
kie mi oddają??

— A twe serce? spytała Balbina.

— Serce!! rzuciło żywo dziewczę — Wierz
mi, że ja niewiem czy je mam..

i czy to co wy nazywacie sercem
mieć będę kiedy – Mniej więcej są
mi wszyscy obojętni gdy nie są po-
trzebni – Wiktor, jestem szczerą –
Czasem, twarz nowa, człowiek nowy,
młodość, pewien wdzięk, czynią na
mnie jakieś wrażenie. Jestem nie-
spokojną, mogłabym się pokusić o za-
kochanie, gdybym siebie nie znała.
Ale – nie boję się, bo wiem że zobojęt-
nieję prędko. Człowiek zajmuje mnie
póty póki jest dla mnie zagadką..
Zresztą, wy to wiecie najlepiej, bo
przed wami z tego nigdy nie czyni-
łam tajemnicy, że moim celem je-
dynym, który muszę osięgnąć, jest
zamążpójście – co się nazywa – świetne
Imię wielkie i miljony! w ostateczności
chciałabym miljony bez imienia – ale
te muszę mieć koniecznie!!
Brzydzę się ubóstwem, nie cierpię
go, – a może więcej jeszcze tym nędznym
udawanym dostatkiem, którego po-
zór tysiącem ofiar okupywać po-
trzeba.
Dwadzieścia i trzy! Jeszcze lat kilka
dobijać się mogę.. potem...
Balbina wstała, pokryła i uśmie-
chała się

się nieznacznie.

— Nie chciałabym czekać aż do ostatniego kresu — odezwała się — pierwszy milijoner jaki się nastręczy —

Dziewczę nic nie odpowiedziało; a po chwili, mówiło szyderczo znowu.

— Ma to swoją zabawną stronę. Dokoła ci wszyscy rozmarzeni, oszaleni, drżący, niespokojni, ta atmosfera passyi, a ja wśród niej tak zawsze pewna siebie, tak zimna, tak obojętna.. Śmieję się z nich w duszy.. Wiesz — dodała zwracając się do kuzynki — mam już taką wprawę, że przebieg każdej z tych miłości, które obudzam, mogłabym naprzód przepowiedzieć. Wiem co mi który z nich powie i kiedy.. co mój uścisk ręki wywoła, jakie wrażenie zrobi wzrok..

— Lub.. coś jeszcze więcej! złośliwie szepnęła cicho Balbina.

Rolina zarumieniła się nieco.

— Choćby i coś więcej! odparła hardo. Wiem bardzo dobrze czem i kiedy kogo nagrodzić lub zachęcić — bądź spokojną.

— Nagrodami za zasługi nie życzy-

życzyłabym jednak zbyt skwapliwie — odezwała się Balbina.

— O! proszę mnie nie uczyć i być spokojną o mnie — rzekła chłodniejsze Balbina. Jestem tak siebie pewną że mogę dobiedz do samego brzegu tego co nazywasz przepaścią — i — głowa mi się nie zawróci, nie wpadnę w nią!!

Roześmiała się dumnie.

— Nadto jestem panią siebie —

— Wierzę, przerwała zimno Balbina, spoglądając na zegar — chociaż nigdy za nic ręczyć nie można.. Dziewiąta blisko!

Gdy to mówiła pułkownik wkładający rękawiczki pokazał się w progu.

— Jedziemy! rzekł — Okryj się proszę, dobrze — weź co cieplejszego, abyś się w powrocie, rozgrzana, nie zaziębiła. Mamy odwilż wprawdzie, ale powietrze jest przejmujące.

Pomimo niezbyt wielkiej czułości, jaką starsza pani okazywała swej wychowanicy — poruszyła się z wielką troskliwością, do ubrania jej

i zabezpieczenia od zimna.

Starania te, kapryśne dziewczę przyjmowało nie okazując najmniejszej wdzięczności, z niechęcią raczej, jako dań należną, znajdując je nie dosyć zręcznemi, — odpychając opryskliwie.

Ojciec, pani Balbina, służba, skupiło się wszystko w chwili odjazdu, musiało krzątać, pomagać, zabiegać około pięknej a obojętnej królowej.

Pani Balbina idąc za pułkownikiem przeprowadziła ją do drzwi. W progu gdy Rolina już ze wschodów schodziła, stary pułkownik odwrócił się do uśmiechającej mu Balbiny i ukradkiem, nieznacznie, w twarz ją pocałował.

Okiem pełnem odrazy i wzgardy z winkielka wschodów, pozostała Jejmość ze służbą domu, powiodła za zstępującą ze wschodów ostrożnie Roliną.

Służąca ziewała i oddychała swobodniej.

— Chwała ci, panie — zamruczała

zamruczała zwracając się do Sul-
biny. — raz się to przecie skończyło!
Dobrze że nie codzień taka księżna
daje wieczory, człowiekby nie wy-
trzymał.

II.

Wieczór ten u księżnej Matyldy
von Trauenstein, w pewnych sferach
stolicy, ale przynajmniej robił wrażenie
i niepokojące przygotowania do nie-
go pięknej Roliny, w starym domu
na Wallnerstrasse.
Księżna, chociaż nosiła ten tytuł
i należała do najwyższej arystokra-
cji, — oprócz tytułu i stanowiska
swojego na świecie — odznaczała się
oryginalnością i fantazją, którym
swobodnie cugle puszczała. Nie była
to pierwsza lepsza księżna, podobna
do wszystkich innych, — przyjęcie też
u niej nie miało być urzędowym
wieczorem ze zwykłym bufetem
i tańcami, z trochą muzyki i po-
spolitej rozmowy — na które się idzie
wiedząc z góry co ~~[illegible]~~ i kogo się ma
spotkać,

~~×~~ i jeśli stopień nudy i zmęczenia do domu się przyniesie.

Była to księżna artystka, trochę bohemy mająca w głowie i obyczajach, której główce pełnej marzeń i fanta-zyi, ciężko było pod książęcą, koro-ną. Zrzucała też ją ilekroć pozbyć się mogła.

Wieczór w jej pałacyku, który wła-śnie w tym czasie stracił był części swej ozdoby, ogrodu na place wyprze-dane rozparcelowanego (obyczajem wcale nie arystokratycznym) — był wypadkiem, rzeczą pociągającą, o której zawczasu wiele prawiono. Kto się spodziewał być nań zapro-szonym miał się za wybranego i szczęśliwego, bo mnóstwo dobijają-cych się tej łaski odejść musiało z grzeczną, odprawą. Jakkolwiek ob-szerne, apartamenta nie starczyłyby ani na połowę tych co się tam do-cisnąć chcieli.

Wielkim urokiem, atrakcyą tego wieczora był zapowiedziany fran-cuski teatr amatorski, na którym sama gospodyni miała się ukazać w roli subretki. Wiedziano że

że w niej celowała, a w Wiedniu, nawet Wiśniewie odznaczyć się tem trudno..

Piękna Rolina, której ojciec pułkownik von Makolich nie miał tak dalece rozgałęzionych stosunków i arystokratycznych znajomości, nigdyby się nie mogła dobić tego szczęścia, aby ją Wiśniewa zaprosiła, gdyby nie jej nadzwyczajna piękność, niezmierna zręczność i trochę talentu dramatycznego.

Manewrowało tak zręcznie śliczne dziewczę, tak zabiegało na różne sposoby, że się potrafiło do Wiśniewej docisnąć, dać jej poznać i oczarować ją, jak innych, dowcipem śmiałym, pewnym rodzajem rubaszności dobrego tonu. Wiśniewa, która nigdy piękną nie była a zręczną, lekką figurką i pewnym cynizmem dobrego tonu zyskiwała rozgłos w świecie, nie była zazdrosną o piękną twarzyczkę Roliny i — znajdowała ją interesującą i sympatyczną. Próby dwóch komedyjek francuskich z Roliną tak się powiodły, iż Wiśniewa ją do

do tej trupy amatorów zaprosiła.– Samo zaliczenie do niej dla biednej córki pułkownika było zaszczytem wielkim, bo na deskach dnia tego, oprócz księżnej w roli subretki, występował młodziutki Rudolf książę von Hoh-Winterburg, dwóch hrabiów, z których jeden węgierski, markiz francuz i jakaś wielce dostojna matrona.

Można więc sobie wytłumaczyć dlaczego piękna Kolina w chwili wyjazdu z domu była w gorączce, zadumana, roztargniona, niespokojna, a dumna sobą. Czuła że ten wieczór mógł o jej losie, o przyszłości stanowić.

Chciała być piękną, zachwycającą,– zwyciężką, a lękała się aby jeden z tych trafów losu, który najszczęśliwsza gra pomyśleć może, nie pozbawił jej owoców długich i przykrych zabiegów.

Jak sama pani domu, tak i pałacyk, który zewnątrz wcale się architekturą nie odznaczał, a obok nowo wznoszących się w Wiedniu wspania-

wspaniałych gmachów wyglądał staro
i ubogo — wewnątrz miał fizyognomię
oryginalną i nie pospolitą. Więcej
w nim może paryzkiego niż wie-
deńskiego czuć było, bardziej artystycznego
niż książęcego. Gdyby Sarah Bern=
hardt przypadkiem księżną została,
w ten sposób pewnie przystroiła
by salony swoje.
Nic poważnego i surowego nie mówi
ło tu o przeszłości — panią pałacu
była moda, — panowała nawet fan-
tazyi. A że ta wszechwładna królo
wa, której Paryż jest zawsze stoli-
cą, rozkochała się w rozmaitych frasz
kach, <u>bric-à-brac</u>'u, porcelanie,
bronzach, starożytnościach doskonale
fabrykowanych, w ciekawostkach
rzadkich, kosztownych, choćby brzyd-
kich i dziwacznych — salony księżnej
pełne ich były.
Nie zbywało zresztą pańskiemu
domowi na niczem co dla formy
jest niezbędnem, ani na usłudze
w liberyi świetnej, ani na kamerdy
nerach, ani na wyszukanym odźwier
nym, ani na wschodach przystrojo
nych

całym kwiatów lasem. Nie było tylko
tej nieubłaganej sztywności innych
arystokratycznych domów, która gości
paraliżuje.
Towarzystwo tu, ściśle wziąwszy, nie
było tak dobranem jakby je czystej
wody arystokracja mieć chciała. Obok
najświetniejszych imion starych ro-
dzin, dyplomatów, wysokich urzędni-
ków, rozmaitego pochodzenia eks-
cellencyj — krzątały się postacie, któ-
rych nazwiska młode trudne były
do wymówienia; — figury jakieś,
nigdzie po salonach nie widywane,
ludzie od których zdala czuć było
studya, pracownie, olej, farby i
glinę...
Księżna, która w pierwszym salonie
przyjmowała gości (bo o księciu
mowy tu jakoś nie było i ten nie
występował widoczniej) — z wielką
żywością, podniesionym głosem, często
ze śmiechem wcale nie oficjalnym
witała przybywających. Mała, zręcz-
na, z okiem pełnem ognia, ruchami,
które lekceważenie form przyjętych
co chwila zdradzały; — nawet w tej

w tej chwili uroczystej coś w sobie miała cyganeczki i subretki. Postać była pociągająca i sympatyczna. Tego wieczoru jakby przeczuwała nadzwyczajne powodzenie swe przyszłe na scenie, której znaną była w irlandzkim humorze. Sypała iskrami dowcipu do koła, śmiała się, chciała wszystkich przelać swe szczęśliwe usposobienie.

Ukazanie się w salonie pięknej Koliny, która, choć niedoświadczona, umiała tak wrażeń aby wywołać sensację — było nadzwyczaj efektowne.

Była zarazem skromna, i naiwnie śmiała, uczyniła się młodszą, niż była, ponętną, zagadkową, zaciekawiła wszystkich. Wystąpienie powiodło się szczęśliwie.

Oczy wszystkich zwróciły się na tę nadzwyczajną, tak uderzającą piękność, której mało osób znało — a której zjawienie się w salonie Księżnej nadawało prawo obywatelstwa w wielkim świecie.

Szeptano, zaglądano, wypytywano się, szukano, aby to cudo kobiecej

zobaczyć zbliska.

Nawet, zaraz po Kulinie przybyła, zachwycająca blondynka, świeża, i idealnie, a niczego wdzięczna, eteryczna kobieta ...... nie zdoła ta jej zaćmić i pierwszego zatrzeć wrażenia.

Kulina, wzięta pomiędzy liczne damy, które do teatru amatorskiego, razem z nią, należeć miały, a niepoczesny pułkownik Makulich, znikł w tłumie. U siebie w domu nie odznaczał się on zbyt ponętną powierzchownością, tu zaś, wśród postaci które były charakterystyczne albo się niemi okazać liczyły, pułkownik strasznie stracił.. On, stary jego mundur, zbrukane trochę wstążki orderowe, wyprane rękawiczki, świadczyły o tak podrzędnem w skali hierarchicznej stanowisku, iż – pomiędzy nim a córką, przepaść stanęła..

Wkrótce salony, nie zbyt obszerne, gośćmi się przepełniły, szczególniej płci męzkiej. Kobiet stosunkowo mniej było. Co tylko Wiedeń

liczył znakomitości, wszystko to znaleźć mógł ciekawy, a oprócz nich postacie nieodgadnione, które też do pewnego rozgłosu prowadzania Tych, co ich nikt prawie nie znał. Najjaskrawiej okryci gwiazdami i orderami dziwacznemi, byli właśnie ci, których ani twarzy ani dekoracyi nikt wytłumaczyć nie umiał.

W krótce w różnobarwnym tym tłumie, między który przecisnąć się było trudno; zorjentować się też i rozpatrzeć mógł tylko najlepiej obeznany z temi światami i półświatami, z których on się składał. -

Gwar żywy, śmiechami przerywany, rozchodził się po wszystkich pokojach.

Oczekiwano -

Nawet bufety wspaniałe, które się widzieć dawały przez drzwi otwarte do bocznych salonów, nie nęciły nikogo. — Oczekiwano. Główną, jedyną atrakcyją tego wieczoru był teatr, ukazanie się [illegible] w tej roli subretki, w której widziano z góry że będzie zachwycającą.

nieporównaną.

Z Księżnej dobrowolnie się przedzierz-gnąć na subretkę i potrafić wcielić typ tak sobie obcy – dowodziło i niepospolitego talentu i jeszcze mniej pospolitej odwagi –

Oczekiwano z gorączkową niecierpliwością.

Wkrótce też sama gospodyni i osoby o których wiedziano iż w teatrze udział mieć mają, zaczęły zniknąć z salonów – Niecierpliwość rosła. Dyplomaci wśród grup gości rozsiani, po cichu opowiadali o nadzwyczajnych sukcesach Księżnej w Paryżu i Compiegne.

Gdy na ostatek drzwi salonu, w którym zbito mały teatrzyk urządzony był bardzo wytwornie, otwarły się dla gości; – pomimo form które zachowywać wszyscy byli nawykli, mimo grzeczności i pewnych względów dla osób – zaczęło się cisnąć tak, jak najpospolitszy gmin do niedzielnego teatrzyku przedmieścia. Paniom ledwie przejście robiono, każdy chciał stanąć jak najbliżej,

widzieć i słyszeć jak najlepiej.

Zaprawdę, wiedeńska posse, niemiecka wesoła komedyjka, miewa wiele dowcipu, humoru i wdzięku — ale — niestety — dowcip niemiecki z francuskim ni mierzyć nie może.
W charakterze narodowym tkwi pewna powaga, pojęcie serjo życia i stron jego nawet najkomiczniejszych; gdy francuz rzeczy najpoważniejsze, skutkiem swego temperamentu lekce waży i bierze. Dlatego nigdy, najswobodniej sobie czegoś pozwalający pisarz niemiecki nie dorówna w tem francuzowi, który granicy żadnej nie zna i sam, boleń nawet w śmiechu połyka.
Francuska komedyjka wesoła jest dla tego niezrównaną. Nie szanuje ona nic, ani warunków prawdopodobieństwa, ani praw życia, ani właściwości charakterów. — rien n'est sacré pour un sapeur — śmieszek szyderski ulatuje po nad wszystkiem i każe wszystko przebaczyć.
Wybór sztuki, uczyniony przez księżnę równie był bezwzględny jak doskonały.

Chodziło o wielki sukces komiczny, nie zważało się więc na drobne, za swobodną treść obu części dramatycznych.

Wrażenie też było niesłychane, olbrzymie! Sala cała zawrzała śmiechem, oklaskami, śmiechem i nieskończonemi – bravo! Naturalnie, role subretek, jakkolwiek niby podrzędne, doskonałą grą, wysuwały naprzód, zaćmiewały inne. ale obok nich, naiwna Rolina swą pięknością i grą śmiałą, naturalną, nieprawidłową a żywą – wszystkich słuchaczów podbiła.

Księżna mogłaby być niemal zazdrosną, chociaż w końcu odniosła zwycięstwo nad swą współzawodniczką.

Dwie te role kobiece, z prawdziwym artyzmem odegrane, zupełnie zaćmiły i zepchnęły na drugi plan męskich aktorów, chociaż i ci grali doskonale.

Rolina, która wiele zapewne liczyć musiała na wrażenie jakie uczyni, mogłaby być zupełnie rada z siebie. Dosyć jej było rzucić okiem na

na swój pastel rozentuzjazmowany
aby nabrać przekonania że go podbi-
ła, że wieczór ten nie był stracony
i mógł przynieść pożądane owoce.
Chwilami grała z wielkiem przejęciem
się i życiem, wrażenia jej biegały
po sali i oka nic nie uchodziło.
Pomiędzy jedną a drugą sztuczką
widziała z za zasłony, jak stoją-
cemu w kątku ciemnym ojcu jej,
którego mało kto znał, starzy i mło-
dzi panowie się przedstawiali, jak
mu winszowano, z jaką uprzejmoś-
cią rozmawiano z tym niepozor-
nym dymisjonowanym wojskowym,
na którego przed chwilą nikt nie
patrzał.
Cóż by była powiedziała słysząc u-
rywki rozmów, które po różnych
kątkach sali prowadzono.
— ale któż jest ta prześliczna czarno
oka naiwna. — pytał podżyły dyplo-
mata jednego z tych ludzi należą-
cych do świata, których powołaniem
jest wiedzieć wszystko, a przynaj-
mniej umieć mówić o wszystkiem.

— Jest to postać, którą księżna podobno znalazła na ..świecidełkach — odpowiedział wszystko-wiedzący. — Ubogie, nieznane dziewczę, córka wysłużonego wojskowego. Ale matka wychowana bardzo starannie i talent znakomity..

— Nadewszystko piękność znakomita! Czemużby nie próbowała szczęścia na scenie?

— A! córka pułkownika! widzicie go! Tam w kątku, okryty krzyżami..

Z drugiej strony szeptano ciszej.

— Ale jej nigdy, nikt, nigdzie nie widział.

— A! przepraszam! W Stadt-Parku, na Praterze.. wcale nie kryje z sobą.. Śmiała bardzo..

— Do jakiejże należy klasy?

— Córka pułkownika.. Zdaje mi się, że ma krzyż który mu dał szlachectwo..

— Ojciec podobno dalmata.. nazwisko ma jakieś Liechtensteińskie.

— Katolicka.

— Nie znacząca figura, ma pasję

do zbierania skorup starożytnych...
Żonaty był z jakąś francuską, — w córce krew jej czuć.

— Owdowiał dawno. Ubogi szlachcic, oprócz córki, która go wiele kosztować musi, i ta manja kollekcjonowania do torby przyprowadzić może.

— Widywałem ją niekiedy w teatrze, zawsze mnie jej piękność uderzała.. Co za oryginalny wdzięk i jakie oczy.

— Nóżka, rączka, kibić — wszystko śliczne.. Zdaje się nie ma więcej nad lat dwadzieścia..

— Bardzo młodo wygląda.. ale oczy ma — stare!!

W innym kątku utrzymywano że cudnie piękna, że twarzyczkę sławny artysta pochwycił i wykuł na wzór jej popiersie, które złoty medal otrzymało.

Mężczyźni unosili się nad grą, i nad blaskiem tej piękności; kobiety siedziały nieme, lornetując ją, szukając skazy i plamki, czegoś coby jej ujęło zwycięskiego w blasku.. Znalazły tylko do zarzucenia to jedno, że zbyt była śmiały

śmiałą i pewną siebie.

Pułkownik Makulicki, który w tem towarzystwie książąt, hrabiów, baronów, ekscellencyj, ministrów byłych i ministrów przyszłości, czuł się bardzo maleńkim, — nieustannie zmuszony kłaniać się, podawać rękę, odpowiadać na pytania — na pół był szczęśliwy, pół zafrasowany. Myślał już biedny jakie te dalsze następstwa mogły pociągnąć za sobą, — w jego skromnem mieszkaniu na trzeciem piętrze.

Od tego świata dla siebie niewiele się spodziewał, dla ukochanej swej rodziny obawiał się wszystkiego. Wprawdzie obawy te, dawniej daleko większe, ostatnie kilka lat życia znacznie rozproszyły; wierzył w córkę i był pewnym że jej ambicja i rozum nigdy fałszywego kroku uczynić nie dozwolą. — Lękał się jednak.. ojcowskie serce o skarb swój drżało.

Córka nie słuchała go wcale, nie pytała nigdy o żadne pozwolenie,

~~panią~~ Balbina, która ją wychowała, pomiatała nielitościwie, rządziła się sama i była panią swej woli. Wychodziła z domu często sama jedna, powracała czasem późno, bawiła na przechadzkach samotnych godzinami całemi, pozwalała się odprowadzać mężczyznom, przyjmowała bukiety, pisała i odbierała listy — a jednak ta nieograniczona swoboda nie okazywała się dla niej wcale niebezpieczną.

Pułkownik ufał jej — ale serce mu biło.

Pomimo tego rozumu, mimo tej niezmiernej zręczności z jaką zawięzywała i rozwięzywała stosunki, lat kilka upływało straconych. Ludzi się koło niej snuło coraz więcej, a nikt z nich (mimo że się na zabój kochali) pułkownikównie się nie oświadczył.

Gdy ojciec nieśmiało ją zapytał westchnąwszy:

— Kiedyż się ty wyswatacz, moja

Słowa?
Rolina odpowiadała popędliwie —
— Ah! pójść za pierwszego lepszego młodzika mogłabym dawno — ale — *cher papa*, ja wyżej patrzę i sięgam... Mam więcej ambicyj — o! dużo ambicyi! Ci panowie dobrzy są do przymnożenia cukierków i kwiatków, do małych posług po mieście — ale do ołtarza! do małżeństwa!...
Potrząsała piękną główką i kończyła szyderskim śmieszkiem.

Gdy pułkownik otoczony, badany, jak mógł i umiał, grzecznie się obraniał niespodzianym napaściom; Rolina za kortyną, naprzód, potem w przyległym pokoju oblężoną była przez artystów, którzy z nią grali i gości, którym Księżna się tu wcisnąć pozwoliła.
Gospodyni, która miała bystre oko na wszystko i dość znała ludzi aby z ich każdego ruchu i słowa wnioskować o charakterze, — teraz dopiero, widząc Rolinę w towarzystwie Kotki i więcej ożywioną, dostrzegła po raz pierwszy że była niezwyczajnie zręczną,

i nie naiwna, wcale.
Dowodem największej przebiegłości jej
było właśnie to że księżnę tak długo
w błędzie umiała utrzymać.
Ona jedna dziś tego poznała się na
pułkownikównie.-
Za kulisami znajdował się właśnie
młody, ów śliczny, pełen dystynkcij
Książę Rudolf von Hoh-Winterburg,
baron St Foix radca francuskiego
poselstwa, hrabia Almary Sandor,
i kilka innych osób.
Dawniej już przy próbach teatralnych
dostrzegła księżna że dwudziestokilkole-
tni zaledwie młodzik, Książę Rudolf
z zapałem studenta zachwycał się
piękną Roliną, która się do niego
uśmiechała, wdzięczyła i mocno go
kokietowała.
Lecz z równą zalotnością, w oczach
młodego chłopaka, obchodziła się
wyzywająco, choć niby naiwnie z ba-
ronem francuzem, który nie mniej
niż był zajęty. Hrabia Sandor
nie odstępował jej także, i on [illegible]
zatapiał się w pięknych oczach dziew-
częcia.
W tém wszystkiem nie było nic nad-

nadzwyczajnego, ale zręczność z jaką
Rolina wszystkich ich trzech umiała,
utrzymywać przy sobie, drażnić, po
ciągać, pozbywać się gdy jej to było
potrzebnem, powoływać, a każdemu
wpoić przekonanie iż on był w naj-
większych łaskach – w istocie dawała
do myślenia, okazywała się zdumie-
wającą.
Ta naiwność, myśleli niektórzy, mia-
łażby tak być szczęśliwie od natury
wyposażona, czy też już swej gry
pewną?
Najnaturalniejszym ze wszystkich był
niedoświadczony młodzieniaszek [illegible]
Rudolf, który może po raz pierwszy
w życiu narażony był na takie wej-
rzenia, jakim i stary oprzećby się
nie mógł. – Nieśmiałość jego przecho-
dziła chwilami w zuchwalstwo i Ro-
linie najtrudniej pozbyć go się było.
Lecz gdy zazdrośne wejrzenie baro-
na St. Foix wymagało tego, umia-
ła posłuszne chłopię skinieniem
gdzieś odesłać; prosiła go o coś i
zmuszała by się oddalił.
Z baronem St. Foix, który przylgnął

przybyszą do niej była otwartszą i gdy się zatrzymał zbyt długo a wyraźnie, szepnęła mu iż nadto ludzi ich otaczało, mogących z przeciągniętej rozmowy niepotrzebne czynić wnioski.

Baron pochylił się szepnął coś do ucha, otrzymał odpowiedź i usunął się zapytanie zadowolony na stronę. Nie zwróciło go z iż natychmiast potem Rolina sama się zbliżyła do hrabiego Sandora i mówiąc z nim o teatrze, od niechcenia oznaczała dzień kiedy się u niej był spodziewała.

Hrabia Sandor nie był już pierwszej młodości, temperament miał dosyć zapalny, księżna zaś dalego dobrego był jej powinowatym — i niezwłocznie zbliżyła się doń w swoim kostiumie subretki, grożąc mu nieznacznie palcem...

— Uważaj! ostrożnie z ogniem! szepnęła mu do ucha się pochylając — ta piękna naiwna jest straszną kokietką. Nie daj sobie głowy zawrócić!

— Co ci to śni, Karynce? odparł hrabia śmiejąc się i ruszając ramionami — to dziecko, istota zaledwie na wpół rozbudzona — dobroduszna, a tak naiwna! Pączek jeszcze ale zachwycający.

Gospodyni niedowierzająco głową poruszyła.

— Dla mnie kwestją to jest. Szepnęła cicho. — Kto z was dwojga naiwny, ty, mój stary, czy ona?! Pączek, czy kwiatek ten wyrośnie na kruchej łodydze, z której ręka hrabiego Szadora zerwał by go nie mogła. Jest to jedna z tych, które przed ołtarz prowadzić potrzeba, a na to nie każdy się odważy.

Pochlebiało to hrabiemu że go posądzano o zajęcie dziewczęciem, śmiał się, spoglądał i powtarzał:

— Czarująca!

Lecz widać było że niebrał tego na serjo.

W drugim kątku, piękna jeszcze, zwłaszcza wieczorem hrabina Z— która grała małą rolę jakiejś ciotuni, a miała pewne prawa do barona St. Foix, gwałtem powołała

powołała go przed swój trybunał.

– A! stłumionym głosem zawołała gniewnie, gdy się przybliżył – Wstydźnie się zalecać do tej cyganki –

– Cóż znowu! co znowu! odparł baron z udanem oburzeniem. Kilka słów przemówiłem ledwie! To dziecko!

– Które nam starszym lekcje by dawać mogło, przerwała odwracając się i rzucając wzrok księżna hrabina.

- Jakby dla zatarcia wrażenia, które jej kokieterja z kilku ~~pier~~ pierwszemi adoratorami uczynić mogła, Kolina już w tej chwili zajęta była anglikiem, którego wiek, tytuł i powaga czyniły już niezdobytą twierdzą.

Pomimo to anglik pod jej wejrzeniami, od jej uśmiechów, tracił swą lodowatą sztywność, roztapiał się, poruszał coraz żywiej, śmiał się, – powaga twarz dyplomaty rozchmurzała się, opromieniała, stawała do siebie niepodobną.

+ Czy Kolina wiedziała z tej, ze dwudziestu, że sześćdziesięcioletni anglicy

za starych się nie uważają; jeździ konno i czasem żenić się gotowi — zapewnić nie możemy.
To pewna że tak była z nim zalotną i wdzięcząca się jak z dwudziesto letnim księciem Rudolfem, a skutek jej magnetycznych wejrzeń na oba był prawie jeden —
Księżna Matylda uśmiechała się patrząc jak anglik zwolna nabierał śmiałej postawy, jak się przechylał, okazując giętkość długiej swej figury, śmiał się głośno i dowcipował. Rozmowa Roliny z nim trwała nawet dłużej niż z innemi. a Sir Robert of Mountcastle, oświadczył w końcu ~~[illegible]~~, że pragnął być ojcu ~~[illegible]~~ jej prezentowanym. —
Na wszystko to patrzała księżna, mając tyle taktu iż nie dała poznać po sobie, jak ją to od pięknego dziewczęcia zniechęciło. Znajdowała teraz iż stanowczo naiwna jej, nadto na swe lata była zręczną, przebiegłą i zalotną.
Przy pierwszej znajomości — w początkach okazywała się zupełnie in-

ną,

Iż to więc ~~tej~~ tylko o to aby się te
wyśliznąć mogła i rozumowała go po
cichu - i zagryzała usta.
Po skończonem widowisku wszyscy
w bardzo wesołem usposobieniu
rozsypali się po salonach. Czekały na
gości obficie zastawione bufety;
aktorzyna ze zwykłą swą uprzejmością
i humorem podejmowała sama czynić
paniom honory kolacji.
Wraz z innemi Iza i Rolina, bar-
dzo znowu skromna, z najmłodszemi
mi towarzyszkami, i jakby wynagro-
dzić chciała swe postępowanie za
kulisami, przybrała minkę łagod-
ną, spuściła oczki, wróciła do roli
naiwnej.
Jednakże ile razy tych czarnych oczęt
dwoje podniosły się na kogo i utkwi-
ły w nim - zostawiały po sobie nie-
zatarte wrażenie. Rolina z obra-
chowaniem systematycznem niemal
obdarzała z kolei wejrzeniami temi
otaczających; a dla każdego był w nich
pewien odcień właściwy, wyraz co-
raz odmienny. Spotykające chłód-
ony ich zatrzymywały się dłużej

uporczywiej - gdzie pewną była ta-
kiego zwycięztwa, nadaremnie siłą
nie szafowała.
Kilku najmocniej rannych, w czasie
wieczerzy zręcznie krążąc zdaleka,
znaleźli sposób zbliżenia się i prze-
mówienia, usłużenia jej.
Starsze panie którym oka to nie u-
chodziło, uśmiechały się z tych mane-
wrów, chociaż zazdrość ściągała
im usta.
— Kochana księżno, szepnęła do go-
spodyni w czasie wieczerzy hrabina
Z — zmiłuj się - powagą swą od-
pędź tego biednego młokosa Rudol-
fa od tej świeczki, bo sobie skrzy-
dła poopala. Nie odstępuje od niej.
Stara księżna Zofja, powierzyła
go mojej opiece, a ja naprawdę mu
grożę i ruszam ramionami. Biedna
jego babka, gdyby widziała jak
lgnie do tej cyganki (nieprawdaż
że podobna do cyganki?) - omdla-
łaby, rozchorowałaby się ze strachu..
Nie zapominajcie jakie miłości czy
passja bezrozumna w domu tym poro-
biła spustoszenia!

— Ale niemało mi czego obawiać, odpowiedziała Księżna uspokajająco — niech mi dziecinka trochę zabawi i pokrzepi serce. Jutro powróci do swej służby i regimentu, a tej czarnobrewej więcej widzieć nie będzie —

— Tak sądzicie? niedowierzająco zawołała hrabina — Jakże wy dobrodusznie zapatrujecie się na świat i ludzi!! Mogłabym założyć się, że, jeśli mi temu w czas nie zapobieżę, biedne Księżniczko ostatecie, bo dziewczyna kokietka i okrutnie śmiała pod pozorem naiwności, której nie ma —

— Ale Rudolf dziecinka, młodszy pewnie od niej, zaśmiała się gospodyni, i w takich surowych zasadach wychowany —

— Tem gorzej! zamruczała hrabina —

— Szeptem. Dokończyła Księżna, moja naiwna wszystkich równo kokietowała, nawet tego zacnego Mount=castle, który skakał przed nią jak polityczek na sznurku..

— O! ci mężczyźni! z goryczą, odezwała się hrabina — Mountcastle, i St. Foix oba jej dworowali, na

narażając się na śmieszność – Uważa
Tak pewnie! St Foix! Obrzydliwy był!
Ruszyła ramionami. W tem uliczną
odwołano.
Skwerek i krzesło na którem usia-
dła Rolina, opasane były murem
ciekawych usiłujących się tu przypa-
trzeć i zbliżyć do niej.
Wśród tego tłumu jedna postać nie-
ma, szczególniej zwrócić mogła
uwagę pewną excentrycznością. –
Stała ona opodal krzesła. Wśród tych
fizjognomij jednego prawie typu –
mężczyzna ten ogorzały, dość brzyd-
ki, odznaczał się jakby nie euro-
pejską twarzą, ciemno czerwona=
wej płci, z oczyma czarnemi, – nie
mongolskiego charakteru – Maska
ta przypominała jakby illustracyję ja-
kąś z podróży po ameryce połud-
niowej, typ to był na pół hiszpań-
ski coś z dzikich indyjskich ple-
mion w sobie mający. – Oblicze było
nie miłe, surowego, odrażającego
wyrazu, lecz energią nacechowane.
Stał trochę z dala, cały wpatrzony

zuchwale

zachwalec natarczywie uparcie w piękną Rolinę – nie mogąc od niej oczów oderwać. Nie ukrywał wcale że ta jej namiętność swą z jakimś cynizmem objawiał.

Panna Makolich czuć musiała to gniewające wejrzenie – często tem spotykała je i szybko się odwróciła. Raz czy dwa rzuciła jakimś pół uśmiechu i temu oddalonemu bał-wochwalcy, który swojego zachwytu, uwielbienia, dochodzącego niemal do osłupienia, wcale nie ukrywał. Wszyscy widzieli jak się do niej modlił oczyma – ale to były raczej ślepia dzikiego zwierza palające namiętnością niż wejrzenie rozkochanego człowieka. Zdała patrzący na to uśmiechali się ironicznie.

– Patrz no – szepnął ktoś – ten – Don Esteban, kompromituje, nie wiem, siebie czy pannę Makolich, zjada ją wzrokiem. Kannibal!

– Kto to jest? pytał inny z boku –

– Don Esteban Corcero-Prolados!

Nie zaręczam czy nie ma więcej jeszcze jakiegoś nazwiska, ale kto on jest właściwie? — mówił pytany — ani ja, ani nikt z tych co mi jego znajomością szczycą, powiedzieć nie potrafi. Ma być z profesyi miljonerem, właścicielem kopalni.. niewiem. Powiadają, że wozi z sobą całe skrzynki drogich kamieni jak szach perski. Ale po co przybył z dalekiej rzeczy pospolitej amerykańskiej aż tu nad nasz modry Dunaj — tajemnicą dla wszystkich. Od pół roku podobno mieszka w Hôtel-Imperial i otworzył w nim salony — Ludzie grywają u niego, daje bardzo dobre obiady — Niektóre piękności pół-świata miał podobno po monarszemu obdarzyć..

Ruszył ramionami opowiadający i zakończył..

— Zagadka!

— Za pozwoleniem, wtrącił z boku Syławy słuchacz, z miną jakby coś nadzwyczaj ciekawego miał powiedzieć — Don Estebanowi temu przypisują jakąś misję dyplomatyczną. Mówią że z Brazylii od mini-

od ministrów i osób wysoko położonych miał listy polecające...

Kiedy tak o nim rozprawiano, Don Esteban wciąż się wpatrywał w Kolinę. Ona czasem obdarzała go uśmiechem, ale zaraz prędko uciekała.

Nareszcie w salonach przerzedzać się zaczęło, pułkownik odszukawszy wy-kawiązki, nieśmiało zbliżył się do córki, która niebardzo do domu powracać chciała. Ale było już dobrze po północy.

Don Esteban został się w garderobie dla wyszukania i podania narzutki.

—---

III.

Wszedłszy do skromnej jednokonnéj dorożki, którą pułkownik na cały wieczór dla siebie i córki zatrzymać musiał (nie bez westchnienia nad tem co go to kosztować miało), piękna Kolina zatonęła się w niej głęboko, szarfa na szyku, otuliła jak najstaranniéj

najstaranniéj i dojeżdżała na Wallner-
strasse nie przemówiwszy słowa do
ojca. Makolich parę razy zamru-
czał coś, próbował pytać i nie ode-
brawszy odpowiedzi (do czego być
musiał przywykłym) – w drugim
kącie dumał zrezygnowany.

Nie godziło się też wymagać od boha-
terki tego wieczora, aby się z myśli
swych poplątanych spowiadała. Po-
trzebowała sama wprzód uporządkować
je, zdać sobie z nich sprawę i wy-
ciągnąć pewne wnioski stanowcze.
Nie zwykła była nic robić bez namy-
słu i rachunku, wszystko u niej było
wynikłością jakiegoś planu z góry
obmyślonego. W wykonaniu uniósł
ją czasem temperament żywy, nigdy
serce.

Z wieczora tego w ogóle mogła być ra-
da, lecz niepewna, była szczegó-
łów, obawiała się czy jej pośpiech i
gorączka nie zaprowadziły zbyt dale-
ko. Miała ~~jakieś~~ jakieś przeczucia
niedobre, które jej zatruwały
cały tryumf, jakiego ojciec winszo-
wał..

Z tem usposobieniem dojechała do domu milcząca, zadzwonili u wrót kamienicy i weszli powoli nic nie mówiąc do siebie na trzecie piętro, gdzie już zbudzona dzwonkiem, roze spana sługa, okryta chustką, u drzwi na nich czekała.

Rolina zaledwie dobranoc szepnąwszy ojcu, wprost poszła do swojego pokoju, w którym natychmiast prawie zjawiła się w czepku nocnym i szlafroku, ciekawa pani Balbina.

Właśnie ta natarczywa ciekawość, przekorne dziewczę skłoniła do upartego milczenia.

Na zapytanie, jak przeszedł wieczór, odpowiedziała ziewaniem, skarżyła się na zmęczenie, okazała humor najgorszy i pozbyła się nienawistnej sobie jejmości jak najprędzej.

Podbudziło to bardziej jeszcze ciekawość p[i] Balbiny, która, słysząc chodzącego po swoim pokoju pułkownika — bez ceremonji wśliznęła się do niego, chociaż Makolich już był na wpół rozebrany.

Uderzyła ją rozweselona, pogodna, uśmiechnięta twarz starego, który

powitał przybywającą czulej niż było potrzeba i wydał się jej odurzony pod chmielowym. W istocie nie nawykły był do szampana, którego mu kilka kieliszków nalano..

Po długim poście palił cygaro z wielkim smakiem i zdawał się nastrojony bardzo wesoło.

Pani Balbina zajęła miejsce w fotelu.

— No, cóż? jakże tam poszło? zapytała. Od tej kapryśnicy nic się dowiedzieć nie można. Nie chciała nawet mówić ze mną; powróciła nadąsana i kwaśna! Cóż się stało?

Pułkownik stanął zdziwiony.

— Na Boga! zawołał. Poszło wszystko jak najlepiej! Świetnie! pysznie! I mogłoż się Kolince co nie udać! jej? Powiadam ludzie się do niej cisnęli, padali przed nią jak przed cudownym obrazem. Mnóstwo dystyngowanych osób szukało ze mną znajomości! Tryumf, powiadam ci, zrobiła furorę! furorę! Kobiety żółkły z zazdrości —

— Powinnam się tego była domyśleć — odparła spokojnie Balbina. Gdyby się uchowaj Boże, Kolince nie powiodło,

powiedziało, na pewno udawałaby przede
mną wesołą i tryumfującą — a że zwy-
ciężyła więc mi dusza.. Już nigdy do
tych a zawsze na przekorę — —
Pułkownik odjął od ust cygaro i skrzy-
wił się.
— Proszę cię, Balbinko moja, uciekła
godnie — dla czego ty na nią wymy-
ślasz? Za co tego aniołka mego
czernisz? To prawdziwe nieszczęście
że ja was kochając obie, nigdy w zgo-
dzie widzieć nie mogę. To mi ży-
cie zatruwa.
Westchnął ciężko Makolich.
— Bądź pewny, Filipie — odparła
żywo pani Balbina, że i mnie
to nie bawi. Radabym aby było ina-
czej, ale to jest stworzenie, z którem
nikt nigdy w świecie rady sobie
nie da. Wychowałam ją od małego
dziecka, kochałam jak własne
dziecię, dogadzam we wszystkiem,
mnie do zbytku — — -
Poruszyła ramionami niecierpliwie.
— Daj Boże, pułkownikowa, dokończyła
po chwili — aby ona i wam i mnie
nie była wielkich utrapień przyczy-
ną. Ty jesteś ślepy, kochasz ją i
nie widzisz nic —

— A ty upatrujesz, imaginujesz za nadto-przesadzasz — przerwał łagodnie pułkownik, który niechciał brać na serjo tego co mówiła Kallina — Ząb za ząb jak zaczniecie z sobą. —

Makolich spojrzał na słuchającą, i dokończył dobrodusznym uśmiechem.

Niezaspokojona ciekawością i podrażniona Jejmość, wzięła swoją świecę ze stolika, i niedawszy dobranoc pułkownikowi, żywo odeszła do swego pokoju.

Makolich długo jeszcze palił gasnące mu ciągle cygaro i nie straciwszy przyzwyczajonego od [illegible] dobrego humoru, — poszedł nareszcie na spoczynek nucąc jakąś starą piosenkę.

Nazajutrz wcale inna obudziła się córka pułkownika. Wchodząca do niej zrana pani Kallina znalazła ją w usposobieniu wesołem i szyderskiem. Wiedziała już że wypytując jej, o niczem się nie dowie, a udając obojętną wywoda wszystko o czem wiedzieć chciała.

Choć znać na niej było zmęczenie troską, Kolina, jak zawsze, była cudnie

cudnie piękną. Oczy jej blask miały nadzwyczajny, usta różowe śmiały się, główka podnosiła dumnie. Ubrana na rano w szlafroczek tyftykowy, który w poważnych fałdach spadający, piękne jej kształty pół osłaniał, na pół uwydatniał, z włosami fantastycznie rozrzuconemi, — nawet niechętnej pani Balbinie Boehm, wydała się zachwycającą. Od wczoraj przybyło jej jeszcze trochę dumy i pewności siebie.

— Mam nadzieję, — odezwała się zasiadając do przyniesionej kawy — że wczorajszy wieczór nie będzie stracony — Skończyłam zwycięzko, padło ofiar mnóstwo! nie oszczędzałam nikogo! Młodzi i starzy tracili głowy! Aj jak niektórzy z nich śmieszni byli! Gdybyś widziała tego starego, sztywnego, łysego, z nawpół siwemi kotletami na długiej twarzy, z ogromnemi żółtemi zębami — anglika, jak mi pod mojem wejrzeniem roztapiał, miękł, czynił się lekkim, — odmładzał, rozgrzewał, zapominał i całą swą brytańską tracił powagę!! A młode książątko,

cherubinek ten Rudolf — gdybym mu była kazała skoczyć w ogień czy w wodę..

Rozśmiała się sucho i zimno, pogardliwie.

— Amerykanin — ciągnęła dalej — wiesz, ten o którym ci mówiłam, miljoner. Figura zagadkowa — jadł mnie oczyma.. Zapomniał się zupełnie, osłupiał! Bardzobym ciekawa była dowiedzieć się na pewno kto on jest. Powiadają że ma całe skrzynki brylantów i drugich kamieni. A! mógłby mi anonime przysłać kolje brylantowe i kolczyki.

— I tybyś je przyjęła?

— Anonime? Dlaczegóż nie! rozśmiała się Rolina — Ciekawam dlaczego bym przyjąć nie miała..

Pani Boehm pokręciła głową.

— Prezenta uczą zimno, zawsze do czegoś obowiązują, — trzeba się za nie wywdzięczać.

Rozkapryszona, śmiejąc się Rolina, odpowiedziała wesoło:

— Sądzicie że mój uśmiech i spójrzenie nie są warte djamentów?

— Szafujesz niemi do zbytku, stracą cenę — odezwała się Balbina,

Pułkownikówna poruszyła wzgardli-
wie ramionami, nie odpowiadając.
— Macz wogóle teorje oryginalne — doda-
ła Boehm.
— Nie zaprzeczam temu — śmiejąc się
ozwała się Kolina. Mam wszelkie
moje własne przekonania i poglądy,
ale ich nie narzucam nikomu.
Krótkie milczenie przerwało rozmowę,
pani Boehm usiadła opodal nieco
i rzekła flegmatycznie:
— Ja też nie nabijam się z tem co
myślę, ale dużo życząc żadna się
nie odzywa czasem. Mając jako
na celu wyjść za mąż i zrobić
partję świetną, nie idzie się do
tego drogą, którą wyliczasz — Męż-
czyźni nie żenią się z temi co się im
tak narzucają.
— Zwiecie to zapewne z własnego doś-
wiadczenia — wtrąciła złośliwie Kolina, na
spoglądając na nią, której twarz wystąpił rumieniec.
— Z tem wszystkiem — dodała — wiecz-
cie mi, że ja to wiem jak z nimi
mam postąpić... Możecie się nie le-
kać tak o mnie!
I śmiała się długo i ironicznie,
[illegible] do koła rzucając oczyma.

Boehm zamilkła.

— Dziś — zawołała uspokoiwszy się Koli-na — dziś lub najdalej jutro, możemy się niezawodnie gości spodziewać.
Proszę cię — spraw, żeby na salonie cały wyglądał po ludzku, bo na ojca, który tam gospodaruje, nie można się spuścić.

Nie odpowiadając na ten wydany to-bie rozkaz, pani Boehm zwróciła rozmowę.

— A ty co dzisiaj myślisz robić?

— Ja? — trochę się zadumawszy odpowiedziała Kolina — no — jeszcze nie wiem. Pomyślę. Na dworze mały przymrozek i słońce. Wspaniale prawda? Wyjdę trochę na przechadzkę.. Jestem pewna że spotkam kogoś.. Od-wrócę potem.. Po obiedzie, odpocznę z książką. Zagram może trochę., muzyki zaniedbywać nie mogę.. Wieczór zapewne spędzimy w domu.

To mówiąc wstała i poszła do zegar-ka szukać czegoś, nie zważając już na towarzyszkę, która po cichu wymknęła się z pokoju..

Mokolich wstał trochę później

później niż zwykle.

I on, jak córka, miał przeczucie jakichś odwiedzin dnia tego, pospieszył więc z ubraniem, bo choć Kulina mówiła że z salonem na niego się spuścić nie było można, dbał wielce aby salon jego wyglądał tak jak on chciał. Tylko, to co jemu zdawało się ozdobą, córka miała za śmieszne i nieznośne.

Od czasu jak dostał dymisję i był pensjonowanym, pułkownik Maholich, który dawniej już lubił stare graty, cały się oddał zbieraniu rozmaitych, cennych według niego, zabytków starożytności, szczególniej porcelany i fajansów.

Znajomość tych rzeczy miał małą i dla kollekcjonisty nie dostateczną. Niepodobna mu było rozróżnić naczyniach „Vesta di terra" od majoliki, ale miłość skorupek bardzo wielką, przy szczupłych do nabywania środkach karmiła go złudzeniami. Kupował co napadł, wszystko znajdując osobliwem i cennem, co mu się dostać udało. Fantazja także własna zmieniała się nieznacznie

w prawdziwą namiętność. Rolina rozpaczała widząc że pułkownik znaczną część swych bardzo skromnych dochodów wkładał w te skorupki, tom i rupiecie, usiłując wmówić w nią że to kiedyś stanowić może zbiór, który im da majątek.

Makolich bajeczne ceny nakładał na te właśnie nabytki, które mu się najtaniej kupić udało. Jak tylko mógł wyjść na miasto, wymykał się do sklepów i sklepików antykwarzy, który znali go doskonale i znając jego a nieświadomość wyzyskiwali w sposób najbezwzględniejszy, szydząc sobie z niego. Pułkownik zaś pewien był że ich oszukiwał i że oni na wartości sprzedawanych rzeczy się nie znali.

Skutkiem tych wędrówek po mieście, z których pułkownik prawie zawsze coś do domu przynosił, przyozdabiając salon swój i gabinet, i — pokoje te wyglądały na kształt sklepu tandeciarza, co Rolinę do rozpaczy przyprowadzało. Ale we wszystkiem dla niej uległy i powolny, Mako

-lich

katolick w tem jednem, tegodnie ale starowiercy się opierał.
Całe ściany niewielkiego salonika były tak półkami, półeczkami i konsolkami zajęte, zawieszone obrazami, zastawione szafkami, że wśród tego natłoku najrozmaitszych, drobnych po większej części cacek, w pokoju dosyć ciemnym, trudno było rozeznać z czego się ta mozaika składała.
Oprócz potłuczonej i polepionej porcelany różnych fabryk, majolik, fajansów, terracottów, testa di terra, mniemanych terra sigillata, podrabianych etrusków, poprzerabianych delftów, wisiały kunsztowne stare zamki, rzeźbione ramki, drewniane ~~[illegible]~~ figurki, kawałki gobelinów, alabastrowe tabliczki, bronzowe złomki, a wszystko to było takie lichę, niepokaźne, biedne, poutykadzane, że chyba rozmiłowany w tem właściciel, mógł w zbiorze swym wartość jakiejś upatrzyć..
Ponieważ i część mebli poustawianych tu miała wartość antyków, i na stołach spoczywały różne okazy wyrobów starożytnych, trudno się było w salonie swobodnie obrócić, usiąść i rozgościć.

Pułkownik milczący gdy nie był w swoim żywiole, w domu miał pasję objaśniania każdego złomka, opowiadania historyi jego nabycia i legend które do nich sam potworzył.

Córka zniecierpliwiona czasem mu bezkarnie przerywała; zaciekł się od niej, lecz pomilczawszy uparcie do swej powieści powracał. Najmilszemi naturalnie gośćmi byli, którzy go słuchać chcieli.

Ubrawszy się Makolich wyszedł rzucić okiem na salon. Zbliżała się dwunasta; po pierwszej godzinie jadano. Rodziny już w domu nie było. Ustroiwszy się w bardzo eleganckie futerko, w kapelusiku modnym, w którym było jej ~~bardzo~~ do twarzy, i przejrzawszy się w zwierciadle ze stron wszystkich, według ułożonego zawczasu programmu wyszła na miasto.

Nie chciała tracić czasu, musiała albo jednego ze zdobytych mocniej do wozu przykuć, lub nową jaką ofiarą pomnożyć dość już licznych niewolników.

Celem jej przechadzek były zawsze prawie, w pewnych godzinach miejsca oznaczone, gdyż w ten sposób

mogłaby i pewną że się spotka z którym z adoratorów czyhających na czarodziejkę.

Oprócz nachałby na przykład, bałamucenie to ludzi i siebie stało się dla niej nałogiem, sprawiało jej rozrywkę, niedopuszczało się nudzić. ~~A~~ Balbina przestrzegała ~~ją~~ że to może ją skompromitować:

— Ja? skompromitować się?? odpowiadała z uśmiechem — Ja?

I pogardliwie ruszała ramionami. Była tak zuchwałą w stanowczych chwilach że zawsze czuła się pewną uratowania.

Ranek był dnia tego w istocie, jak na zimowy, bardzo piękny, — lekki przymrozek, cisza w powietrzu, wesołe słońce na niebie. Po suchych ścieżynach parku można się było przechadzać wygodnie oddychając czystem powietrzem, i dużo osób korzystało z tego dnia wyjątkowego. Mróz, który nie przeszkadzał, obiecywał też ślizgawkę, dla Roliny ponętną, bo nałodzie była bardzo zręczną, a ruch ten kibici jej uwydatniał.

Z główką, podniesioną do góry, pokazywała się, niekiedy zwracając do oczów

oczów przyglądając, zdając się kogoś szukać i spodziewać, gdy wdali ukazał się młody i piękny brunet, bardzo smakownie ubrany. — Jego widok mały uśmieszek zwycięzki na jej usta wywołał. Spoważniała zaraz zbliżając się do niego.

Nikt jej pewnie dwa razy jednaką nie widział, gdy około niej ludzie się mieniali. Prawie dla każdego miała twarz, wejrzenie, ruch i wyraz inny. Nic jej nie kosztowały te metamorfozy w tysiącznych odcieniach, które zdawały się tak całą jej istotę przetwarzać, że głos nawet, mowa, myśli, sposób wyrażania się zastosowywały się do nowej fizyognomii.

Dla nadchodzącego młodzieńca, oblicze jej przybrało wyraz melancholiczny, idealny — poetyczny. Pozowała na anioła.

Chłopak dwudziestokilkoletni, który zobaczywszy ją przyśpieszył kroku, — pomimo stroju i pozorów pospolitego wiedeńskiego sztucera, — miał w sobie coś co go szczęśliwie odróżniało od tego produktu wiedeńskiego bruku.

Twarz była piękna i myśląca, oczy zadumane i rozumne, czoło obszerne

bardzo ciemnemi włosami zwijające
mi się w naturalne pukle - zdawało
pełnem myśli. Typ cały miało wybitne
znamię pochodzenia wschodniego, coś
araba ale cywilizacją i ukształceniem
uspokojonego, złagodzonego.
Był piękny, ale piękność jego nie
pospolita i bezmyślna, miała w sobie
coś indywidualnego, właściwego jemu
tylko i wyrobionego życiem.
Z ubrania wnieść było można iż na-
leżał do najzamożniejszych klass spo-
łeczeństwa. Zanadto może przy swej
młodzieńczej powadze, miał elegancji
i starania o nią, ale i ten pokrój
pospolity nie odbierał mu wrodzo-
nej dystynkcji. Poznać w nim było
łatwo jednego z tych ludzi wybranych,
z którymi dziś lub jutro społecz-
ność, na polu jakiemś - liczyć się
będzie musiała.
Kolina przywiązywała zapewne wagę
do tego spotkania, bo mimo całej
pewności siebie, pewien niepokój
odbił się przelotnie na twarzyczce, któ-
ra zlekka pobladła. Wejściem zda-
wała się badać usposobienie nadcho-
dzącego, który z wyjaśnionem obli-
czem, wesoło przywitał nadcho-

nadchodzącą.

— Dziś — odezwał się ukłaniając Kolinie, która się zatrzymała — wcale nie miałem nadziei spotkania się z panią, po wczorajszej tak nużącej zabawie —

— A! pan już wie coś o niej! zawołała pułkownikówna ciekawie się wpatrując w niego, jakby odgadnąć chciała, wrażenie które na nim wiadomość ta uczynić mogła.

— Nietylko ja, wie o niej już całe miasto, począł zwolna młodzieniec, który również ciekawym badał ją wzrokiem. — Jeden z naszych dzienników nawet, wyprzedzając inne i zdołał dziś rano dać już feljeton poświęcony pamiętnemu temu wieczorowi.

Kolina zarumieniła się mocno i zdradziła niepokój który ją ogarnął.

— Dziennik! który? zapytała głosem trochę niepewnym. — Przestraszyłeś mnie pan.. Nie znam tego dziennika! Co on pisze?

Oczy jej zdawały się mówić — Jest tam co o mnie?? — Pragnęła razem i obawiała się tego co reporter mógł o niej napisać.

— Pani byś mogła się lękać? od-

odparł grzecznie młodzieniec, dobywając z kieszeni palta gazetę i podając ją dziewczęciu. Które skwapliwie chwyciło papier i niepatrząc już na mówiącego przebiegało chciwemi i ciekawemi oczyma.

Twarzyczka jej się mieniła, czytać na niej było można radość, dumę, niepokoju trochę - naprzemian coraz silniejszy występował, usta rozwierały się na pół uśmiechem, rączki drżały. Biegała tak po trzech kolumnach felietonu, niekiedy brwi ściągając, czasem złośliwie krzywiąc wargi różowe, tłumiąc wybuch radości na który się zbierało, poważniejąc na wspomnienie iż miała świadka, który wrażenia jej mógł tłumaczyć. Skończyła, wróciła do miejsc, które ją mocniej obchodziły, czytała je i odczytywała jakby zapamiętać chciała - nareszcie zwolna podała gazetę oczekującemu, odzywając się doń pieszczotliwie.

— A gdybym ja prawdziwie pięknie o ten felieton poprosiła? Papa byłby tak rad go przeczytać?

— Niech pani służy! odparł pospiesznie młody chłopak - nie myślałem

go odbierać — Bardzo szczęśliwy że
zatrzymałem ten numer..
Zwolna zaczęli się razem [illegible].
Rolina poważniała znowu, musiało
to należeć do jej roli.
— Pan mnie zna z loży — odezwała
się ton zmieniając i z wyrazem pra
wie smutnym spoglądając na kwa
[illegible] — Ja, tych tryumfów zabawnych w tym
świecie komedjantów nie lubię..
Wstręt mam od wszystkich szczwanych,
od tej atmosfery kłamstwa, którą
one oddychają — ale — musiałam ulec
naleganiom [illegible] i spełnić wolę
mojego ojca..
— Reporter i wszyscy co tam byli, a
mieli szczęście panią oglądać rzekł
młody pan, — świadczą że pa
ni była, jak zawsze, zachwycającą i
blaskiem swym zaćmiła wszystkich.
— A! a! ruszając ramionami rzekła
Rolina.. Prawisz mi pan grzeczno
ści jak najpospolitszy salonowiec..
Pan wierz że te tryumfy są mi rze
czą zupełnie obojętną..
Słuchacz uwierzył czy nie temu zapew
nieniu — odgadnąć trudno — ale
wywołało ono bardzo żywy wykrzy
knik:

— Prawda że w tych towarzystwach, ani szczerości, ani serca szukać nie potrzeba i znaleźć nie można — ale, niemniej mogą one być zabawne jako widowisko i nauczające, niemniej od pospolitego teatru. Niebezpieczne zaś są tylko dla tych co żetony biorą za dobrą monetę.

— O! przynajmniej nie ja! z pogardliwym uśmiechem przerwała Kolina. Wierz mi pan że chwila poważniejszej rozmowy, w której czasem czuć bijące serce, stokroć mi jest milsza nad te papiery, komedje, udawane czułości i grzeczności fałszywe, uśmiechy nieszczere i słodycze zatrute.

— Miała pani sposobność widzieć tam cały nasz, najświetniejszy świat stolicy, bo co się *par excellence* zowie światem, bo — reszta... dla niego nie istnieje...

— Świetny w istocie — mówiła Kolina, zastosowując się do tonu swego towarzysza — błyszczący, to prawda, ale na tych pięknych jego piórach kończy się podobno wszystko...

A pan — dodała obracając się ku niemu — nie byłżeś ciekawy? nie chciał też się postarać...

— Ja? — odparł młodzieniec — Boję się rzeczy, że co powiem nie wydało się przechwałką śmieszną. Ja? — nie byłem w istocie ciekawy. Ojciec mój i ja, mieliśmy zaproszenia, on był podobno — ja, nie poszedłem. Trudno mi się wytłumaczyć, bo byłbym panią mógł tam widzieć — i to samo powinno było mnie pociągnąć — a jednak, (spuścił oczy) — nie poszedłem może dla tego abym jej w tem otoczeniu, na tej scenie nie widział. Nie chciałem być świadkiem sprofanowania mojego ideału —

Z wyrazem udanej wdzięczności zbyt bolesnej, panna podała mu paluszki i uścisnęła jego rękę. Nie odpowiedziała nic — westchnęła głęboko.

— Wolno spytać co pan robiłeś wieczorem? zapytała idąc dalej.

— Nic ma w tem tajemnicy, począł młodzieniec — Czytałem Fausta Goethego, i — próbowałem coś na papier rzucić do drugiej części... ale — ilustracja Fausta przechodzi siły moje. Czytając — ciągnął dalej ożywiając się — zdaje mi się że widzę przed

sobą

przed sobą te obrazy, że idzie tylko
o to, abym tak plastycznie i żywo wy-
stępujące postacie przeniósł na pa-
pier! Niestety! na papierze blednie-
je to, staje się karykaturą i drży
w kawałki. Zamykam oczy — obraz
powraca z całym swym blaskiem i
urokiem, ale go ręka powtórzyć,
utrwalić nie umie.
Dziewczę słuchało z początku z natę-
żoną uwagą, z wyrazem współczu-
cia, lekkiego ukrytego szyderstwa
mówiący się nie domyślał. —
Roiła o czem innem, powtarzała
sobie po cichu frazesy odcinka
z gazety, opisującego wieczór uro-
czysty, głoszącego jej tryumf. Słu-
chała fizjognomii, tylko, dumając
o — sobie.
— Cóż się dzieje? zapytała po pewnym
przestanku — z projektami paryskie-
mi podróży do Włoch, do Krymu?
— Z wielu powodów odłożone są jesz-
cze, odpowiedział smutniejąc zapy-
tany. Naprzód, ja sam mniej o to
teraz nalegam, powtóre rozbija się
wszystko o opór ojca mojego.
Znała pani położenie moje. Ojciec

Ojciec, który mnie kocha, chciałby mnie wciągnąć na praktyczną życia drogę, utrzymując że przyszły spadkobierca jego – niepowinien, nie może być artystą; bo ma obowiązek dalej iść na wyprzódki z Rotszyldami – Muszę mu być biernie posłusznym, alem się na nieszczęście urodził artystą i nim umrę.

Z dwóch powodów pragnąłbym tej podróży – mówił nieco się zawahawszy, i wyraziście spoglądając na zadumaną – potrzebuję oderwać się od widzenia i troski o nim zapomnieć –

– Zapomnieć! powtórzyła sentymentalnym tonem Rolina – zapomnieć!

– Tak – dokończył chłopak odważniej – bo rozmawiać się napróżno, dziwło bić rosnącego uczucia –

Niedomówił reszty, lecz że Rolinie i tak zrozumiałym. Rolina w milczeniu podała mu rękę.

– Czyż to uczucie takiej przykrości mu sprawia? odezwała się po chwili.

Spojrzeli na siebie i – rozmowa się westchnieniami dopełniła.

W tem oczy Roliny, które mimo tej sentymentalnej rozmowy, biegały

biegały po wszystkich ścieżkach i za-
trzymywały się na każdym przechodniu,
musiały dopatrzeć coś niepokojącego,
gdyż porwała się i szepnęła prędko,
nakazująco Dwernykowi.

— Do zobaczenia — Odejdź pan. prędzej,
widzę że nas szpiegują. Później to
mu objaśnię..

Skłoniła główka, bardzo uprzejmie, po-
słuszny chłopak zwrócił się na tych
miast w boczną uliczkę, i zniknął.
Kalina już układała twarz nową,
na drugie niespodziane, ale pożą-
dane spotkanie.

Z dala w uliczce widać było amerykanina, który wczoraj także ją ścigał o-
czyma. Szedł opięty kortowanym
futerkiem, wyelegantowany preten-
sjonalnie i śmiesznie, z laseczką
w ręku, której gałkę trzymał w ustach.

Gdyby nie brzydka i opalona twarz
zupełnie cudzoziemskiego typu, wy
glądałby już na sztucera pur sang,
i zapewne nawet szło mu o to, ażeby
był do niego podobnym.

Przez obcisłe rękawiczki na dużych
i kościstych palcach widać było gęsto
siedzące pierścienie — Łańcuch gruby
od zegarka nawet na futerko wy
chodził..

Zobaczywszy Rolinę, która kroczyła bardzo powoli, z minką figlarną, żywej wesołości, Don Esteban drgnął i przyspieszył kroku.

Widać było iż mu wielce szło o to, aby Pułkownikówna się nie wymknęła.

Rysy jego twarzy ostrego i dzikiego wyrazu, radością się wcale nie upiękniły. Nadała im wyraz prawie dziwaczno-namiętny. Przypominał jakąś drapieżną istotę, co zgłodniała, która niespodzianie pastwę zoczyła w pustyni.

Rolina wcale unikać go ani uciekać nie myślała, idąc mężnie tą samą ścieżką, spotkanie było nieuchronnem.

Zbliżył się do niej z bardzo pokornym, a trochę niezgrabnym ukłonem, które mu napróżno starał się nadać cechę dobrego tonu.

— Cóż to za szczęście! zawołał głosem chrypliwym — Pani tutaj!

— Potrzebowałam odetchnąć świeżem powietrzem po wczorajszem zmęczeniu — odpowiedziała cicho i jakby w istocie bardzo zmęczona była.

— My także świeżego powietrza potrzebujemy, odpowiedział Ame-rykanin,

Siląc się na komplement — aby się wy-
trzeźwić po wczorajszem upojeniu—

— Szampanem! zapytała szyderczo Rolina.

— O! nie! ale oczyma pani — zawołał przysuwając się coraz bliżej na [illegible] —

— Nadzwyczaj pan jesteś grzeczny.

— Mówię najszczerszą prawdę — to co mi serce dyktuje.

— Jakto! już, nawet serce? podchwyciła Rolina. Zaprędko!

— Serce się budzi w mgnieniu oka albo nigdy — rzekł amerykanin.

— Tak! czytałam to w jakimś romansie francuzkim.

Don Esteban rękę przyłożył do piersi, twarz brzydką, wykrzywił chcąc jej nadać wyraz uczuciowy. ale słów mu zabrakło do walki z piękną panną.

Rolina oglądała się do koła, idąc powolniej coraz, jakby kogoś oczyma szukała.

— Nie widzę mojego ojca! odezwała się obojętnie i chłodno. Miał nadzieję iż weźmie mnie z sobą, tylko co czyśmy się rozeszli, ale tak się zapomina—

Amerykanin powiódł też oczyma do koła.

— Gdybyś pani pozwoliła mi towarzyszyć sobie, wcześniej musielibyśmy go wyszukać.

— Tak — przejdziemy tą ulicą — zawołała pułkownikówna spoglądając na zegareczek — jeśli go nie spotkamy, to się musiał u antykwarza zatrzymać, bo to jego pasja, dla której i o mnie zapomnieć gotów. Będę musiała sama pospieszyć do domu. Kochany papa bywa roztargniony, a jeśli targuje jaką Sewrską filiżankę..

— Możeby dla niej o pani zapomnieć — wykrzyknął z emfatycznem oburzeniem amerykanin. a! to by było nie do darowania — kto raz miał szczęście zbliżyć się do niej, ten do zgonu —

Celina śmiać się mocno zaczęła.

— Czy i to w ameryce za nowe uchodzi? wtrąciła złośliwie go drażniąc. U nas w starej Europie te rzeczy tak spowszedniałe... a! mówmy lepiej o czém innem.

Don Esteban zmieszany zagryzł wargi.

— Wierzę bardzo — odezwał się chłodniej po namyśle. — że pani wszystko już spowiednicy musiała. Codziennie słyszałem to z ust tysiąca. Na nieszczęście jedno uczucie zawsze prawie temi samemi wyrazy malować się musi.

— Ah! serce! uczucie!! — podchwyciła śmiejąc się Rolina. — Ja w słowa nie bardzo wierzę, uczucie prawdziwe tylko czynami się dowodzi!

Stał trochę zdumiony tem amerykanin, niewiedząc co odpowiedzieć. Ona uśmiechała się wprawiwszy go w kłopot.

— Niewiem czy pan znasz Rękawiczkę Schillera, — ale musiałeś znać jakoby jest nawet na nowo-grecki język przetłumaczona, i musi być też na hiszpański.

Amerykanin, choć rękawiczki nie znał, dawał znak głową że wie o co chodzi.

— Otóż ja, jak ta pani byłabym okrutną, bo równie jestem nieufną — dokończyła Rolina.

— Nieufna? wykrzyknął nieśmiało Don Esteban — przecież... niemusiałaś być pani zdradzoną?

— O! nic! bom się z tem niedowiar-

stwem

urodziła. Mam to w naturze mojej że słowom nie ufam.

Poruszyła ramionami, obejrzała się jakby szukała ojca jeszcze, i szła dalej. Don Esteban kroczył obok niej zamyślony – dumał może o znaczeniu tych czynów, któremi by mógł dowieść że uczucie jego prawdziwem było.

– Muszę powrócić do domu! przerwała pułkownikówna znowu spoglądając na zegarek.

– Niechże mi wolno będzie choć przez część drogi jej towarzyszyć – zapytał Don Esteban, dopraszając się tej łaski.

Uśmiechnęła się grzecznie Rolina, i natychmiast zwróciła się ku Ringowi. Szli razem powoli. – Rozmowa o życiu wiedeńskiem, o zabawach, o wieczorze wczorajszym. – w której panna mogła się z dowcipem i szklankami popisać i których nie miała – ciągnęła się dalej. Amerykanin słuchał, śmiał się i był oczarowany. Niemczyzna jedno było odgadnąć czy wymowa Roliny, czy jej urodzie, którym się przypatrywał z ciąg-niczem pożądliwości, i więcej na nim czyniły wrażenie.

Zrejdowali się już blizko Opery, gdy

gdy sklep jednego z najsłynniejszych jubilerów pominąć im wypadło.
Amerykanin, jakby myśląc, jakby pobudzony, stanął przy wystawie i zwrócił na nią uwagę Koliny, jak kupiciel niecierpliwy.
Zatrzymała się nieco pułkownikówna, ale, pomimo błyszczących za oknem kosztowności, zmierzyła je pogardliwem wejrzeniem i wzruszyła ramionami.
Don Esteban nalegająco ukazywał wspaniały naszyjnik ze szmaragdów i brylantów.
— Ja się na tem znam trochę, wszelkie kamienie i robota bardzo piękne. Pani się to nie podoba!
Zdaje się że Kolina uczuła się obrażoną tą niecierpliwością, mało znajomego człowieka. Spojrzała na niego brwi marszcząc gniewnie.
— Tak — może to być dosyć ładne, odezwała się obojętnie — ale wcale nie jest w moim smaku.
To mówiąc ukłoniła mu się ceremonjalnie, chłodno i pod pozorem że musiała wstąpić do innego sklepu, porzuciła go w ulicy.
Don Esteban zarumienił się mocno,

uczuwszy teraz dopiero iż postąpiło
bie zuchwale a niegrzecznie.
Zadumał się chwilę, patrząc za odchodzącą, zamruczał coś, ale po namyśle wszedł do jubilera u którego naszyjnik zobaczył.

IV.

Czemże są przy dzisiejszych te niegdyś pańskie, sławione jako wspaniałe pałace, które starczyły przez wieki najmożniejszym rodzinom?
Jak one ubogo i zgrzybiało wyglądają przy tych babilońskich gmachach, które nowy Wiedeń czynią jednem z najmajestatyczniej przedstawiających się miast Europy!
Nowe te gmachy może nie wszystkie zbudowane są ze smakiem wytrzymującym krytykę surową, ale im wielkiego, wspaniałego charakteru odmówić nie można.
Są przepyszne i przepychem tym piętnują wiek siły potężnej, ogromnych zasobów.
Obok nich pałace i pałacyki, niegdyś słynne, przybierają rozmiary prostych staroświeckich kamienic.

Tak właśnie wyglądał pałac, staro-
żytnej rodziny Książąt von Hoh-Win
terburg, chociaż architekt XVIII w. usi-
łował go odnawiać i przebudowywać, silił
się, aby ozdobami zewnętrznemi ubóz-
two linij i motywów zastąpić.
Fronton z herbami, gankiem o dwóch
chudych kolumnach, wieńcami kwia
tów, sznurami, gzemsami, aniołka
mi; okna przystrojone w gypsowe fe-
stony, drzwi, gzemsy łamane i wymę
czone, wszystko to zczerniałe, poobi-
jane trochę, nie mogło uratować po
staci budowy od zupełnego spospo
litowania i utonięcia wśród zwykłych
starych kamienic.
Stary pałac znikł zdegradowany
na budowy, wcale się niczém nie od-
znaczającą.
Baczniej mu się przypatrując można
też odgadnąć było że posiadaczom
jego brakło albo na ochocie odświe-
żania go, lub na środkach.
Mnogie ślady zębów czasu, znać
na nim było wszędzie. Baltazara
głoskami pisała się tu smutna ruina.
Drzwi dawne dębowe, wiel
kiemi zczerniałemi nabijane ćwie-

świeckami stały prawie przez cały dzień zamknięte. Na dole nie było zwyczajnych sklepów, a zakratowane okna bez firanek, zapylone, kazały się domyślać jakichś składów rzadko się otwierających.

Okna tylko pierwszego piętra, w których z dala widać było ciężkie firanki ciemne, mówiły że dom nie stał pustkami. Potwierdzało to drugie piętro, z białemi w nich zasłonkami.

Wszedłszy do środka, uderzał dziedziniec bardzo pański, z kolumnami i ozdobami w rodzaju tych, które pałac od ulicy przystrajały. W głębi widać było studnię do zbytku ornamentową, uszkodzoną, i poobtłukaną okrytą; i wspaniałe wejście na wschody poważne, drzwi trochę zapylone i zbrukane.

Głucha cisza panowała tu po dniach całych. Niezmiernie rzadko przesuwał się sługa w liberyi staroświeckiej, jasnej barwy z burtami zciemniałemi, z głową siwą i plecami zgiętemi wiekiem.

Szczebiotanie tylko wróbli, które się po gzemsach i rzeźbach gnieździły.

ożywiało nieco, martwy coś w sobie
cmentarnego mający dziedziniec,
wyłożony kamiennemi płytami, po-
pękanemi, wychodzonemi gdzieniegdzie
lub od wilgoci mchami porastającemi.
Podwórze ten jeśli nie rozmiarami
to formami przypominał wnętrza
starych genueńskich pałaców.
Drugie piętro wynajęte było jakiejś
spokojnej i cichy żywot wiodącej
rodzinie, pierwsze zajmowała
księżna Zofja, babka młodego Ru-
dolfa, któryśmy widzieli na wie-
czorze, odznaczającego się młodzień-
czym wdziękiem arystokratycznym i
wielkiem zajęciem piękną Koliną.
Ten zapał i uwielbienie dla córki
pułkownika Makolicha, młodzieńca
zaledwie dwudziestoletniego, rozpoczy-
nającego karjerę wojskową, - jedynego
z dzieci babki i rodziny; - uderzyło
wiele osób, bo chłopak niedoświad-
czony nie umiał ukryć swego uczu-
cia. Szczególniej jednak podrażniło
to księżnę Z.. która przez dalekie
pokrewieństwo z domem książęcym
czuła się obowiązaną do pewnego
nadzoru nad młodzikiem.

Ujcieczna Zofja, babka Rudolfa, oddawna już musiała przestać bywać w tym wielkim świecie, z którym dla niej wiele bolesnych wspomnień się łączyło.

Hrabina Z. obrażona kokieteryą pułkownikównej, niebyłaby może tak do serca wzięła roztrzepitania się kuzyna Rudolfa, gdyby ~~nie~~ chętka pomszczenia się za bałamuconego barona St. Foix, nie dodała jej gorliwości.

Hrabina była niegdyś zachwycającej piękności, z dowcipu i wymowy, o której życiu i mnogich zwycięstwach odnoszonych niegdyś, rozpowiadano szeroko. Z tego wdzięku, który cudów dokazywał i podbijał najświetniejszych, z tego bóstwa co ateuszów nie znało, — dziś pozostała wspaniała ruina, a ostatnim jej adoratorem był baron St. Foix. Broniła też tej zdobyczy hrabina wszelkiemi siłami. Znienawidziła Rolinę, widząc jak się nią płochy francuz zajmował.

Potrzebowała pomścić się na Mimi, za niepokój którego doznawała, i postanowiła ostrzedz Starą Ujcieczną.

denuncjowała przed nią wnuka. Gniew swój i żółć wylać musiała — a że w inny sposób nie mogła, — postanowiła Rudolfa oskarżyć.

O południu powóz bardzo wytworny hrabiny, dwoma przepysznemi siwemi końmi zaprzężony, z klasycznym woźnicą na koźle, któryby się i Lord Mayor nie powstydził, — sztywnym, zasępionym i jakby wyciosanym z drzewa — stał u bramy pałacu przy Herrengasse.

Lokaj równie nieposzlakowanej powierzchowności, nie mniejszej powagi, pośpieszył zameldować przybyłą, chociaż najmniejszej wątpliwości nie było że staruszka księżna, nigdy nie wychodząca z domu — przyjmie kuzynkę niezawodnie.

Wnętrze pałacu odpowiadało w zupełności temu co się jego fizyognomja domyślić kazała. — Było to wspaniałość zardzewiała, przepych zbutwiały, wielkość w ruinie starannie od obalenia podtrzymywanej.

Szklankowo obleczone i wysłane przedpokoje, salony ogromne ale ciemne, z których wszelkie barwy przygasły.

przygasły i zlały się w jeden jakiś smutny koloryt starego gobelinu — wszystko to czyniło wrażenie jakby domu umarłych.

Z dawnego przepychu nic tu nie odjęto, ale też nic nie uczyniono aby go odmłodzić. Bardzo piękne sprzęty, które by gdzieindziej mogły być podziwiane dla stylu i charakteru — tu ginęły niepodkreślone w mglistej atmosferze sal pustych.

Hrabina, którą stary w spłowiałej liberyi sługa z poszanowaniem poprzedzał — musiała przejść dwa takie salony puste, nim się zatrzymała u drzwi białych i złoconych, których białość stała się żółtą, a złocenie czerwonem. Prowadziły one do mniejszego gabinetu, w którym przesiadywała zwykle Księżna Zofia.

Pokoik ten, w którym na kominku ogień się palił, przynosząc złudę życia trochę, świeższy był, czuło się w nim zamieszkanie, a choć meble wyginane białe i złocone, okryte wytartemi gobelinami również były zużyte jak te które cały pałac zapełniały, tu jakoś zdawały się mniej zczerniałe i stare.

U okna, przy stoliczku który zarazem jako biurko służył, wykładanym drzewem, ozdobnym bronzami i porcelanowemi obrazkami scen pasterskich; w fotelu wygodnym siedziała staruszka, z włosami siwemi, gładko przyczesanemi, czarno ubrana, czyściuchna, z twarzą piękną jeszcze, oczyma przygasłemi, uśmiechem smutnym na ustach. Małego wzrostu, dosyć otyła, blada, miała w całej fizyognomii wyraz spokojnej boleści, obudzającej współczucie. Niebieskie oczy, pięknie oprawne, choć blask dawny straciły, mimo wieku miały urok słodkiego, bojaźliwego nieco na świat wejrzenia.

Nieznając nawet dziejów bliższego domu, domyślać się było można, że przebyła wiele i okrutnych prób, że przebolała cicho losy ciężkie, wypłakała wszystkie łzy, a pozostała na świecie więcej z obowiązku niż dla przedłużenia krzyżowej drogi swego życia. Chociaż twarz staruszki usiłowała nie dać ~~[illegible]~~ poznać po sobie tej przeszłości męczeńskiej i zostało na niej znamię jej. [illegible]

się zebrać nie dawało.
Głowa jej i ręce trzęsły się ciągle, a to drżenie przykre nieustające, zdawało się mówić o wielkich przebytych trwogach. Żadne środki lekarskie nie mogły zaradzić temu konwulsyjnemu drganiu, dla którego księżna Zofia (oprócz innych badania jeszcze do tego przyczyn) – zupełnie się świata wyrzec musiała.
Z licznej rodziny, teraz jedna ta została staruszka i wnuk jej, zaledwie chłopczyna książę Rudolf, pozostali. Do przykuta niemocą i wiekiem do swego krzesła babka i wnuk, który go na swobodę puścić było potrzeba — nie mieli nikogo więcej prócz dalekich powinowatych i krewnych.
Nie było tajemnicą dla nikogo, że syn księżnej Zofii, ojciec Rudolfa, piękny jak Antinous, odebrawszy świetne wychowanie, odziedziczywszy po ojcu olbrzymi majątek, świetnie rozpocząwszy wojskową karjerę, ożeniony potem, mimo woli, z dziedziczką równie wielkiej fortuny, — powziął wstręt do niej a gwałtowną namiętnością zapalił się dla pięknej ale lekkomyślnej artystki, która

Stała się przyczyną ruiny majątkowej
całej rodziny i zgorszenia upoka-
rzającego. Miljony poszły na kosztow-
ne podróże, o których zbytkach pisały
wszystkie dzienniki, bo książe nie
tylko się nie krył ze swemi wybrykami
i rozrzutnością, ale zdawał się z nich
szukać jakiejś chluby.
Ani zaklęcia ~~[illegible]~~ matki, ani uczyli
prócz nich postronnicy, nie potrafili o-
szalałego, porwanego wirem namięt-
ności człowieka, zwrócić na drogę
obowiązku. Im silniej nalegano
na niego, tem na przekór dokazywał
zuchwalej, zarabiając sobie z opinię
u świata.
Koniec był tragiczny. Kochanka, dla
której poświęcił wszystko, porzuciła
go widząc zrujnowanym; — zrozpaczo-
ny, życiem i namiętnościami wyczer-
pany, książe zmarł za granicą przy-
trzymany za długi. Żona poprzedziła
go do grobu.
Starej księżnie Zofij pozostał wnuk,
dzieciak, a z nim cały spadek dłu-
gów, grzechów, nieładu i rozpusty. —
Wierzyciele mnodzy grozili ogrom-
nym skandalem. Księżna stara, dbała
o zachowanie czystego imienia wnu-
kowi, naprzód popłaciła wszystkie
długi, układając się z wierzycielami.
Poszły na to prawie wszystkie ma-

majętności jej własne, klejnoty, oszczędności,- wszystko aż do sreber familijnych. Ale nikt się nie miał prawa poskarżyć na rodzinę i na imieniu plamy nie zostało.

Księżna Zofia musiała przebrnąć morze brudów, w którem na każdym kroku spotykała zwalane imię ukochanego syna; musiała zajrzeć w głąb wszystkich tajemnic rozpasanego życia, aby wnukowi tę przeszłość osłonić, ukryć ją przed nim. Nie było ofiary, którejby nie spełniła dla niego. Z życia ojca syn wiedział tylko że chory, musiał dla ~~[illegible]~~ zdrowia mieszkać we Włoszech, i tam padł ofiarą nieuleczonej choroby.

To co pozostało z wielkiej niegdyś majętności uszczuplone, odłużone, okrojone z tego co najlepszem było i najdroższem — mogło zaledwie starczyć na wychowanie wnuka i na utorowanie mu drogi. Chłopak miał powołanie do wojska i zapewnione w niem najwyższe protekcje; babka tuliła się nadzieją że przy pięknem imieniu, zdolnościach- pracą dawną świetność rodzinie przywróci.

Wychowanie młodego Rudolfa, po

smutnem

smutnem doświadczeniem na synu —
troskliwa staruszka otaczała nad-
zwyczajnemi, może zbytniemi ostroż-
nościami.

Trzymała go nieodstępnie przy sobie
dopóki mogła, wybrała mu duchowne-
go za pierwszego nauczyciela i prze-
wodnika, a po ukończeniu studjów
przy najpilniejszym dozorze — oddając
go do wojska, z macierzyńską troskli-
wością starała się, aby towarzystwo
które go miało otaczać, było wzoro-
wem trybu życia. Czuwali nad nim
w księdzu, porozstawiani, niewidzialni
aniołowie stróże.

Babka z obawy aby się w synu krew
ojca nie odezwała, zniżała się aż do
szpiegowania go, trwożyła najmniej-
sza, płochości oznaka; — najsilniej
strzegąc aby nie wpadł w te sieci sre-
dnie, które się jej wydawały najnie-
bezpieczniejszemi. Usiłowała go utrzy-
mać w kołach arystokratycznych i w naj-
lepszem towarzystwie. Jeżeli Ru-
dolf był w teatrze, zbliżał się do ar-
tystów, staruszka z trwogą niewypo-
wiedzianą, przygotowywała antidota,
badała wrażenia, obawiając się naj-
lżejszych symptomatów zajęcia.

Dotąd jednak piękny jak ojciec i
podobny do ojca

ojca, Księcia Rudolfa, wcale nie oka-
zywał ani ciekawości, ani pragnie-
nia zbliżenia się do tego świata,
który mu tak czarno babka malowa-
ła. Bawił się wybornie w paryskich
salonach stolicy, i był, mimo swoich
lat dwudziestu, prawie dziecinnie
naiwny.

Hrabina L— z tą salonową czułością
zimną, którą rzeczywiście tak często
do złudzenia naśladować umieją,
z twarzą tak przymiloną, z głosem tak
serdecznym, z ukłonem tak uszanowa-
nia pełnym zbliżyła się do uśmiech-
niętej staruszki, iż Księżna Zofia,
która mało teraz osób widywała -
przyjęła ją poruszona temi dowoda-
mi sympatij i wdzięczna.

— Od tak dawna już do babci (pow-
szechnie tak staruszkę nazywano)
tęskniłam! odezwała się sentymen-
talnie hrabina.

— Mój Boże! jakaś ty dobra! - odparła
Księżna głosem miłym i łagodnym.

— Wyrzucałam sobie doprawdy, że nie
mogłam babci odwiedzić, mówi-
ła dalej hrabina. My tu do niej,
jak do świętego miejsca pielgrzymo-
wać powinniśmy, i wy dla nas jesteście

przykładem i świętością!

Zarumieniły te pochlebstwa staruszkę, bo mimo pozornego przyjęcia z jakiem były wypowiedziane, brzmiały w jej sercu jakąś nutą fałszywą.

— Dziś nareszcie, zostałam chwilę wolna, — mówiła Ada przysiadając się i ciekawie przyglądając rozrzuconym przed staruszką na stoliczku robótkom włóczkowym i książkom pobożnym. — Ach! jak tu u babci cicho, miło i spokojnie, po tej wrzawie nieznośnej, w której my ciągle obracać się musimy.

Staruszka, której głowa działała coraz mocniej, pokiwała, uśmiechała się, słuchała i drżącemi rękami poprawiała swój skromny czarny stroik we włosach.

— Rozpoczęły się zabawy — mówiła hrabina, przyglądając się we zwierciadło. — Zabawy, które już do końca karnawału nie dadzą nam spoczynku. Wczoraj księżna Matylda inaugurowała przyjęcia świetnym wieczorem i — naturalnie amatorskim teatrem.

Złośliwy nieco uśmiech towarzyszył tym słowom.

— Ale to dla babci nie będzie nowiną, dodała, bo Ks. Rudolf przecież

był nie tylko gościem, ale czynnym pomocnikiem; i z roli swej bardzo się pięknie wywiązał.

Spojrzała na staruszkę milcząco.

— Czy się nie przyznał przed babcią, że grał doskonale i wszystkim się bardzo podobał. Istotnie ślicznym był i grał wybornie..

Zarumieniona Księżna zacisnęła swe pulchne drżące rączki..

— Dolfek — odpowiedziała nieśmiało, poczciwe, skromne dziecko, mówił mi tylko że się ubawił bardzo i że go to wiele kosztowało.. trudu.. Czekałam tak o niego niespokojna, iżem się położyć nie mogła i spać nie chciałam, siedząc aż do jego powrotu. Kazałam na niego czuwać i aby mi go zaraz przyprowadzono. Mówił mi że poszło mu nieźle, a co wieczorem i tańcem, zabawą — był prawdziwie zachwycony.

Hrabina słuchała uważnie, wlepiła oczy w staruszkę i chciała się jej dać wygadać..

— Ja — ciągnęła dalej Księżna — ja się dla mojego Dolfka tak wszystkiego boję! (westchnęła); lękałam się bo i tego wieczora, wolałabym była, żeby nie grał.. Chłopak taki nieśmiały, ta-

będzie szczęśliwi, śmieszności gdy raz przylgnie do człowieka, trudno się z niego ściera..

A potem!--

Zakaszlała się stara. Nienawykłej do dłuższego mówienia, tchu jej zabrakło. Spuściła oczy z jakimś dziwnym wyrazem wstydliwości, który dziwnie od srebrnych jej włosów odbijała.

— A! tak — moja droga — mówiła znowu — boję się wszystkiego dla Dolfka — ale trudno, młodego nie można pozbawić wszystkich przyjemności jego wiekowi właściwych. Musi się czasem zabawić. Wolę więc aby się bawił w dobrem towarzystwie, które go obroni od stosunków z zepsutym światem, z ludźmi bez wiary, dla których nic świętego niema.

Hrabina słuchająca z namaszczeniem, twarz miała tak poważną, iż poznać z niej nie było można, aby to porównanie dwóch światów, w duszy nie zupełnie znajdowała trafnem. Pomyślała jednak podobno, iż świat ten tak pięknie nie wyglądający, nie mógłby nie być lepszym od tego, który tajemnicy nie czynił ze swoich występków. Przeciwko własnemu synowi wystąpować nie godziło się hrabinie — spuściła oczy.

— Tak… zapewne! odpowiedziała zwijając w paluszkach batystową chusteczkę — to prawda! Lepiej jest niechaj młody chłopak we wszystkich sferach nawykał do przyzwoitego zachowania się, do szanowania przynajmniej pozorów… Bo — niestety! — kochana babciu! — i w tym naszym lepszym świecie tradycja się rwie, historje —

Księżna wpatrzyła się w mówiącą — biedna jej główka coraz silniej drżała. — Zbladła trochę, wargi jej poruszać się zaczęły, ale odezwać się nie śmiała.

— Zupełnie podzielam zdanie babci — mówiła dalej hrabina. — o tyle o ile nasze towarzystwo jest istotnie czém być powinno i czém niegdyś było… Niestety! dziś nawet takie osoby jak ta nasza kochana i nieoceniona, genjalna księżna Matylda, zaraziwszy się za granicą ideami nowemi — nasze salony coraz mniej jednorodnem zapełniają towarzystwem —

Potrząsnęła główką.

— Babcia sobie wyobrazić nie może, co to za mozaika była wczorajszego wieczora… O kogożmy się tam nie ocierali!

Zachmurzyła się księżna.

— Dolfek mi o tem wcale jakoś nie wspominał — szepnęła.
— Bo może nawet nie poczuł tego — przerwała hrabina. — ale my...!!
Niedokończyła znacząco.
Księżnie dość było tego aby ją trwoga ogarnęła, chciała jednak odwrócić rozmowę, aby nie pokazać tego..
— Aleście się bawili dobrze?
— Doskonale! zapewniam cię, temu niepodobna. Księżna w roli subretki jest czemś nieporównanem. Ani G....r, ani żadna artystka z powołania jej niewyrówna. Admiruję ją jak cały świat, ale nie mniej, nawet z jej talentem, jakbym tego fortuszka nie przypięła. O! nie!
Żywiej i powiedziawszy hrabina zamilkła i spuściła oczy skromnie.
Staruszka na wspomnienie teatru i artystek widocznie pobladła i utkwiła wzrok w swojej robocie, głowę podtrzymując ręką; druga dłoń jej konwulsyjnie drżała. Żaden z tych ruchów, żadne z tych wrażeń, do odgadnienia łatwych, nie uszło oka przybyłej pani
— Oprócz księżnej naszej, — mówiła dalej, w roli naiwnej, z talentem występowała,

występowała, śliczna bardzo – bo że jest mi się sprawiedliwość jej oddać potrzeba – jak anioł piękna, córka podobno jakiegoś dymisjonowanego pułkownika.. Nazwiska nie pamiętam.. Miała też nadzwyczajny sukces. Mężczyźni, nie wyjmując starego Mountcastle, ani małego biednego Dolfka, wszyscy w nią jak w tęczę, zachwyceni patrzyli. Przewracała im głowy! Niemożna się było do niej docisnąć.. Dolfek służył jej aż mi przykro było patrzeć.. a że takim młodzieniaszkowie jak on, biorą często nadto serjo takie wrażenia – przy [illegible] przestrogę.. Trzeba chłopcu powiedzieć aby się tak do pierwszej lepszej nie zapalał i nie okazywał tego tak jawnie.

Z załamanemi rękami, Starauklejżi na przylgnęła się do mówiącej.

– Kochana! moja! Jakto? Dolfek? Powiedz że to było tak widocznem, odcznającem? Na Boga! ale on mi niemówił o niej nic, oprócz że grała bardzo dobrze.. Wcale mi się nie zdradził z admiracją dla niej.. Może ci się to zdawało tylko...

Dolfek o kobietach nie myśli!

— Babciu kochana — odparła hrabina — za starą jestem, abym się w tej sprawie dała oszukać! Dolfek był zachwycony, latał za nią; wszyscy uważali że za kulisami nie odstępował jej, a ta go bałamuciła naturalnie, o ile mogła lekko.. posługiwała się nim, wołała, odprawiła — Uderzało to nie mnie, ale wiele innych osób.

Staruszka drżeć zaczęła tak mocno, że się w początku słowa odezwać nie mogła. Hrabina widząc jej przestrach, musiała złagodzić nieco swe ~~prędko~~ ostrzeżenie.

— Tylko znowu, niech babcia tego tak bardzo serjo nie bierze — rzekła śmiejąc się — ja ze zbytniej może troskliwości o Kuzynka pospieszyłam z tą denuncjacją, bo lepiej wcześnie zapobiedz.. ale Dolfek rozumny i stateczny... nie ma obawy..

— Któż to jest przecie ta panienka! trwożnie i nieśmiało spytała stara hrabina — należyż ona do naszego świata? Czy jest niebezpieczeństwo aby ją spotykał po salonach? Jakim sposobem się tam zakradła? Jak się zowie? co za familja?

– Umyślnie się potem o nią dowiadywałam – pomogła usłużna Kuzynka. Zdaje mi się że niebezpieczeństwo spotykania się z nią w salonach nie grozi – Matylda dla bardzo pięknej twarzyczki i talentu dramatycznego, jaki w niej odkryła wprowadziła ją do siebie – Zdaje mi się jednak, że te hołdy przesadzone, które jej oddawano, i [illegible] od niej zraziły.. Wyrzucała jej kokieterję.. Zresztą o ile wiem, nie bywa ta panienka nigdzie, chociaż po teatrach i przechadzkach ma być jej wszędzie pełno.. Dziewczę bez nazwiska.. bez stosunków, bez majątku.. Ojciec, jak mi mówiono, nie ma nic prócz wysłużonej swej pensyjki..

– Mówisz że piękna? Widziałem ją pierwszy raz z bliska.

– Niepodobna zaprzeczyć – piękna jest bardzo! brunetka, oczy czarne wyraziste, typ wschodni – Śmiała przytem, wyzywająca niby dziecinnie, ale z wielkim kunsztem. Zalotna! bardzo zalotna!

Obrazek w tych kilku słowach skreślony, przez hrabinę, tak smutnie blizko przypomniał tę dla której syn jej

syn jej stracił majątek a w końcu
życie postradał, że ukrywszy oczy
w dłonie, wypłakała się po cichu.
Tamta była także czarnooką, wyzy-
wającą, doskonałą artystką, kobie-
tą zachwycającą, — a — bez serca.
Widząc jak smutne wrażenie wywar-
ło jej opowiadanie na starszej hra-
binie zasmuciła się, zakłopotała.
Uczuła że nierozważnie posunęła
się za daleko, ale cofnąć się już nie
było podobna.
— Na miłość Boga — poczęła z czułością
pochylając się ku twarzyczce Zofji —
widzę, babciu kochana, żem nie-
chcący, okrutnie bolesną ranę
dotknęła! Daruj mi! niech bab-
cia tego tak do serca nie bierze — nic
się nie stało złego.. niema nic — i, da
Bóg, nic nie będzie. Miłość moja
tylko i poszanowanie dla babuni,
kazały mi tak niezręcznie być szcze-
rą..
— Ale, kochana moja — odezwała się sta-
ruszka, wyciągając ręce drżące do
wnuczki — ja ci, o wiem, z duszy i
serca wdzięczną jestem! Dałaś mi
dowód twego przywiązania, Zofijko
moja — nie zważaj na łzy moje,

dosyć jest połączyć ich źródło, aby wytryskały na nowo... Stara zdziecinniałam — boję się wszystkiego.
Lepiej jest że wiem o tém, choćby niebezpieczeństwo wymarzonem było, trzeba stać na straży... Dziękuję ci —
Zmieszana, zgryziona hrabina, rozmową tak nieszczęśliwie we łzach rozkropioną, zwróciła na inne szczegóły wieczoru, uniewinniając niejako Dolfcia przykładem starszych, zachwytem ogólnym, któremu wszyscy ulegli mężczyźni.
Księżna Zofia słuchała pilno tej jej obrony, ale smutek pozostał na twarzy.
Chwilę jeszcze starając się rozweselić gospodynię i zatrzeć pierwsze wrażenie, paplała przybyła pani, żartowała, dowcipowała, — wreszcie spojrzała na zegarek, porwała się jakby już jej bardzo było pilno, i pożegnała całując wzruszoną gospodynię, która przeprowadzić jej nie mogła bo sama z krzesła wstać nie umiała.
Zadzwoniła lekko...
Po wyjściu kuzynki, staruszka znużona spadła się na fotelu, ręką zakryła oczy i nieruchoma dumała długo.

Krok ten, który hrabina czuła się zmu-
szona uczynić, nabierał dla niej co-
raz większego znaczenia. Zmilczeć
i nie mówić o tem z wnukiem, czy
otwarcie go zagadnąć — było pytaniem
które usiłowała rozwiązać.
Miała-li tylko pilniejszy nad nim nadzór
rozciągnąć, czy wprost powagą swą
i miłością, jaką miała dla niego,
ostrzec i zaklinać aby na niebezpieczeń-
stwo się nie narażał, stosunków uni-
kał.
Po krótkiej walce wewnętrznej, przemo-
gło przekonanie ostatnie. Chciała
z nim być otwartą i szczerą. Cóż pomo-
gło że w początkach na postępowanie
syna zamykała oczy i milczała?
Rudolf, jak zwykle, powinien był
przyjść na obiad, po obiedzie posta-
nowiła rozmówić się z nim, nie tając
przed nim że oczu hrabinej nie uszło
zbytnie jego zajęcie pułkownikowną,
że ono i innych uderzyło..
Spójrzenie na zegar przekonało ją, że
godzina obiadowania się zbliżała. Ja-
dano tu zwykle, starym obyczajem,
pomiędzy pierwszą a drugą. Do stołu
przybywał raz na zawsze zaproszony,
nie chybiający nigdy, stary domowy
przyjaciel, który wychowywał Rudolfa,

abbé Voisin.

Był to mężczyzna spokojny, łagodny, czytujący wiele, na dużo rzeczy obojętny, nigdzie nie wdający się w polemikę; słowem jeden z tych duchownych dawniejszej szkoły, w których wiek XVIII. ostudził usposobienia bojownicze i żądzę propagandy. Charakter ~~[illegible]~~ miły, obycie się w salonie, nacechowane formami wielkiego świata, prawość charakteru, czystość obyczajów, zaleciły go dawniej księżnie, która po ukończonem wychowaniu wnuka, stałą dlań przyjaźń i wdzięczność zachowała. Rudolf też kochał go bardzo i szanował.

O kwadrans na drugą, gdyż w domu tym wszystko szło z zegarem nie chybiającym nigdy — cichy, powolny chód abbé Voisin dał się słyszeć, i maleńka jego figurka, z żółtą twarzyczką, z policzkami wpadłemi, małemi oczkami zmęczonemi i przymrużonemi, ukazała się w progu z ukłonem. Okrywała go sukienka czarna, a z dawnych zwyczajów zachował abbé trzewiki i pończochy, których i zimą nie zrzucał.

Rozmowa zawsze się rozpoczynała od

pogody i zimna, od słońca na termometrze, stanu ulic i t.p. Tym razem też albo zdał sprawę ze zjawisk meteorologicznych, których staruszka nie bardzo uważnie słuchać się zdawała, z niepokojem oczekując na zjawienie się wnuka.

Przed wpół do drugiej, szybki chód chłopaka, przerwał sprawozdanie księdza i piękny Rudolf, na którym wczorajsza zabawa nie zdawała się żadnem zmęczeniem przypominać – wsunął się z wesołym uśmiechem na twarzyczce..

Była to uosobiona młodość – tylko co rozkwitła, rozpromieniona, i która tym pyłkiem wiosennym okryta, który młode owoce wynoszą z kolebki. Ślicznym był, jako typ wyszlachetniony tej krwi starej, która przez wieki i pokolenia pracowała na to tylko aby się stać idealnie piękną ciałem. Wszystkie walki ducha, wszystkie trudy i boleści, co ciało złamać mogą i wyryć na niem ślady jego pobytu na ziemi – nie dotykały jej. Spadały na innych – cudzemi dłońmi, krwią i łzami okupywała swe wyszlachetnienie, i – jakże majestatycznie piękną

być nie miała? Pobyt ten rzeźbiły wieki.

Ale na czole jego jaśniéjmi w jego oczach tak było korzeczyd, na ustach tak różowych, jak wielu posągom greckim brakło może myśli i wyrazu. Duch spał pod tym marmurem nierozbudzony, bo często — bo zawsze prawie, boleść go dopiero budzi i potęgę mu nadaje.

Wszakże Rudolf, mimo całego swego wdzięku, był nieco, ładną laleczką, trochę bezmyślnym Antinousem — ale jak miło było spojrzeć na tę postać. Ale której życie zdawało się nie mieć grzéb żadnych — która nie wzypiła o niczém i która śpiewając na jego spotkanie!

Spojrzawszy nań babka, z podwójną czułością, ręce wyciągnęła ku niemu, jakby trwoga stracenia skarbu miłości jéj zwiększyła. Rudolf podbiegł całować jéj ręce, a na rozkaz — musiał pocałować w czoło.

Stary służący właśnie drzwi otwierał i wnuk z jednéj, abbé Voilin z drugiéj strony podali ramię księżnéj. Która z ciężkością wstała z krzesła i powoli, spierając się na nich, przeszła do jadalnego pokoju.

Obiad odpowiadał domowi. Wszystkie formy pańskiej, wystawnej kuchni zachowane były, ale potrawy ściśle obrachowane na liczbę osób, do których przyłączyła się podżyła towarzyszka i przyjaciółka księżnej, kobieta średniego wzrostu, chuda i żywa, z twarzą surową i niepiękną. Potrawy nie odznaczały się ani wyborem ani przyprawami. Księżna jadła mało, abbé Voilin także, tylko młodemu panu po dwakroć przynoszono półmiski, które opróżniał z apetytem wiekowi właściwym.

Przy obiedzie mówiono zwykle mało, śmiano krótko. Towarzyszka gospodyni i ksiądz ożywili rozmowę, czasem wesoły śmiech Rudolfa ją ożywił. Kawę czarną podawano w pokoju staruszki, a że po niej zwykle w krześle swojem drzemała trochę, abbé Voilin wysuwał się po cichu i wkrótce szli za nim.

Dnia tego Księżna, prowadzącemu ją na kawę wnukowi, kazała, aby pozostał z nią, bo ma mu coś do powiedzenia.

W chwili gdy abbé Voilin, wyszedłszy jak zwykle, zaczął mówić ze swym

dawnym uczniem rozmowę, spostrzegł
że był sam, i cichym krokiem odda
lił się, domyślając się że babka zatrzy
mała Rudolfa.
Pozostali sami. Staruszka czas jakiś
wahała się rozpocząć - wypogodziła
twarz, przywołała na nią uśmiech,
przybrała ton żartobliwy, chociaż ból
drżał w jej głosie.

— Wczoraj ~~wieczorem~~, była u mnie hra
bina Z., oderwała się spoglądając
na wesołego chłopaka, po którego
twarzyczce przebiegły rumieńce - no!
i oskarżyła cię przede mną.

— Mnie? o co? Cóżem ja jej mógł
zawinić?

— A! nie skarżyła się też za siebie -
dodała uśmiechając, ale obwinia cię o
złych im grzeczności i nadskakiwanie
tej jakiejś pułkownikównie, z którą
graliście razem..

Rudolf zmięszał się jak winowajca
na uczynku pochwycony, ale poczu
cie swej winy, chciał w uśmiech obró
cić.-

— Babciu kochana! Cóż znowu! Zano
to - przecież muszę temu być grzeczny..

— I podobno byłeś zanadto - mówiła
stara.. Musiało to być udręczającem,

kiedy i ona i inni to spostrzegli-
Kiedy nawet mówiono o tem.. żarto-
wano.. Dziecko moje, nabawiłeś
mnie niepokojem!
Rudolfowi czoło się trochę zmarszczyło.
— Nie masz doświadczenia, młody jes-
teś - ciągnęła dalej - Nie wiesz tego,
że bardzo niewinne takie zajęcie
chwilowe, biednej dziewczynie może
główkę zawrócić, a od tego zawrotu
i twoja się zakręcić może. - Na
cóż się to zdało! Tyś jeszcze dziecko-,
a ta osóbka tadraczka, tam spotka-
na przypadkiem, nie należy do na-
szego świata.. Mój drogi! trzeba
być bardzo ostrożnym -
— Panna pułkownikówna Makolich,
przerwał Rudolf.. jest osobą bardzo
dobrze wychowaną, a kiedy księżna ją
przypuściła do towarzystwa..
— Przecież wiesz że ona i artystów
z powstania wprowadza do swego
salonu - odpowiedziała księżna i za-
drymała się trochę..
— Ja tego nie biorę na serjo - dodała,
bo to jest dzieciństwo, ani się spodzie-
wam się - ale mi niemiło że ludzie
mówią o tem..
— Zdaje mi się, odparł zamyślony

Rudolf, że opowie hrabinej, nikt pewnie nie mówi o tem, bo nikt by o czém. Musi ten być grzeczny jak wszyscy.. a – doprawdy –

– Wszystko podobno, przerwała babka – nazbyt się krzątali około tego dziewczęcia. – a ~~po~~ ona miała, jak powiada hrabina, nazbyt zalotną być dla wszystkich. Już to samo powinno od niej odstręczać – widać że dziewczę jest płoche. Z tego co mi mówiła Kuzynka, domyśłam się że wychowania bardzo dobrego odebrać nie mogła.. Proszę cię, Dolfku, daj mi słowo, że szukać jej i o bliższą z nią znajomość starać się nie będziesz. Uczyń to ~~dla~~ dla mojego spokoju – Nie chcę aby ludzie płochym cię trzpiotem zwali., wiesz jak ja tego nie lubię.

– Babciu kochana – żywo przerwał, ręce jej całując wnuk – Jakże ja mogę zaręczyć że znowu gdzie w jakim domu jej nie spotkam? A niegrzecznym być sama babcia nie pozwala.

Hrabina spojrzała nań błagająco.

– Daj mi tylko słowo, że się starać nie będziesz odnawiać znajomości

Wiesz czem ty jesteś dla mnie, jedynaku mój - lękam się, niechcę aby mi kto ciebie odbierał. Jestem o skarb mój zazdrosna.
Wymówiła wyrazy te z takiem przejęciem, wyciągając ku niemu ramiona, że Rudolf zapomniał o wszystkiem, nawet o tych czarownych oczach, o których od dni kilku marzył ciągle, i, przyklęknąwszy przed babką, całując jej ręce, uspokoił ją zupełnie.
Uściskała go staruszka, a łzy stały w jej oczach. Wydał się jej taki do syna podobnym, do tego ojca, po którym spadku krwi się obawiała.
— Babciu droga! bądź że spokojna! szepnął Rudolf wychodząc.
Ale za progiem stanął jak wryty - serce mu się ścisnęło - wyrzec się jej! wyrzec na wieki!! To nad siły!!

V.

Nazajutrz po wieczorze u księżnej, chociaż pułkownik Makolich, salon swój jak najstaranniej na przyjęcie gości przygotował, w wydatniejszych miejscach ustawiając naczynia, o których ~~[illegible]~~ miał ciekawe opowiadać historje: choć Kolina trochę się także kogoś spodziewała, nadzieje zawiodły - nikt się nie zjawił.

Pani Boehm była tem wielce zdumioną, bo i ona wierzyła w ten urok niepo-zwyciężony, jaki wychowanica jej wywierała na wszystkich, których pozyskać chciała. A że wielu zawsze zdołaj u-sidowała, wiedziała o tem dobrze.

Pułkownik przy herbacie wieczornej rozstrzygał to pytanie czy dystyngwowanym osobom, z którymi na wieczorze u Wiżinej zabrał znajomość, nie wypadałoby mu pierwszemu oddać wizyty.

Były pomiędzy niemi ekscellencje, i ludzie wyżsi daleko stanowiskiem w świecie od dymisjonowanego pułkownika. Kwestyi tej nie umiał sam rozwiązać, a że o Kolinę więcej szło niż o niego, że on nigdy nic nie przynał bez jej przyzwolenia, wierząc w jej rozum i znajomość świata; w chwili gdy zasiadali do podwieczorku, głośno zadał jej pytanie, jakby postąpić należało.

Kolina wprawdzie pragnęła bardzo utrzymania tych znajomości i zawiązania stosunków, ale była zarazem dumna — namyśliła się trochę.

— Nie-nie, odparła stanowczo potrząsając główką. — Ojcu nie wypada tak się ubiegać o te znajomości, miałoby to pozór jakbyśmy ich łowić życzył dla

dla mnie, jakbyśmy my napraszali się i żebrali względów u ludzi.

— Ależ to prosta grzeczność, wrzucenie biletu — rzekł pułkownik, należąca tym którzy sami pierwsi szukali ze mną zaznajomienia.

— Tak — odparła Rolina, być może iż w świecie tak jest przyjętem, ja pierwszem... ale, niech ojciec poczeka. Śpieszyć się nie należy. W ostatku, gdyby się to okazało nieuchronnem, zrobimy wybór.. Ja niepotrzebuję się napraszać.. nie chcę.

Trochę rozdrażnienia tem zaniedbaniem dnia dzisiejszego przyjęto w głosie Roliny, chociaż miała się czem pocieszyć. Trzy prześliczne bukiety złożono dla niej bezimiennie u odźwiernego. Odgadywała rozmaicie tych co je przysłać mogli — Amerykanin, Książę Rudolf, — baron St. Foix..?? jeden z mniej znanych może wielbicieli? a i ów młody poeta-artysta, z którym się spotkała rano, czasem jej przysyłał kwiaty! Marysia nad temi bukietami, każdy z nich rozpatrywała starannie, bo któż wie co się czasem może wśród kwiatów ukrywać? Na koronkowych ich opaskach szukała jakiejś

jakiegoś znaku. Wszystkie one (że było jawnem) pochodziło z głównego składu kwiatów na Ringu, tamtędy więc można było dowiedzieć się ~~mniej~~ coś może? Ale ona sama nie chciała się zdradzać ze swą ciekawością – musiała więc badanie polecić Balbinie. Tym czasem pani Bochm, z którą się od dni kilku ciągle prawie spotykała (choć ją stan był chroniczny) – nie zdawała się usposobiona, do tego rodzaju posługi.

Wieczorem więc, zręczna a pewna siebie Rolina, z większą łagodnością zbliżyła się do ojcowskiej gospodyni, której nie cierpiała za to że pułkownik nadto był do niej przywiązany, i z powodów, które się wyjaśnią niżej.

Balbina z początku zimna, dała się w końcu pociągnąć i ująć.

– Byłabyś bardzo, bardzo grzeczną dla twej niewdzięcznej, kaprysnej wychowanicy – odezwała się – gdybyś....

I rzecz szepnęła jej na ucho.

– Bardzo jesteś ciekawą, którzy z twoich wielbicieli są najgorętsi?.

– Tak jest, bo potrzebuję wiedzieć na kogo rachować mogę.

– A jest ich tak wiele! dodała z przekąsem Balbina.

Pułkownikówna poruszyła ramionami.

— Moja droga! odezwała się z westchnieniem — biedne dziewczę jak ja musi na przyszłość pamiętać i wszystko wyzyskać.

Pani Boehm uśmiechnęła się —

— Wiesz, rzekła swobodniej, dawno już temu bardzo. Za lepszych moich czasów byłam raz w Homburgu przy ruletce. Stało przy niej dwóch graczów. Jeden z nich, za każdym razem obstawiał wszystkie niemal numera; drugi grał tylko na jeden. Więcej który z nich wygrał?

— Dla morału musiał wygrać ostatni — śmiejąc się odpowiedziała Rolina. Ale — cóż robić! ja muszę stawiać na kilku, bo pilno mi choć jednego wygrać!

Nazajutrz rano p. Boehm poszła do magazynu kwiatów, niosąc z sobą opaski i opis bukietów. Była dosyć dobrze znajoma z kupcową, badała zręcznie, nie zdawało się aby proszono o zachowanie tajemnicy, jednakże nic się nie dowiedziała.

— Jak pani chcesz abyśmy my pamiętali komu [się] co sprzeda? jak ten który kupujący wyglądał? Tyle się tu osób codzień przesuwa! — a większej

części zupełnie nieznajomych. Jeden tylko z tych bukiecików, przypominam sobie, kupił młody, piękny chłopak, syn bankiera Mortimera — chociaż i za to ręczyć nie mogę! Tak mi się zdaje! Znacie go?

P. Balbina nie przyznała się do znajomości, chociaż Rolina tak mało tajemnicy czyniła ze wszystkich swych stosunków, tak często rozgorączkowania w sobie ukryć nie mogła, że kilka razy o nim przed swą towarzyszką wspominała. Boehm powróciła ze swej wycieczki z jednym tylko domysłem, który najmniej był pożądany.

Nazajutrz Rolina nie wychodziła wcale; miała przeczucie gości, była ich niemal pewną, a że bez ojca przyjmować ich samej nie wypadało, na pułkownika, który, stęskniwszy się za antykwarjuszami, już się do miasta wybierał, położyła sekwestr i zmusiła go by pozostał. Nie prosiła go o to, ale, zwykłym sposobem, wydała rozkazy.

Czapkę mu z rąk wyrywawszy, zawołała nadąsana:

— Że też papa jednego dnia w domu spokojnie przesiedzieć nie może — właśnie dziś, prawdopodobnie ktoś

z wizytą przyjść musi. Potrzeba będzie przyjść a mnie samej jakoś nie wypada-
Proszę bardzo - zostać.

Pułkownik do kamaszy nawykły, rozśmiał z tego ordynansu, cofnął do swojego pokoju i cygaro zapalił.

Około dwunastej, jak przeczuwała Rolina, dzwonek się dał słyszeć u drzwi.

Była już przygotowaną na przyjęcie gości, i ubraną z tym smakiem i umiejętnością, na której nigdy jej nie zbywało.

Dokazywała cudów ze swą tualetą, gdyż sukien i ubiorów nie miała wiele, tak sobie umiejąc radzić z temi gałgankami, z taką zręcznością jedne drugiemi urozmaicając, tak je do twarzyczki dobierając, iż zawsze się wydawała świeżą i wystrojoną.

Starała się niby o prostotę ubioru, chociaż zawsze w nim coś było oko pociągającego i jaskrawego.

Dnia tego ubrała się czarno, skromnie z tem nie ładnie i siedziała w tualecie w salonie, trzymając w ręku książkę, której nie czytała, gdy służąca przyniosła bilet - pana Estebana Corcero-Prolados.

Oczki jej powesełały.

Pułkownik pośpiesznie wyszedł ze

swego

swego pokoju na spotkanie amery-
kanina, który był mu prezentowany w
Hiszpanii.
Mohulich, ciekawy gdy szło o ludzi, którzy
posądzać że się o jego córkę starać mogli,
pilno się dopytywał o amerykanina
u wszystkich swoich znajomych, ale do
wiedział niewiele.
Najrozmaitsze zdania obiegały po świe
cie o tej zagadkowej postaci. Nie
którzy z tajemnicy jaka go otaczała,
nic dobrego nie wnosili, inni mieli
go za jakiegoś politycznego agenta,
większa część wiedziała tylko iż był
bardzo bogaty, tracił wiele i żył na
wysokiej stopie, a — żyć lubił.
Niewiadomo było kto i kiedy wpro-
wadził go we wszystkie towarzystwa
stolicy, ale bywał przyjmowany w do-
mach najarystokratyczniejszych, ocierał
się o świat wielki, nawet taki który
nie łatwo przystępić do siebie dozwa
lał. Mówiono iż widywany bywał na
balach u dworu, na wieczorach u am
basadorów i ministrów.
Jeździł zwykle ekwipażem, ze strzel-
cem lub kamerdynerem.
Pomimo tych pozorów dostatku, Don
Esteban, dla wielu był nie zupełnie

jasną postacią, i ostrożniej się unikali z nim poufałych stosunków.

Znajdowano że wykształcenie jego wiele zostawiało do życzenia, był zręczny, rozkoszny, ale się zdradzał z niewiadomością wielu rzeczy, które w Europie do elementarnych należą. Szło to na rachunek amerykańskiego pochodzenia.

Roliny sąd o nim był surowy, znajdowała go, naprzód, czem był w istocie, że jest okrutnie brzydkim, wyraz twarzy wydawał się jej dziki, nad umysłowemi jego przymiotami nie unosiła się też wielce, — ale miliony, o których tyle mówiono, czyniły go znośnym, nawet ponętnym. Uśmiechała mu się, wdzięczyła do niego, tak naturalnie, tak żywo i niewymuszenie, jak do pięknego kuzyna Rudolfa, i do Adama Mortimera i — do innych wielu.

Miała już taką wprawę, taką moc nad sobą, że ta zalotność nic jej nie kosztowała.

Amerykanin wszedł do salonu niezręcznie trochę, nieszykownie, co znowu na obyczaj amerykański złożyła Rolina, przywitał się z nią podaniem ręki, drugim takim uściskiem

z pułkownikiem, i usiadł na wskazanem krześle, rozmowę zaczynając w sposób pospolity, od wieczora u Księżnej, i teatru, o którym w całem mieście dotąd mówiono.

Bomba nawet dała na pierwszej stronnicy karykaturę Księżnej w stroju Subretki, przedstawiając ją jako przyszłą spadkobierczynię panny G... którą Berlin chciał wydrzeć Wiedniowi. Karykatura była doskonała, a Księżna miała tyle taktu, że zamiast się pogniewać za nią, pierwsza się z niej uśmiała i położyła ją w salonie swym na stole.

Dowcipna, łatwo prowadząca rozmowę w każdym przedmiocie, oczytana i pojętna, Kolina z pierwszych słów rozmowy z amerykaninem, utwierdziła się w dawniej powziętem przekonaniu, iż ma do czynienia z człowiekiem mało wykształconym i ciasnej głowy. Ale to, równie jak brzydkość jego, wcale jej nie zrażało. Nawet na męża zasądowała Don Estebana z temi przymiotami ujemnemi, dogodniejszym niż gdyby nazbyt był mądrym, uczonym i dowcipnym.

Gdy się w rozmowie jąkał, pomagała mu wysłowić i radowała szczerze.

Don Esteban też więcej mówił oczyma zaiskrzonemi niż ustami, a rozmowa na wejściu szła obojgu doskonale. Rosina paliła go wzrokiem naprzemian śmiałym i skromnym. Makolich opanowany tylko tą myślą, aby się czegoś pewniejszego o gościu dowiedzieć, w sposób najniezręczniejszy badać go próbował.

Amerykanin jednakże, mimo całej swej niezgrabności, miał baczenie na siebie i pochwycić się nie dawał. Zbywał go ogólnikami.

Makolich pytał go od jak dawna podróżuje po Europie.

— O! rok już przeszło jestem na kontynencie, rzekł don Esteban — było mnie wszędzie pełno. Czas jakiś bawiłem w Londynie, trochę potem w Paryżu.. Byłem ciekawy Madrytu.. ale ten mi się nie podobał. Dostawszy się teraz do Wiednia, przyznaję się że nie mam ochoty tak rychło się z tąd wyrwać. Znajduję stolicę tę bardzo przyjemną, bardzo gościnną, muszę powiedzieć że jestem nią zachwycony.

— Jeżeli pańskie interessa gdzieindziej go nie powołują — przerwał Makolich — dla czegożby nie mógł pozostać z nami?

Na wspomnienie o interesach amery-
kanin z razu zaniemiał, obejrzał się,
pomyślał i rzekł zwolna cedząc –
– Interesa moje nie wymagają wcale
powrotu do Ameryki. Zresztą, zależy
to od wielu okoliczności..
Pułkownik zagadnął zbyt napastli-
wie o ziemskie posiadłości, które
zawsze pańskiego oka wymagają.
Don Esteban popatrzył nań milcząco
znowu, namarszczył się nieco.
– A! tak! uczuł – ziemskie posiadłości –
wielce kłopotliwa to rzecz, ale
na to są administratorowie i dzier-
żawcy.. Mam dobrych ludzi –
Nareszcie Makolich spróbował do-
trzeć i wyciągnąć z niego wiado-
mość w której Rzeczypospolitej, stanie
czy państwie leżały majątki
Don Estebana; co wywołało silny
rumieniec na twarz, i tak już czer-
woną, amerykanina, który zabełko-
tał coś niezrozumiałego, i nagle,
nadał zwrot rozmowie zupełnie no-
wy, okazując iż badanie to nie mi-
łem mu było.
Pułkownik zmieszał się nieco, i od-
kładając inkwizycję na później,
starał się grzecznością naprawić, co
natrętna ciekawość popsuła.

Don Esteban począł z kolei wypytać o piękności i wspaniałości naddunajskiej stolicy. Chciał się od pułkownika dowiedzieć o wartości domów w mieście, villi w okolicach i czyby za jakie pół-miljona dolarów coś rzeczywiście pańskiego i pięknego nabyć tu można.
Summa ta dała Makolichowi wielkie pojęcie o skali na jaką mieć miało wykonanie interesu, uradowała go.
Rolina też ożywiła się i rozweseliła posłyszawszy to, zbliżyła się nawet do gościa, który tak lekko mówił o pół miljonie dolarów, i uśmiech jej stał się słodszym jeszcze.
Makolich pośpieszył z informacjami, przytaczał wiadome mu ceny kilku większych posiadłości, daleko przystępniejsze. Ale Don Esteban wymagał wiele. potrzebował stajni obszernych dla koni powozowych i wierzchowych, wozowni, oranżeryj, narazie i salonów kilku i apartamentów dla gości i lokalu dla służby licznej.
Wszystko to kazało się domyślać pańskiego trybu życia, i odpowiednich do tego zasobów. Zdawało się więc nie legać wątpliwości że nabab był majętny bardzo, choć Rolinę coś uderzyło. że — takie jakie czasem

miał ruchy i minę.

Mokolichowi, równie niezgrabnie jak wprzódy udało się niedyskretne wtrącić pytanie, o rodzinę, którą Don Esteban mógł pozostawić w Ameryce. Trochę zniecierpliwiony już gość odparł dosyć szorstko, że niemiał nikogo z rodziny, oprócz starej matki, która za nic w świecie niechciała się przesiedlić do Europy.

— Co do mnie, dodał — gotów tym nie powracać do nowego świata.. Życie w Europie znajduję daleko przyjemniejszem, a nawet klimat zdrowszym.

Po chwili spoglądając na Rolinę, rzekł że życzeniem jego było usłać tu sobie gniazdo i przenieść się do jednego z państw Europejskich. Wyborem tylko jeszcze niebył pewnym. Na pociechę pułkownika przyznał się naiwnie że mógłby się ożenić, bo mu życie kawalerskie się sprzykrzyło, i powodować się chciał jedynie sercem itd..

Wyznanie to było tak dziwnie wyrażonem, a przychodziło tak po amerykańsku jakoś niespodzianie i prędko, że pułkownikówna naprzód odpowiedziała dziwnym nań krótkiem wejrzeniem śmiałem, — zarazem przyzwoitem

spuściła oczy wstydliwie. Gdy je potem znowu podniosła na gościa, nabrały takiego wyrazu czułego, iż Don Esteban zadrgał na krześle, jakby chciał ją porwać z niego i popełnić jakieś nieprzyzwoitości.

Do tego jednak nie przyszło. — Pułkownik wprawiony w humor doskonały, śmiać się zaczął i dowodzić że nie było w świecie nic łatwiejszego jak w Wiedniu się ożenić, a razem iż nie było nic rozumniejszego nad ożenienie w Wiedniu, gdyż wiedenki były najpiękniejszemi i najmilszemi kobietami na całej kuli ziemskiej.

Don Esteban zgadzał się na to i bardzo ogniście aforyzmy te potwierdzał.

Rozmowa doszedłszy do tego punktu kulminacyjnego, dalej już stawała się prawie niemożliwą. Zabiegła od razu za daleko..

Wymieniono więc parę wejrzeń znaczących, w przekonaniu Koliny mających przykuć tego człowieka do jej stóp i Don Esteban się oddalił, prosząc o pozwolenie bywania w domu, dla którego i.t.d.

Makolich nie tylko go wyprowadził do przedpokoju, ale sam własnoręcznie

podał mu futerko.

Powróciwszy do Saloniku zastał córkę z takim wyrazem tryumfu na ślicznej twarzyczce, tak szczęśliwą, i rozpromienioną, iż począł od uściskania jéj.

— No! zawstydź — co temu łosi głowę zawróciła?!

— Proszę mi tylko w niczem się nie sprzeciwiać, nie przeszkadzać, nie mięszać się do niczego — i gry mi nie popsuć! odparła popędliwie Kolina — Jak zaczęłam tak dokończę —

Nie mieli czasu dłużej rozmawiać o tym przedmiocie, gdyż dzwonek u drzwi dał się słyszeć znowu. Kolina co prędzej usiadła, starając się uspokoić, aby przybywający nie zastał jéj tak wzruszoną. ale — któż to mógł być?

Służąca nie przyszła oznajmić nikogo. W progu stał bardzo przystojny blondyn, słusznego wzrostu, zbudowany kształtnie, coś wiejącego mający w wyrazie twarzy spokojnej, poważnej, ogorzałej nieco. Włosy jasne, i wąs złotawy, duże niebieskie oczy, owal przedłużony, nos rzymski, cały krój fizjognomij miał w sobie coś cudzoziemskiego, nie niemieckiego.

Makolich, który w galicij stał długo,

domyślał się po lakaja, ale gościa sobie przypomnieć nie mógł — ani on, ani Rozina, której oczy niespokojnie go badały.

Gość stał z półuśmiechem zagadkowym na ustach, czekając aż go sobie przypomniano i poznano.

— Widzę, odezwał się w końcu głosem łagodnym i śpiewnym, że choć dawny dobry państwa znajomy — będę się im musiał zaprezentować na nowo.

Podszedł kilka kroków wyciągając rękę ku pułkownikowi, a oczów nie spuszczając z Roziny, której rumieniec okrył twarzyczkę nagle.

Ona już go po głosie poznała.

— Jakto? mówił przybyły — pułkownik już sobie ani Bronisiowa, ani Bronisiowica, ani Staszka nie przypominasz?

Makolich z okrzykiem obie ręce podniósł do góry, wołając:

— Saperment! hrabia!!

Rozina żywo podbiegła ku niemu.

— Ależ bo zmieniłeś się, hrabio!

— Zestarzałem! nieprawdaż?

— Nie, ale z młodzika wyrosłeś na mężczyznę.

Witano się bardzo serdecznie.

— Wieleż to my lat niewidzieliśmy się?
pomyślał Makolich.
— Pięć lat, panie, z okładem lat kilku-
rych na pannie Rolinie nie znać
wcale, mówił przybyły — ale ja tym
jej poznał wszędzie.. Pułkownika
także.. Tylko ja tak się musiałem
strasznie zmienić —

Pięć lat temu, pułkownik jeszcze w czyn-
nej służbie, dowodząc Regimentem
Artylleryi ..... stał z nim pod
ówczas w Galicyi, około Przemyśla,
a główną kwaterę miał w Kroniszewi-
cach, należących do ojca Stasia Bro-
nisza, naówczas kończącego jeszcze swe
studja uniwersyteckie.
Makolich miał tam z sobą naówczas
Rolinę, nieodstępną od niej panią
Boehm, i — sierotkę, dziewczynkę którą
P. Kalbina serdecznie się opiekowała,
a Rolina ścierpieć jej nie mogła.
Ze starym hrabią Broniszem Mako-
lich był w bardzo przyjacielskich sto-
sunkach, niemniej tylko poniekąd ser-
decznych. Między Roliną, też młodo-
dziuchną a akademikiem zawiązał
się romansik niewinny, poetyczny —
wiosenny. Listy czułe, schadzki kra-
dzione, cała historja pierwszej,
czystej, idealnej miłości dwóch serc

po raz pierwszy bijącego – odegrała się pod cieniem starych lip Broniszewickich.
Szczęściem czy nieszczęściem stary hrabia się jej domyślił czy podpatrzył jej i syna co prędzej wyprawił do Krakowa.
Poprzysięgano sobie miłość wieczystą, wierność do grobu, a potem.. potem w kilka miesięcy Rolina już bałamuciła adjutanta pułkowego. hrabiego.. którego służba wprawdzie gdzieindziej powołała, – potem znowu padały liczne ofiary.. choć Stasieka jej może żal było..
Stasieck się kochał stale i niezapomniał o swym ideale..

Stara to była rodzina szlachecka tych Broniszów, która nigdy dawniej innego tytułu nie miała nad tytuły urzędów, które ostatnio jej sprawili w rzeczypospolitej. Po podziale kraju Bronisze, jak inni, w zamian za postradane dygnitarstwa, otrzymali hrabiowską koronę..
Nigdzie teraz niema więcej hrabiów i baronów jak między naszą szlachtą polską, co tem dziwniejsza, że nigdzie mniej by ich być niepowinno

nie powinno jak u nas.

Stary Bronicz z początku nie smakował w tym Reichsgrafie, który mu cudzoziemsko brzmiał, w końcu się przyzwyczaił do niego. Tytuł ten dawał pewne przywileje i nie był do pogardzenia.

Lecz, choć Reichsgraf, stary pan Szczepan Bronisz, był czystej krwi szlachcicem, ze wszystkiemi przymiotami i wadami swego rodu.

Szlachetny, gościnny, serdeczny, położny, dbający o cześć swoją i imienia, był zarazem trochę dumny, lubił się postawić, dom trzymał otwarty, starał o popularność, nie wahając jej zdobywać czapką i papką.

Nosił się pan Szczepan po polsku, i mimo wieku był pięknym mężczyzną, dla kobiet galantem. Wdowcem, około gospodarstwa sam niewiele robił, na ludzi się spuszczając, zatrudnienia wytrwałego nie znosząc.

Zdawało się że, pomimo tej fortuny, jak drudzy nie tracił; i ciągle biedował chcąc jedynakowi swemu zostawić jak największą. Krzątając się, zabiegając, rojąc iż go w końcu z jaką Potocką, lub Sapieżanką ożeni, dla podniesienia splendoru domu -

ożenienia zaś innego jak z polką,
chciłby mu uszczknięcia krwi dla syna
ofiarowano, nie przypuszczał. –
– To rzecz wiadoma mospanie, powiedział,
że po matce idą dzieci. Z ojca biorą
imię, a ducha i język z niej. Więc po
lakami by nie byli, żeby się nie z polką
ożenił, a tego jakbym nie zniósł..
Romansu z panną pułkownikówną Maho-
lick stary hrabia nie wziął na serjo,
ani się go ulękł tak bardzo, utrzymu-
jąc że – to wywietrzeje.
Tym czasem Stasiek serdeczny tkliwy
w pięknej Kolince zakochany szalenie,
z ust jej, pierwszy raz w życiu spiwszy
nektar pocałunku – że pięć lat odda-
lenia i milczenia, wcale wspomnień
miłości tej nie zatarło. Owszem rosła
ona i spotęgowała się w piersi jego.
Znalazłszy się w Wiedniu przypadkiem,
gdy się tu dowiedział o Maholickach,
jak szalony, rozgorączkowany pobiegł
zaraz ich szukać.
W progu dopiero ochłódł nieco, ale
ze strachu! a teraz stał przed nią,
tak poruszony, że ledwie mógł mówić.
Pierwsze marzenie szczęścia, żywe
zjawiało mu się znowu..
I panna zmieszana lecz była mocno.
Przyszły jej dalekie na myśl, wieczorne

schadzki pod starą lipą, przysięgi, li-
sty i pocałunek. — Dziś były to dla
niej tylko przypomnienia dziecinne, pierw-
szych niepewnych kroków życia — śmia-
ła się z nich niekiedy — a jednak, gdy
zobaczyła Stasika przed sobą, pierś
się jej poruszyła, uderzyło serce.
Nie wiedziała, ale się jej zdało że ten
stosunek, który ona miała za dawno
skończony, on nie brał za prostą
dziecinną igraszkę i przychodził mo-
że przypomnieć jej owe przysięgi..
W oczach jego czytała niewygasłe
wielkie uczucie..
Dla niej, chociaż miała teraz na
względzie milionowego amerykanina,
syna bogatego bankiera, młode
książątko i wiele innych, kuzyn
Stanisław Woronicz, nie był też do po-
gardzenia. Jedynak, uważany jako
przyszły dziedzic dóbr rozległych — gdy-
by nawet ojciec był usilnie prze-
ciwny, co przewidywała, mógł cze-
kać, mógł się ożenić, dotrzymując
złożonej pod lipą przysięgi.
Wszystko to z szybkością błyskawi-
cy przebiegło przez myśl Rolinie i
postanowiła — sama nic odzywać się
z niczem, nic odnosić do wspom-
nień, ale nie odpychać i nie od—

odstręczać Staśka, jeśliby je wznowił-

Miała nawet pewną skłonność do tego pierwszego swego wielbiciela, do tego ładnego Stacha Bruniłka, który teraz zmężniał, wypiękniał jeszcze, a przedstawiał się, choć trochę wieśniaczo, ale niemniej arystokratyczniej niż wszyscy.

Stary Makolich aż się rozpłakał przypominając dawne czasy służbowe, rozpytując o kolegę Szczepana i o znajomych sąsiadów, z którymi jeździli na polowania.

Kolina, temi samemi oczyma, które jej przed chwilą służyły do oddawania przytomności amerykaninowi – słodko, smutnie, serdecznie spoglądała na swą pierwszą miłość.

Nie była jednak całkiem pewna czy miała prawo nazywać ją pierwszą, bo przedtem jeszcze, nim krótką zrzuciła sukienkę, raz ją P. Bochen pochwyciła *in flagranti*, przy pisaniu biletu do studenta..

Ale romans z Bruniłem miał sposobność rozwinąć się w pełni, aż do przysięgi i – pocałunku pod lipą – i księżyc tak mu pięknie zawsze przyświecał, a słowiki wtórowały.

Z pierwszych wyrazów Staśka

przekonała się Rolina, iż w nim uczu-
cie nie wygasło. Był taki wzruszonym,
przejętym serdecznie, a tak zdawał
się pewnym że tu na niego oczekiwa-
no.. – Powinna była mu się za to wy-
wdzięczyć.
Na chwilę odwołano pułkownika.
Korzystając z tego Stach pochwycił
jej rękę, okrywając ognistemi pocałun-
kami.
– Ah! Królowo moja! wołał z zapałem
młodzieńczym – pamiętałaś że o
mnie!! Ja przez całych tych pięć lat,
pięć wieków marzyłem o tobie, byłem
i jestem ci wiernym.. z tą samą go-
rętszą, może tylko miłością powracam
do stóp twoich, aniele mój ––
Rolina paluszek położyła na us-
tach, ale się uśmiechnęła i uścisnęła
mu rękę. Jemu, zdawało się, że w tych
oczach czarodziejki, w których każdy
czytał co chciał, on znalazł przywią-
zanie ku sobie..
– Długo zabawisz tu w Wiedniu?
zapytała.
– Albo ja teraz wiem! zawołał Bro-
nisz – Przybyłem na krótko, nie
wiem jak się wyrwać potrafię, a!
tak będzie ciężko porzucić!

Pięknym paluszek znowu spoczął na ustach.

— Pst! — szepnęła cicho — Ojciec! Ojciec jest niezmiernie surowy i podejrzliwy! Musimy być ostrożni, a tak wiele mielibyśmy sobie do powiedzenia!

— Ale gdzież, kiedy, jakbyśmy się widzieć mogli? prędko podchwycił hrabia.

— A! nie wiem! pomyślimy i zobaczym!

Bronisz był tak szczęśliwy że ją mógł choć oczyma pożerać — ten swój ubóstwiany ideał, iż nie śmiał napierać się więcej, byle go nie wygnano z raju.

Pułkownik wracał już zasypując go znowu pytaniami o ojcu, o znajomych, o mnóstwie drobnostek zapamiętanych w Bronikowicach, które wspominał z przyjemnością, chwaląc się dobrą pamięcią swoją. Celina także rozweselona dopomagała mu, wrzucając dwuznaczne pytania, dla Stacha tylko zrozumiałe. Między innemi zażądała wiedzieć.

— Czy tej starej pięknej lipy, stojącej pomiędzy dworem a folwarkiem, którą ona tak lubiła, nie obaliła burza?

Stach zarumienił się na wspomnienie

tego

miejsca ich schadzek wieczornych i z za-
pałem upewnił ją że lipa jest w wiel-
kiem poszanowaniu, zieleni się odmło-
dzona, a on ją ławką nową kazał oto-
czyć.
Mahołich wymieniał psy, konie, znajo-
me uroczyska po lasach, w których polo-
wali, starych dworskich służących itp.,
zaklinając się że nigdy na żadnej kwa-
terze tak mu dobrze i miło nie było jak
u nich w Bronikiewiczach.
Nadchodząca p. Boehm, która chciała
dzieci znać że pora obiadowa nade-
szła, z równą serdecznością przywita-
ła Bronicza, bo i ona z pobytu tego
nawet miłe wyniosła wspomnienia.
Stach natychmiast, witając się z nią,
zapytał o jej wychowankę, lecz na
~~wspomni~~ wzmiankę o niej, na którą
Boehm zmieszana, cichym szeptem
odpowiedziała, — twarz Roliny zapa-
łała gniewem, pułkownik odwró-
cił się zakłopotany patrząc w okno,
i Bronicz poznał iż dotknął ja-
kiejś drażliwej rany. Niemogąc się do-
myśleć co to było, musiał zamil-
knąć. Wszyscy stali posępni.
Dla pani Boehm miłostki Roliny

ze Stachem łączyły tajemnicą, ale teraz, po latach tylu, nie przypuszczała, ażeby one odżyć miały na nowo.

Po chwili przykrego milczenia, Bronisz zwrócił się do Koliny, jakoś nachmurzonej i starał się zmieniwszy przedmiot rozmowy — rozweselić ją znowu. Niebardzo mu się to powiodło, a że pora obiadu nadchodziła, pożegnał Makolichów, zapowiadając nowe odwiedziny i rozmarzony z bijącem sercem zbiegł ze wschodów.

— A! jakże ona jest piękna! powtarzał — jak bardzo piękna! Jak ja ją kocham! — I nie jest że to zrządzeniem losu, zupełnem przeznaczeniem, że spotkałem ją znowu?

Czoło mu się zmarszczyło na wspomnienie ojca.

— Choćbym wiek mój cały, do siwego włosa miał czekać na nią! dodał — zamknę w sercu miłość i będę cierpiał a czekał...

VI.

Była wiosna — która w Wiedniu tak dziwaczną jest i kapryśną, że

że nigdy na nię rachować nie można. Zatem w Kwietniu porozwijane kwiaty, aby je w Maju śniegiem przysypała. Słońce naprożno walczy z wiatrem, który od gór oddech przynosi mroźny i zawiewa szronem i błota.

Kalendarz nie malitości ani nad uświęconą obyczajem Majową przejażdżką po Praterze, która ma niby ciepło zwiastować, ani nad biednemi krokusami i narcyzami, które się zawcześnie pootwierały.

Jakże wiedeńczycy, pod wpływem tych zmian żyjący, niemają coś z nich zachować w charakterze? wiedeńczycy a szczególniej wiedenki? Cieszą się słońcem, gniewać muszą na zimno, i wszystkie te klimatyczne kaprysy na nich się odbijają.

Uciec z miasta kędyś na północ lub południe nie czas jest jeszcze, zima się niespodzianie skończyła, wille sąsiednich leżące jeszcze nie ocieniają, a wód niema nikogo, oprócz biednych ludzi, migracja zdrowych i słabych dla rozrywki jeszcze się nie rozpoczęła.

Jak wszystkie przejściowe, ta pora

pewna roku najludniejszy jest do prze
bycia. W teatrach nowości niema,
grają w nich tylko powtarzane i zna
ne rzeczy, artyści dni powszednich,
Koncerta przebrzmiały, bale zjawiają
się tylko wyjątkowo.
Jedyną pociechą rozmyślanie o tem co
ma nastąpić i dokąd się z miasta
potem uciecze.
Na Opern-Ringu w przepysznym pała-
cu, na którego przyozdobienie budo-
wniczy cały swój zasób ornamentacyj
najbogatszych wyczerpał, jakgdyby
chciał sąsiednich współzawodników
przyprowadzić do rozpaczy, — na
pierwszem piętrze, w gabinecie z wiel
kim smakiem i komfortem urządzo
nym, mężczyzna w sile wieku, z wło
sami ciemnemi, które się gdzieniegdzie
srebrzyły — przechadzał się krokami po
wolnemi zamyślony, paląc cygaro ~~po~~
więcej z nałogu niż potrzeby.
Widać było że ono było mu cał-
kiem obojętnem; brał je do ust, nie
ciągnąc dymu, obracał w palcach roz-
targniony.
Godzina była popołudniowa. Chwi
lami przez okna gabinetu wpadały
doń promienie wiosennego słońca,

natychmiast przelatującemi zastania ne obłokami. Z ulicy dochodził nie ustający turkot powozów, który w końcu naprzykrzeniu doń Stachowi prawie się myśleć nie dawał.

Pomimo zapowiedzi dnia cieplejszego, na marmurowym kominie palił się ogień, kilka głowni w nim dogasało.

Pokój ten skromny, który cały sprzęt składały piękne biurko rzeźbione, stylowe do niego meble, szafy i stolik dywanikiem okryty, z kilku krajobrazami szwajcarskiemi na ścianach, niczem się nie odznaczającemi, był widocznie gabinetem cichej pracy. Na biurku leżały pootwierane listy w pewnym porządku, rachunki pod przyciskami, telegramy i notatki. Było ich sporo.

Właściciel nie wiele dbał aby mu tu pięknie było, ale chciał mieć wygodę. Fotel przed biurem zbudowany kunsztownie, dozwalał się do fantazyi pracującego obracać, podwyższać i rozkładać. Sprężyny i pulpity ułatwiały w nim spoczynek i czytanie.

X Dwoje drzwi z gabinetu prowadziły

do

do wnętrza domu i w korytarzu, dzwonki elektryczne przy nich układały przywoływanie służby.

Przechadzający się po pokoju był panem domu.

Niemłody już, ale zdrów i silny, nie otyły ani chudy, poruszał się sprężystym krokiem, nie dając poznać, aby mu wiek ciężył. Na ramionach szerokich, nad piersią wydatną, głowa siwiejącemi już włosami okryta wznosiła się z wyrazem pewności siebie i energii, której życie nie złamało. Piękna jeszcze twarz miała typ wschodni, oczy duże czarne, rozumne, nad niemi czoło szerokie i gładkie. W ustach jakby przylgła do nich, widoczna była ironja, złagodzona spokojem przez wiek przyniesionym. Ubrany skromnie, lecz z pewną elegancją ka-tem swoim właściwą, nie miał na sobie nic coby uwagę ściągnąć mogło, bo nawet łańcuszek zegarka zastępowała wstążka czarna.

Chodził, jakby na kogoś oczekiwał, stając niekiedy, przysłuchując się, spoglądając oknem w ulicę, dając małe oznaki niecierpliwości. Zegarek na biurku, na którego marmurowem pokryciu stało popiersie bro-

brązowe, wybrane umyślnie i będące portretem — wskazywał godzinę, któ-ra go niepokoić musiała. Sprawdził ją z własnym zegarkiem i zadzwonił. Natychmiast prawie ukazał się czarno ubrany sługa.

— Pan Adam? Kazałem prosić pana Adama!

— Nie było go w domu, ale na dole czeka Jakub, aby mu dać znać gdy powróci.

Przechadzający się zlekka ruszył ramionami.

— Nie wiecie dokąd poszedł? — zapytał.

— Nikt nie wie..

Lekkiem ust skrzywieniem odpowiedziawszy na to pan domu dał znak służbie że odejść może, gdy pośpieszne kroki dały się słyszeć w korytarzu i z kapeluszem w ręku wszedł znajomy nam Adam Morimer.

Z pogodną twarzą zbliżył się do ojca, gdyż oczekującym nań był pan Salomon Morimer — i poufale z synowskiem poszanowaniem w rękę go pocałował. Ojciec dotknął ustami czoła jego, poglądając nań z uczuciem, w którem coś jakby politowanie się przebijało.

— Miałeś co do mnie, ojcze? zapytał.

— Tak jest, chciałem pomówić z tobą, czas wielki — rzekł spokojnie zasiadając w fotelu Salomon. Naprzód jednak proszę cię o cierpliwość, nie przerywaj mi.

Wiesz, że mam ciebie jedynego, że cię kocham, że żyję i pracuję tylko dla ciebie a twojego dobra pragnę.

Adam słuchał, twarz mu poważniała i oblekła się smutkiem, odgadywał już może zawczasu cel tej rozmowy.

— Mówmy z sobą otwarcie, ciągnął dalej Salomon. Nie możesz się skarżyć abym ci skąpił swobody, albo hamował popędy i skłonności twoje.

Dałem ci się rozwijać wedle skazówek natury twej, choć ona boleśnego mi wyrządziła figla, bo chciałem mieć w tobie człowieka, coby na świecie moje u steru i rudla poważną odegrał rolę — ty zaś zdajesz się mieć całe inne powołanie..

Spojrzał na syna mówiąc, i, spostrzegłszy go nieco zachmurzonym, dodał.

— Nie lękaj się gwałtu ci nie zadam, chociaż, nie wiesz jak boleśnie jest pracować życie całe na zdobycie stanowiska, wdrapać się do połowy drabiny,

Która prowadzi do szczytu i widzieć trud swój straconym marnie, bo gdyby nowskie nie przyjmą ręce.

Westchnął — Adam odezwał się cicho.

— Ale jeśli kto nie ma tej ambicji aby się koniecznie dobijać do szczytu?

— Sądzisz że mnie o ten szczyt idzie? odparł Salomon, ramionami wzruszając. Nie — ale w życiu jest prawem, że kto nie stoi u góry, musi być pod nogami u drugich, a to położenie nie do zazdrości, szczególniej dla nas.

— Ojcze mój — przerwał z pohamowaniem Adam. Dozwól mi jeszcze jedną uczynić uwagę, że szczyt o którym mówisz, nie jest jeden. Są inne również wysokie..

— A! tak! rozśmiał się szydersko Salomon. Ale z wierzchołka ich tylko piękne widoki do koła! Sięgnąć z nich i zawładnąć niczem nie można.. Ale — rzućmy te szczyty i przenośnie — dodał. powróćmy na nasz padół smutny. Boli mnie że nie chcesz ani mi pomódz, ani iść za mną.

— Kochany ojcze — odezwał się Adam po namyśle — jakiekolwiek są moje uspo-

sobienia

i jednostronności – jak którą mi zarzucasz, będę posłusznym.

— Ale ja właśnie, przeciwko twoim usposobieniom już nie chcę – niewolić cię, ani cię zmuszać do niczego. Wiem bardzo dobrze że gwałt zadany naturze, nigdy owoców pożądanych nie przynosi. Człowiek się wysila, męczy i nic dobrego nie dokona.

Tymczasem położenie moje smutne. Stoimy w interesach bardzo świetnie. Jesteśmy już dziś na tym szczeblu że moglibyśmy przykładać wielki wpływ i siłę. A mnie ochota odpada od pracy. Po co? na co? Kiedy jutro może wszystko to zlikwidować bieda, potrzeby i gmach wznoszony mozolnie, runie.

— Kochany ojcze, jesteś w sile wieku –

— ale nieśmiertelnym nie jestem, żywo przerwał ojciec. Dęby prędzej padają niż krzaki. Ty, gdybyś nawet chciał (bo jesteś dobrem dzieckiem) poświęcić się dla mojej idei, która ci jest obcą, jednak nie mógłbyś, nie potrafiłbyś duszą, bo masz inne upodobania i cele. Nie wlewając całego ducha nic się nie robi..

Jest to więc rzecz skończona, nad którą ja boleć mogę, ale jej nie

jej nie zaradzę ani ja — ani ty.
Syn bankiera urodził się poetą, i artystą, wziąłeś natury po matce..
Powołanie artysty niezaprzeczenie wielkie, ale zupełnie inne. W słowie i obrazie potęga też wielka, ale rodzaju wielce różnego.
Będąc poetą i artystą, a miljonerem przytem, co nigdy nie szkodzi, rządząc się rozumnie, możesz się stać jednym z wybranych, którzy pod nogami tłumu nie leżą. —

Adam słuchał z pokorą, lecz coraz był smutniejszy. Cały ten wykład surowy ojca, który, mimo panowania nad sobą, mówił z pewnym wzruszeniem i bólem, — jego też bolał.

— Długom się z tą myślą nie mógł pogodzić — mówił Salomon — w końcu poddać się konieczności zostałem zmuszony. Nie przeszkadzam ci w niczem, muszę ci to przyznać, — masz wszystkie środki kształcenia się, swobodę najzupełniejszą. W jednej przecie okoliczności o moje prawa ojcowskie upomnieć się muszę.

Tu starzec zawahał się nieco..., Adamowi rumieniec na twarz wystąpił.

— Nadto cię kocham abym z tobą nie był zupełnie szczerym. ~~[illegible]~~ rzekł Salomon,

Pojmuję miłostki młodzieńcze, a nawet płochości pochodzące z temperamentu; boję się właściwie namiętności, szału, który życie może zawiązać, zwichnąć.

Adam chciał już przerwać i porwać się z siedzenia; ojciec dał mu znak, aby go słuchał cierpliwie.

— Słuchaj — ciągnął dalej. Dałem ci swobodę, ale kochając cię, lękając się o ciebie, musiałem śledzić twe kroki. Oto już rok przeszło jak coraz silniej, coraz namiętniej zajęty jesteś córką pułkownika Makulicka. Dziewczyna jest bardzo ładna, dowcipna, zręczna, przebiegła, a tak bezecna zalotnica, niegodna tego uczucia, które w tobie obudziła. Jest obowiązkiem moim przestrzec cię..

Adam zerwał się z siedzenia rozgorączkowany — co potwierdziło ojcowskie obawy — i zawołał porażony..

— Kochany ojcze — doniesiono ci fałszywie.. To co o niej mówią, potwarzą jest. Dziewczę to jest prawdziwie idealną, naiwną, i słodką, — ust jego nigdy fałsz nie skaził!

Salomon rozśmiał się ironicznie..

— Ależ dziecko moje, wiem, wiem że ci
wielką sprawię boleść. ale raz ci po-
trzeba otworzyć oczy. Pojmuję że się
nią mogłeś zająć, bo jest bardzo pię-
kna, ale to uroda pięknością plastycz-
na, pod którą tylko równie pięknej
jak ciało domyślać się duszy, naj-
częściej – tak jak u niej – kryje serce
wyschłe. fantazję rozbujałą – i złoty
na ukrapienie rodu ludzkiego stwo-
rzoną. Dla takich Helen padają Tro-
je..
Wiem. wiem powtórzył, że jest tylko
rojącą, czarującą, ale to wcielony
fałsz, chodzące kłamstwo..
W słuchającym Adamie widać było bo-
leść niewypowiedzianą, bladł. rumie-
nił się. zżymał. ściskały mu się ręce,
drgał konwulsyjnie. Byłby wybuchnął,
stojąc w obronie Kaliny, gdyby poszano-
wanie ojca i jego krew zimna nie
hamowały go.
— Wierz mi – począł Salomo, który czy-
tał w twarzy syna. Nie mówię nic
lekko i bez dowodu. Od roku śledzę ją
krok w krok, gdziekolwiek się ruszy,
wiem co robi. kogo przyjmuje. z kim
ma schadzki – mogę nie mało myśli
jej i plany powtórzyć.
Schodzili się z nią w parku, do

do którego, jak się tobie zdaje. Dla ciebie tylko przychodzi – ale w innych godzinach tak samo się spotyka i również ta Tamuccio zalotnie, zagadkowego amerykanina Don Estebana, który jej swojemi niezmiernemi milionami głowę zawraca; daje rendez-vous pruskiemu [illegible]owi, który podobno jest jej najdawniejszym adoratorem. Oprócz tych, biega za nią baron St. Foix, no – i kilku innych..

Z niewypowiedzianą zręcznością, nad wiek swój, każdego z was umie tak złudzić, iż się wam zdaje z kolei, że jedni wybranemi jesteście.

Nie kocha ona ciebie, bo nie kocha nikogo, i nie jest już zdolna pokochać. Jest to jedna z tych kobiet zimnych, które żyją głową tylko, które ambicja prowadzi, a zdaje im się że wszystkich oszukać potrafią.

Jaką będzie żoną, jeżeli się za mąż wyda – niewiem – dodał Salomon, ale ten nałóg zalotności zimnej może ją zaprowadzić daleko, gdy obawa skompromitowania się ustanie..

Ojciec może być o nią spokojnym, – umie rachować dobrze, za nią

– nie rzeczy.

Słuchając tego dłuższego opowiadania ojcowskiego Adam się uczuł nakoniec źle, ręką nacisnął czoło. Spuścił oczy, milczał. Brzmiało to w jego uszach jak wyrok śmierci – pierwszy zawód w życiu..

Zimną ręką, stary z bóstwa jego zdzierał zasłony – błotem obrzucał ideał.. Ze zniszczeniem jego w pełni ideał ziemski stawał się dla poezji niemożliwym. Jeśli nie ona Która mogła być tą istotą wybraną, – Jeśli piękność tak cudowna była zwodniczą, po czem że na ziemi rozpoznać było można dzieci Boże od potomstwa kału i brudu?

Chciał ojcu niewierzyć, zaprzeczyć mu, lecz stary Salomon tak zdawał się dokładnie uświadomionym, tak pewnym tego co mówił, i syn tak był nawykłym do wierzenia mu ślepo, a tak mało przygotowanym na obronę, iż mu słów i męstwa zabrakło.

– A! Kochany ojcze! – zawołał wreście to są zazdrośnych potwarze! To niepodobieństwo..

– Przygotowany byłem do tej odpowiedzi – odezwał się Salomon spokojnie i łagodnie, z wyrazem politowania,

bo ma syna żal było. Możesz sam po
części sprawdzić że co mówię i przeko
nać się że nic potrzebowałem nie doda
wać do rzeczywistości. Wszystkie miejs
ca i godziny w których się tak samo
jak z tobą spotyka z amerykaninem
mogę powiedzieć gdzie się z baronem
widuje; i kiedy, po wyjściu ojca
na miasto. Sama przyjmuje u sie
bie hrabinę Gronilza, której dla
niej przeciągnął tak swój pobyt w
mieście.
Nie dosyć na tem, śmieszny stary
Mountcastle, biega za nią także i
uśmiechy grzeczne odbiera; a kilku
innych jest w odwodzie. Najśmieszniej
sza że nawet młokosowi książęciu
Rudolfowi von Hoh-Winterburg,
głowę zawraca, choć wie że to jej
do niczego nie doprowadzi—
Mówiąc to stary bankier podniósł
głowę i śmiał się, ale w nim boleść
widać było.
— Żal mi cię serdecznie mój Adamie —
dodał po chwili — ale potrzeba się zwy
ciężyć, niech ci iluzji z oczów opa
dną. Bądź mężnym. Kto przez takie
rozczarowania i zawody nie prze
chodził w młodości. Smutne to, a

to a nieuchronne.
Świątniczka z piękności.
Niekończąc Salomon wstał i zbliżył się do Syna, aby go uściskać, — potem przechadzać się zaczął po pokoju.
— Jeszcze słowo — dodał zwracając się do milczącego Adama. Historja podobna do twojej miłości, wyzyskiwanej niegodziwie — jest bardzo pospolita, — Lękam się jednego, — spotkania twego z nią teraz. Wzburzony, rozżalony, nie wytrzymasz, wybuchniesz — powiesz jej wszystko co słyszałeś o niej. Zamiast śledzić ją i przekonać się, odwołasz się do niej samej. — Rzucisz oskarżeniem w oczy, a ona — potrafi ci się tak wytłumaczyć, tak uczynić niewinną, takim uczynić niewdzięcznym i zbrodniarzem, iż gotów będziesz padłszy na kolana o przebaczenie jej prosić. — Jest to tryb zwykły. Przestrzegam.
Ja ci dam radę inną. Miej wiarę we mnie i moc nad sobą, — Spokojnie, bez wymówek się z nią pożegnaj, nie obwiniaj, scen nie rób, bo zostaniesz zwyciężonym. Gdyby na twą obronę nic więcej nad łzy nie miała, starczą

one

na odjęcie ci siły, na oślepienie-
Najlepszym środkiem - ucieczka.
Jako poeta i artysta, dawno przygasłeś zwiedzić Włochy, jeśli podróży, zkłó-rą ja dla ciebie się ociągałem, aby cię więcej jeszcze nie rozmarzyła. Dziś wolę cię już widzieć rozkochanym w Venerze Medycejskiej w Florencji, w jakiej Galatei z Museo-Pio-Clementino, w jakiej Hebe, nawet w garncarskim modelu lub brązowej dziewczynie z Capri - której prostota i szczupota prędko cię rozczarują-rzi w tej kobiecie, która ma za sobą wszystko - piękność, rozum, dowcip, wychowanie - wszystko - oprócz serca!
Radzę ci życzę - proszę, jedź do Włoch-
Od dawna podróż ta była wielkiem i gorącem życzeniem Adama, miała dla niego urok czegoś dawno upragnionego, pożądanego od dzieciństwa - ale w tej chwili!

— Jedź do Włoch - powtórzył ojciec weselej - jedź! Maluj, pisz wiersze - marz - bałamuć się, a o tej czarodziejce zapomnij. Znam nadto ją i naturę ludzką, abym ci się pozwolił z nią ożenić, a ona do małżeństwa blisko

durzy i wzdycha, i chce je mieć pozło-
conem miljonami. Gdybyś ulegim
był nie spojrzałaby na ciebie.

Na ożenienie z nią nie zezwolę nigdy,
póki żyję, a i po zgonie moim, pod
błogosławieństwem ci go zakażę. Toby
było samobójstwo. Tyś ślepy, ale ja
za ciebie widzę upokorzenie, srom,
cierpienie — Nigdy, nigdy!

Łagodność z jaką dotąd przemawiał
Salomon, przy ogłoszeniu ostatniego
wyroku zmieniła się w niezłomną
siłę. Adam uczuł że przeciwko temu
postanowieniu walczyć było niepodobień-
stwem. Stał blady, ręce mu opadły
bezwładnie.

Starcowi żal się znowu zrobiło jedy-
naka, zbliżył się i do piersi go przy-
cisnął. Surowość ustąpiła, z czu-
łością matki tulił go do siebie.

— Nieszczęsne dziecię, wiem jak bo-
lesny cios ci zadałem, ale spełniłem
obowiązek lekarza, który, pomimo
krzyku chorego, wrzód wycina.

Ah! dziecko moje! i ja żyłem, i jam
był młody, i ja ulegałem nieraz tej
fascynacji którą piękność wywiera,
gdy młodość żądną jest tego, co się

nazywa

nazywa miłością. Ubiera ona wówczas ideał we wszystko to co ma w sobie. Ale jakże potem rychło rozwiewają się złote promienie, bledną barwy i blaski, i — zostaje jako skelet wstrętliwy.

Idź do szkoły, dziecko moje!

Możeby lepiej było abyś kogo wziął z sobą — wybierz sobie towarzysza, daję ci zupełną swobodę; możesz na swój koszt wziąć ubogiego artystę.

Uśmiechnął się zazdrośliwie.

— Chciałbym nawet wziąć artystkę! ale nie powiem! dodał w żart to obracając.

Adam stał jak zdrętwiały, nie słyszał nawet ostatnich słów ojca.

Wszystkie szczegóły, nazwiska, które przed chwilą tak niedelikatnie Salomon mu wyliczał, krzyczały się poplątane w myśli jego. Walczył z tą gorzką prawdą, której zaprzeczyć, odeprzeć nie miał czem..

Widząc ten smutny stan Adama, ojciec nie chciał go już dręczyć dłużej. Porwał szukać kapelusza i laski.

— Idę jeszcze za interesami, ucał-
uspokój się, rozważ com mówił,

posłuchaj mojej rady.

Czekam cię jutro rano.

Młody Mortimer skłonił się ojcu i wyszedł prędko.

Zmieszany był tak że zostawszy się za dzwiami, chwilę się musiał namyślać nim przypomniał drogę do swojego mieszkania.

Przyśpieszonym krokiem zwrócił się potem ku niemu. W tym samym pałacu ale w bocznem skrzydle, znajdował się apartament Adama, wcale do ojcowskiego niepodobny. Nie było w nim przepychu ani elegancji zbytecznej, ale znamię artystycznego smaku nadawało mu cechę oryginalną.

W saloniku wisiało kilka pięknych obrazów nowszych mistrzów, stało kilka doskonałych bronzowych kopij zmniejszonych z antyków, było wiele kwiatów i zieleni, – nie brakło nawet fortepianu Bösendorfera. – Na stołach porozkładane albumy wielkie z zużytemi oprawami świadczyły, że nie znajdowały się tu dla zwyczaju, ale często przeglądane bywały. Całemi godzinami siedywał nad niemi Adam, szukając w nich tajemnicy wcielania idei na których mu nie zbywało.

Gabinet przytykający do salonu zawierał

biblioteki arcydzieł i ulubieńców
Mortimera. Za nim znajdowała się
obszerna pracownia, do której mało
kto przypuszczanym bywał, z ogrom-
ną sofą w środku i u długiej ścia-
ny: biuro do pisania, stół do ry-
sunku, sztalugi do malowania - i
przybory malarskie środek zajmo-
wały.
Na ścianach wisiały szkice w większej
części nieskończone, konsole, u któ-
rych stały gipsowe odlewy i posążki.
Tu żył - artysta.
Widok z okien, z których jedno naj-
częściej przysłonięte bywało, wycho-
dził na spokojny ogródek - patio,
zewsząd murami zamknięte i zie-
lonością ożywione.
Adam wszedłszy do swojej pracowni,
w której mu zawsze najswobodniej
było, rzucił się na sofę. Oburącz objął
głowę rozpaloną i pozostał tak długo
nieruchomy, zatopiony w sobie. Ciało
było bezwładne, ale myśli wirowały
bezładne i zdziczałe..
Co miał począć?
Znał nadto prawość ojca swego, aby
go mógł o fałsz posądzić, znał prze=

przeciwnościom jego i widział że się
nie oprzeć nie mógł.
Byłaż więc ta istota tak dziwnego
wdzięku, tak śliczna, tak dziecięco
szczera - zapewniająca go tak gorąco
o swem przywiązaniu, - wszystko fał-
szem i obłudą wieczną?
Czem że był świat na który Bóg zsyłał
takie zwodnice, nie napiętnowawszy
ich od kolebki, aby od nich uciekali
ludzie? Co znaczyła piękność?
Jakim sposobem dusza brudna mo-
gła się mieścić w ciele tak cudnem,
i nie przebić się przez jego powłokę? -
Te zagadki, życie po raz pierwszy
zadawało poecie biednemu. Sfinx
stał przed nim ze swem obliczem nie-
wieściem a ciałem potworu, groźne-
mu gorzej niż śmiercią, bo - zwątpie-
niem i obawą żywota, że wszystkie-
go co zachwycać go czyni-
Walczył z sobą..
Chciał nie widząc jej, nie żegnając -
uciec i zapomnieć.. Potem, myślał
ją listem zapewniającym goręcej, poże-
gnać na wieki.. ~~Potem znowu~~
y Serce się ściskało. Jakże nie widzie-
dzieć jej i nigdy? nie pomścić się
nawet słowem zawodu swego i boleści?

Byłoby to nad jego siły.
Chciał ją raz jeszcze zobaczyć, być zu-
pełnie panem siebie, a trudno zaj-
rzeć w głąb tej duszy — i chwilę kuci-
zny [illegible], upoić się raz jeszcze —
W początkach, gdy po raz pierwszy
zrobił z nią znajomość, Mortimer
spotykał Rolinę w parku. Zawsze w
towarzystwie P. Balbiny. Jakkolwiek
się nie cierpiały wzajemnie, pułkowni-
kówna, nim się ośmieliła wychodzić
sama, wyciągała ją zwykle na prze-
chadzki.
Później — czyniąc z tego dla niego niby
wielką ofiarę, Rolina zaczęła
przychodzić sama. Adam znał panią
Boehm, nie lubił jej, a że pułkow-
nikówna nie taiła się przed nim ze
swym wstrętem do niej i wyszydzała
ją często — miał dosyć niekorzystne
wyobrażenie o jej charakterze.
Bijąc się teraz z myślami, wpadł w
końcu na dosyć dziwną, która mu
się zdawała szczęśliwą — Chciał ja-
kimkolwiek sposobem widzieć się
sam na sam z P. Boehm i wymódz
od niej — prawdy, o której ona wie-
dzieć musiała. Może to być wszystkich
Rolina tylko czcicieli zwodziła
razem i — nie kochała nikogo?

Dwie kobiety nie lubiły się — mogła
więc uprzedzona, uwłagana nieprzy
jaciółka powiedzieć mu to, o czem
zapewne lepiej od innych wiedziała.
Nie zastanowił się nad tem Morimer
że, choć niechętna tej wychowanicy,
ale z nią i z domem związana od
dawna Balbina, nie mogła chcieć
rozmyślnie jej szkodzić.
W tej niepewności co miał począć,
w potrzebie zrobienia czegoś, cho-
ciażby niedorzeczności, Morimer po
rzuciwszy myśl widzenia się z Boeh-
mową, pośpiesznie pobiegł do biur
ka i w kilku słowach, bezimiennie,
w sprawie nadzwyczaj ważnej i pilnej,
zaprosił na rozmowę p. Balbinę,
wyznaczając miejsce spotkania pod
namiotem kawiarni na Grabenie,
a godzinę popołudniową.
List był pełen uszanowania, a zara
zem natarczywy, tak że odmowy nie mógł
się Adam spodziewać.
Napisawszy go, wybiegł z domu, złapał
pierwszego lepszego posłańca na ulicy, o-
płacił go sowicie i przykazał oddać do
rąk własnych P. Boehm.—
Niewracając już potem do domu, błą
dził bez celu po mieście, przerzynał
się

się przez małe uliczki, stawał przed sklepami przypatrując się wystawom, w których nic nie widział, przyglądał się zegarom, liczył godziny i gorączka go paliła. Czas wlókł się okrutnym sposobem powoli..

Nareszcie zbliżyła się naznaczona godzina, i na dobry kwadrans przed nią, Adam siedział już pod namiotem, przypatrując się czy nie nadejdzie wezwana.

Nie rozważył jeszcze dobrze jak miał do niej przemówić, od czego zacząć, a wszelkie próby zebrania myśli były próżne, tak był zburzony i roztargniony. Gorączka nie poddaje się ani rozumowi, ani rozumowaniu.

Pani Wochm odebrawszy list, szczęściem w nieobecności Koliny, któraby była pismo Adama poznała – zdumiała się niezmiernie tajemniczemu temu wezwaniu. Nie mogła, niestety, posądzać już nikogo aby się w niej i nawet o zmroku, rozkochał – musiała więc domyślić że kto o jakieś bałamuctwo, o stosunek z Koliną.. Iść? nie iść? Zdało się jej że nie miała powodu odmawiania prośbie tak gorącej, a mogła zapobiedz może jakiemu nierozważnemu krokowi. Sama ciekawość zresztą nie dopuściłaby jej zostać w domu.. Domyślała się że pośredniczka jej ma

musiał żądać ktoś co, albo się chciał docisnąć do Koliny, albo jej miał prosić o ustanowienie mu widywania się, korespondencji. Sądziła że mógł być chyba ktoś nie mający przystępu do panny i do domu. Kto by mógł? nie odgadła.

Ubrawszy się na prędce, wyszła.

Była już pod namiotem i miała zająć miejsce, gdy Adam witając przybliżył się do niej. Nie widywała go już od dawna, ale przypominała sobie łatwo, bo młodych i pięknych twarzy nie zapomina się tak łatwo.

Z twarzy biednego chłopca poznała iż cierpiał, — począć rozmowę było mu ciężko, chwytał się za głowę i jąkał. — ~~nie~~ Przyniesiono lody, które podać kazał, nie śmiejąc przemówić jeszcze. Boehm przypatrywała mu się z zajęciem i politowaniem. Kilka razy już chciał się oderwać, sił mu brakło, napił się wody — Balbina śledziła każdy krok jego. Żal jej było widocznie udręczonego, który jak dziecko niedoświadczone w stanowczej chwili, nie miał siły wykonać tego, co postanowił.

P. Boehm zaproponowała mu dopomódz i wyprowadzić z przykrego położenia.

— Chodzi o Kolinę i nie prawdaż?

oderwała się litościwie — Mów pani co się to stało? mogęż mu być w czém użyteczną?

Mortimer przysunął się do niej ze złożonemi rękami.

— Pani moja, czekaj — zaklinam cię! Idzie tu o życie moje, o los mój — Kocham ją, jest to pierwsza miłość; była dla mnie dobrą i łaskawą Rolina, zdawało mi się żem jej serce pozyskał. — Moje marzenia przerwały straszne, groźne przestrogi — Niechcę im wierzyć! Zlituj się pani, co ją znasz od dziecka, wiesz i odgadujesz jej myśli, naucz mnie — mów mi prawdę! prawdę! Możeż ona być płochą i bez serca!

Mortimer mówił to głosem przerywanym i słowy poprzerywanemi, tak że Drechmowa więcej się domyślać musiała niż zrozumieć go mogła..

Poruszyła ramionami, krótką tylko chwilę namyślając się z odpowiedzią —

— Chcesz pan całej — całej prawdy? zapytała.

— Choćby gorzką była i straszną, odparł Adam. Mówią mi że ona jest równie ze wszystkiemi zalotną, że to co ja miałem za dowód jej serca dla mnie — —

— Ah! przerwała, chcąc z tego tragicznego

tragicznego tonu rozmowy sprowadził
na ścieżkę Kochmowa - Że nie pan
jeden się w niej kocha, to pewna -
O kimże więcej mówiono panu?
Drżąc Adam począł wyliczać imiona,
ze wstrętem i obrzydzeniem. - P. Balbi
na za każdem dawała głową znak pota
kujący - i uśmiechała się figlarnie.
- Łudziłem się, dodał Mortimer, że ona
mnie jednego kocha..
Balbina jedząc powoli lody, poruszała
ramionami i głową - dumała..
- Żal mi pana bardzo, jesteś rozkochany
szczerze, muszę być sumienną, ode
zwała się. Znam ją od dziecka - chcesz
prawdy?? powiem mu że ona nigdy,
nikogo nie kochała i kochać nie bę-
dzie. Wszystko w niej jest w gło-
wie, w sercu nie ma nic. Czy kiedy
kochać potrafi! co było by cudem - nie
wiem, dotąd jest taką jaką ją ma-
lują. - zimną, pełną ambicyj - ego-
istką..
Jak rażony piorunem siedział Adam,
czego innego się spodziewał i żądał.
- A! pani! czyż podobna tak uwodzić,
tak kłamać - odezwał się ze łkaniem
i namiętnością w głosie.
- Nie znam wcale stosunków pana
z Kaliną, odparła Balbina, nie -

nie wiem jak dalece zbliżyliście się do siebie, ale — spojrzeni kobiecym uśmiechu, do tego słowa nie należy tak brać bardzo serjo. — Pan jest młody, bardzo młody!!

Popatrzyła nań i westchnęła. Mortimer milczał dość długo, czoło mu się fałdowało.

— Więc to prawda — wybuchnął znowu, że przyjmuje tak samo hołdy tego polaka, amerykanina, francuza..

— O! i wielu innych, bo wszystkim wielbicielom jest rada — odpowiedziała Kalbina.

— A ja żydem?

— Jednym z kandydatów między którymi wyboru, o ile wiem, stanowczego nie uczyniła — mówiła p. Kochm. z trochą szyderstwa. ale można jej to mieć tak bardzo za złe..? Córka niemajętnego pułkownika, ma tylko tę swą piękność i rozum za posag cały. Chce się wydać za mąż, bo ciężkie jej życie, a ambicję ma wielką i musi przez małżeństwo dostać się na najwyższe szczeble złote, w świat do którego się czuje stworzoną.

Oto pan masz najszczerszą prawdę — nie jest ona pocieszająca. Na serce nie ma co u niej rachować..!

Poruszyła ramionami Kochmanowa i

postawiła filiżankę swą i jakby się zabierała do wyjścia. Więcej nic już do powiedzenia nie miała.

— Ależ w nic więc na świecie wierzyć nie można! wybuchnął Mortimer, chwytając się za głowę i nie zważając na to iż ludzie na niego spoglądali.

Balbina musiała pociągnąć go za su-knię i szepnąć że ją i siebie kompromituje.

— Zmiłuj się pan, uspokój i wysłuchaj. Ludzie się mogą niewiem czego domyślać. Żal mi pana szczerze, ale żądałeś prawdy, — trzeba mężnie ją przebolèć.

+ Adam tak kochał że pomimo tego co od Balbiny usłyszał, nie przestawał się z nią, już sofizmami jakiemiś usiłował znaczenie przestrogi zmniejszyć. Wiadomo mu było że się nie lubiły. Buchmowa niesprawiedliwą być musiała.

Cichemi kilku wyrazami podziękował jej, nieco powierzchownie uspokojony.

— Cóż pan myślisz? zapytała go.

— Ojciec życzy sobie abym do Włoch jechał. Podróż ta ma być lekarstwem dla mnie. Sam niewiem jeszcze co pocznę.

— Ja bym panu toż co ojciec radziła, wtrąciła Buchmowa. Jeżeli nie

chcesz

lub nie możesz się rozstać z nią, coby było najprostszem i najlepszem może rozwiązaniem zadania - lepiej od niej ucieczki. Ale co będzie Kolina czy będzie kogo kochała czy nie, za mąż bogato wyjść się musi. Serca nie nie poświęci..

— Pójdzie za mąż Ma...? zapytał Adam

— Dla pozycji w świecie, dla majątku, dla tego co jej przyjaciół zapewni i ambicję zaspokoi - o tem pan nie wątp. dokończyła Pilkuchna żegnając go grzecznym ukłonem..

Mortimer zagryzł wargi, wejściem oświadczam rzucając do koła.

— Jedź pan do Włoch! szepnęła odchodząc...

VII.

Nazajutrz rano o zwykłej godzinie, o której, pod pozorem picia jakiejś wody, Kolina zwykła się była spotykać z tym, którego żartobliwie zwała swoim nadwornym poetą, - dosyć niedelikatnie nieraz wyśmiewając go przed Albiną, - nie zastała go w parku.

Nigdy się to nie zdarzyło jej jeszcze aby na siebie czekać kazał, lub ją zawiódł i nie przybył.

Dla niej rzucić musiał wszystko. Dumne dziewczę na samą tę myśl że mogła być lekceważoną, zapomnianą, burzyło się już gniewem okrutnym.

Mogłoż być na świecie coś coby więcej ważyło niż spojrzenie na nią, niż jej uśmiech i słowo? Była to zdrada, zuchwalstwo nieprzebaczone.

Adam noc całą spędził w gorączce — najdziksze obmyślając plany. Chciał biedz, wyrzutami ją zawstydzić, odepchnąć przekleństwem na wieki — chciał znowu nie widzieć jej wcale, jechać, uciekać, chciał pisać i pierwszym tym listem ją pożegnać.

Nie wiedział sam jak postąpi.

W ostatniej chwili, gdy po długiej walce z sobą postanowił nie iść wcale, dał sobie słowo że nie pójdzie — nagle przemogła namiętność, chwycił za kapelusz, poleciał.

Sądził że może jej już nie zastanie. Gdyby tak los zrządził, naówczas natychmiast miał się wybrać do Włoch, i zimnym ją listem pożegnać.

Ale spieszył tak zdyszany, że na znanej ścieżce spotkał Kolinę. Nie taką jaką ją znał zwykle, ale nachmurzoną, zarumienioną, rozgniewaną, dumną. Przywitała go zaledwie głowy skinieniem, lodowato.

— Godziż się to, odezwała się zgołem zmienionym. Kobiecie każe czekać na siebie?

Morimer blady stał długo patrząc na nią i niemogąc przemówić słowa. Górne brwi marszczył groźnie, twarz miał zmienioną.

— Nie miałem dziś przyjść wcale, odezwał się w końcu z wysiłkiem, bo-bo niechciałem pani sprawić przykrości —

Pan i pani — oddawna z rozmowy były wygnane, Kolina ubodzona wyrażeniem tem, podchwyciła gniewnie.

— Ah! Pani!!

Domyślała się już jakiejś katastrofy, ale w charakterze jej było nie unikać żadnej. Nie lękała się niczego i nikogo, czując siłę w sobie.

— Mów że pan dla czego nie miałeś dziś przyjść? zapytała.

— Kolino! przerwał Morimer namiętnie. dotknęło mnie największe nieszczęście jakie spotkać mogło — Niewiara w ciebie.

— A? a? szyderczo i zuchwale podchwyciła. To dziwniejsze — Niewiara?? Zkąd że wiatr zawiał nią?

— Nie pytaj — zawołał Adam — powiedz mi raczej, prawda to, że te słodkie słowa, wejrzenia i uśmiechy, które dla mnie były skarbem najdroższym, dzieliłaś jak jałmużnę między innych wielu.. Amerykanin, polak..

francuz!--

Rolina zmrużonemi oczyma spojrzała pani surowo.

— Prawda – odpowiedziała z chłodem przerażającym. Jeżeli dla miłości takiej mam się zamknąć między czterma murami, niewidzieć świata, z ludźmi nie mówić, nie śmieć się rozweselić, ani podnieść oczów – taka miłość niewolnicza jest dla mnie wprost – niemożliwa.

Jeżeli pan nie masz wiary w serce moje, a nie starczy mu to uczucie jakie mam dla niego --

Ukłoniła się z przesadzoną grzecznością i wdziękiem.

— Adieu!!

I zawróciła się jak gdyby odejść chciała.

— Rolino! zawołał ręce składając Adam, który zapomniał że w ogrodzie na ciekawe oczy ludzi wystawieni byli. Rolino! na Boga! litości!

— Ale czegoż pan chcesz odemnie? odparła zimno – z niecierpliwieniem.

— Twojego słowa tylko że to są potwarze..

— Potwarze? co? że ci panowie kochają się we mnie? zawołała z uśmiechem wymuszonym – ale to nie są potwarze! Kocha się we mnie bardzo wielu. Nie jestem winna że się

się komuś podobać mogę, że dla
mnie ktoś tam szaleje...

— Ale serce twoje!
— A! serce? śmiejąc się ciągle ciągnęła
dalej i bawiąc kwiatkiem, który
trzymała w ręku, niecierpliwie
nim bijąc po dłoni. — Serce?? Kto nie
czuje i nie wierzy w serce, temu nie
warte tego słowo i przysięga nie
przekonają. — Jakiegoż pan wymagać
może więcej dowodu, gdy mnie wi-
dzisz przychodzącą tu dla niego, po-
święcającą się..
Niewdzięczny pan jesteś! Dosyć tego!
Odwróciła się porywczo.
— Gniewam się!
Adam stał przybity, upokorzony, a oczy
jego o litość błagały.
— A! przebacz mi! wyjąknął.
Rozgniewana była tak piękna!
— Nie powinna tym przebaczyć — odparła
[illegible] — taka zazdrość śmieszna
obelgą jest dla mnie..
— Rolino!
I cicho szepcząc pochyleni ku sobie,
szli dalej ścieżką, ona dumna i tryum-
fująca, on upokorzony, zwyciężony i
— taki biedny..
a w powietrzu zdały się nad niemi ula-
tywać wszystkie wyrazy Halbiny —

– A! jak pan jeszcze młody!

W godzinę potem Mortimer powrócił do domu upojony szczęśliwy i siadł natchnione strofy rzucić na papier – były to prześliczne.

Rolina w drugiej stronie parku przechadzała się wesoło gwarząc i pustemi żartami zabawiając a czarując Don Estebana Cercero.

Gdy potem w kilka godzin wszedł do pokoju ojca Adam, staremu dość było spojrzeć na niego aby poznać, że musiał widzieć zwodnicę i przez nią być obałamuconym. Salomon nadto miał taktu aby o to syna zagadnąć.

– Kiedyż ci do Włoch wybierasz? zapytał.

– Muszę się trochę przygotować do tej podróży – odparł Adam spokojnie – nie łatwo jest wyszukać takiego towarzysza, jakiegobym życzył sobie.

– Zapewne – rzekł ojciec – ale potem następują gorąca, w czasie których podróż staje się nieznośną i niezdrową. W Rzymie znajdziesz malarię, Florencja będzie pusta, z Neapolu chyba na Capri, lub Ischię trzeba uciekać, albo się skryć w Castellamare..

Stary ojciec niespokojny, zmuszony do śledzenia kroków syna, nie

nie badając go należycie, spodziewał się
innemi drogami dojść co zaszło między
nim a Roliną.
Atut że wowczas ciosu był odparty. - Adam
nadto był spokojny.
W istocie rozmowa z p^ą Makolich, nie
tylko starczyła na rozproszenie wszystkich
lichych podejrzeń, ale - jak zwykle, zamiast
nich jeszcze zwiększyła. Silniejsze ...
czułe wyjaśnienie - słówko dwuznaczne,
zgoiły rany. Adam znowu pewnym był
że go kochano, że zazdrość jego nie
wiarą była zbrodnią, że co ojciec dowo-
[?] potwarzą, co mówiła Kochmowa
niechęcią.
Powróciwszy do domu Rolina nie miała
nic pilniejszego nad opisanie szyderskie
Balbinie, sceny porannej z Mortimerem.
Bawiło ją to, chwaliła się przed nią, że
wytajawszy rozkochanego, zmusiła go
do przepraszania.
— Tak, raz ci się to udało - odezwała się
Balbina - ale podejrzenie może powró-
cić, ma ono tę naturę że odrasta.
Będzie cię szpiegował. Jeśli chcesz go
zatrzymać... bądź że ostrożna.
Rolina ramionami podrzuciła pogardli-
wie.
— I cóż? odparła - Zobaczy mnie przecha-
dzającą się z Don Estebanem? Cóż to
dowodzi?
Ach! moja Balbino, dodała wesoło,

Zapomniałaś już chyba czem są ci mężczyźni! Oni gdy są raz rozkochani na dobre, gdyby nawet widzieli i słyszeli coś bardzo przekonywającego, póki trwa namiętność dadzą sobie zawsze wytłumaczyć że ich oczy, uszy i rozum omylił. Można im wmówić co zechce kobieta!

— Struny jednak zbyt wyprężać nie życzę — szepnęła dziewczynka.

— Owszem! zaprzeczyła Rolina. Wszystkie struny życia potrzeba wyciągać — niechaj brzmią, niech dźwięczą; z wszystkiego korzystać trzeba, wszystko wyzyskać — każdego skosztować owocu, napić się z każdego kielicha.. Inaczej, na coby się zdało i coby życie było warte?

Mówiła to z jakiemś przejęciem i namiętnością, z uniesieniem wesołem, młodem, była tak niezrównanie piękną, tak rozgrzaną jakiemś życia pragnieniem, rozpromienioną żądzą pochłonięcia wszystkich rozkoszy ziemi, do których prawo czuła — które się jej należały — że zupełnie oniemiała i ulękła się swej wychowanki.

Sądziła ją zimną, objawiła się jej rozgorączkowaną, a nie umiała rozeznać że ten szał chwilowy cały buchał z jej podnieconej wyobraźni. Ani zmysły

ni serce nie miało w nim udziału —
Gorzała podbudzona fantazja tylko.
Przychodziły na nią takie chwile i takie
wybuchy. Kalina pomyślała z obawą
że mogły być niebezpiecznemi. Ale
i w takich momentach rozgorączkowania
Kalina panowała nad sobą, wewnątrz
była ostygłą; zimny rozum pozwalał
jej natychmiast ochłonąć gdy chciała.

Po południu wszystko to poszło w zapomnienie, Adam, jego śmieszna zazdrość, wielbiciele i pragnienia.

Dnia tego w sali Bösendorfera słynny pianista, który już się był wycofał od grania koncertów publicznych, syt pieniędzy, orderów i sławy — miał raczyć się dać słyszeć na korzyść jakiejś dobroczynnej instytucji.

Znajdować się na tym koncercie należało do dobrego tonu, pokazać się na nim było koniecznością. Kalina postanowiła pójść nań — bądź co bądź.

Bilety wszystkie były oddawna rozerwane, ale to jej bynajmniej nie obchodziło.

Chociaż myśl ta jej przyszła za późno, powziąwszy ją napisała natychmiast bilecik do hrabiego Bronicza, który dotąd się jeszcze w Wiedniu znajdował.

„Muszę być dziś na koncercie, potrzebuję dwóch biletów, najlepszych, dla mnie, i dla ojca. Proszę usilnie przyjść z niemi, albo mi się nie pokazywać na oczy.”

Tak brzmiała kartka wysłana umyślnym do Trębickiego.

Rolina była najpewniejszą iż bilety będzie miała, znała człowieka i swoją nad nim potęgę.

Z najzupełniejszym spokojem, poczęła zaraz potem obmyślać toaletę, w której się miała na koncert ustroić. Chciała być olśniewająco piękną.

Boehmowa nie sprzeciwiając się nic mówiąc nic – długo tylko niedowierzająco potrząsała głową.

– A – jeśli on biletu nie dostanie? – zapytała widząc swą wychowankę gorączkowo wysuwającą szuflady, i wyrzucającą suknie i wstążki.

– Jakto nie dostanie? rozśmiała się dziewczę – A! toby mi się podobało! Dla mnie, żeby uronił biletów nie dostał?? Musi – choćby miał człowieka bilet posiadającego zamordować – Ja na koncercie – będę.

– Dla czegoż na nim być tak nieodzownie musisz?

– Bo – bo mi się tak podoba! odparła Rolina – Czyż potrzebuję coś więcej

powiedzieć nadto!

Suknia dobyta była już przygotowaną.

Na tę konieczność znajdowania się na koncercie, składało się rozmaitych przyczyn wiele. Naprzód Rolina potrzebowała być tam wszędzie gdzie był świat, do którego ona wcisnąć się i należeć chciała, i pragnęła aby ją do niego liczono.

Zalotnów jej dla wielu podżyłych panów, po których się nic spodziewać nie mogła, zmierzała do tego aby przez nich zdobyć sobie stanowisko w tych dotąd jej nie dostępnych sferach.

Na koncercie mogła widzieć, być widzianą i zbliżyć się znowu do tych osobistości, które spotkała u Księżnej, a później im znikła z oczów. Wpływowy anglik Mountcastle, baron St Koix, na ostatek piękne młode książątko, Rudolf-Cherubinek, po którym trochę tęskniła, wszyscy się tu dnia tego musieli znajdować.

Młody Hoh-Winterburg po rozmowie z babką, choć był szalenie rozkochany, musiał się stać ostrożniejszym, nie mniej wreszcie sposobu zbliżenia się do tego bóstwa swojego.

Zwiedział on gdzie Rolina mieszkała, przechodził gdy tylko mógł przez Wallner strasse, podnosił tęskne oczy ku jej

na jej oknom, spodziewał się jej spo-
tkać — ale rzadko bardzo mu się szczę-
ściło.
W przeciągu tego czasu trzy czy cztery
razy tylko zdołał widzieć Rolinę,
raz czy dwa udało mu się ją spotkać
powracającą z przechadzki, ukłonił się
jej zaczerwieniony i parę tchórzli-
wych przemówił słówek.
Czytała w jego oczach że zapomnianą
nie była — a, choć rachuby na młode-
go wszystko stały bardzo — prawie
żadne — chciała i przez niego niebyć
zapomnianą. Sprawiało jej to pew-
ną przyjemność, łechtało miłość włas-
ną, przez wszystkich być tak wielbioną.
Potrzebowała już kadzidła do życia, od-
dychała niem z rozkoszą.
Na koncercie musiał się też znajdo-
wać, znany ze swego dyletantyzmu
baron St Foix.
Rolina ale który francuz był bardzo
nadskakującym, spodziewała się go do-
prowadzić do zaproszenia na muzykal-
ne wieczory.
U barona zbierało się towarzystwo wy-
brane, a choć nie był żonaty, bywały
i kobiety, bo bratowa jego niemłoda
już pani, robiła honory domu.
Pani Iza de St Foix uczona, lite-

literatka, której się raz udało coś umieścić w <u>Revue des deux Mondes</u>, i od tego czasu przypominała ciągle, iż była jej współpracowniczką, – wielce płytowna jejmość, przyjmowana była wszędzie, choć mocno wszystkich nudziła.

Do tego francuskiego salonu się dostać, a przez niego do innych, było najgorętszem pragnieniem Koliny. Nie żałowała też dla St Foix najczulszych wejrzeń, najgorętszych sympatji dowodów, a łysy baron wyobrażał sobie iż zawrócił jej główkę.

Księżna Matylda, której zalotność pod komikownej wcale się nie podobała, od owego wieczora dramatycznego, zupełnie o niej zapomniała. Było to obrażającem, Kolina gniewała się na nią.

Właśnie na przekorę Księżnie chciała wnijść w ten świat, który przed nią tak zazdrośnie zamykano.

Wiele gotowa była ofiar uczynić, aby dopiąć tego celu.

Ojciec, na którego gniewała się i narzekała, do spełnienia tych jej ambitnych planów wcale się nie mógł przydać.

Niepodobna go było skłonić aby szukał stosunków, oddawał wizyty, zrobił coś

dla córki. Przy najlepszych chęciach, nieumiał po prostu, chodzić manowcami. Cała jego przeszłość nauczyła go zdecydowanej otwartości i szturmowania do celu, który tu podjazdowo zdobywać było potrzeba.

Sama jego powierzchowność w salonach arystokratycznych wydawała się niemal śmieszną, nieumiał chodzić, siedzieć, a nadewszystko prawić słodyczy i zabawiać rozmową tkaną z pajęczyny. Wydawał się pospolitym, ubierał nieporządnie, kłaniał zbyt nisko, a siebie oceniał za mało i drożej sprzedać nie umiał.

Zresztą pocieszny człowiek do salonu nie był stworzony, daleko mu swobodniej było w stajni dawniej, a teraz w sklepie antykwarjusza, gdzie mógł kląć i palić cygaro.

Rodzina ostatniem aż do teraz się gryzła tem, że ją pan Bóg takim nieokrzesanym ojcem pokarał, chociaż zaprzeczyć temu niemogła, że był najlepszy, najprzywiązańszy, najczulszy z ojców. Tylko — nierozumieli niewiele, że ona odziedziczyła krew matki francuzki, z południowych prowincyj,

ań, od dzieciństwa zaszyty w mundur
pod nim wszelką samoistność i uczu-
cie godności postradał. Zbyt długo
na niższych wegetował szczeblach, a kar-
ność uczyniła go tchórzliwym.
Miała więc Kalina wiele ważnych po-
budek domagania się tego koncertu,
po którym sobie wiele obiecywała.
Tym czasem, godzina oznaczona się zbli-
żała, a biletów nie było.
Była jednak tak pewna, iż wydany
przez nią, rozkaz spełniony być musi,
iż nie czekając na wiadomość o nich,
ubierać się zaczęła.
Ojcu wydany już był zawczasu ordynans,
aby włożył najlepszy mundur i goto-
wał się córce towarzyszyć. Wolała mieć
go przy sobie niż panią Boehm, którą
brała tylko gdy była do tego zmuszo-
na.
Z temi co zawsze oznakami niecierpli-
wości poczęła się tualeta przed wiel-
kiem zwierciadłem, do której posłu-
giwać musiały służąca, będąca razem
kucharką — co jej do funkcyj garde-
robianej nie zbyt zręczną czyniło, i
Pani Boehm, której najlepsze chęci
nigdy kapryśnego dziewczęcia nie
zadowolały.

Z wzrastającą, coraz niecierpliwością Rolina spoglądała na zegar.
Być żeby mogło, aby Stach Bronicz, chociby mu za bilety największą sumę przyszło zapłacić, nie umiał ich zdobyć pieniędzmi, sztuczkami, na reszcie, bodaj gwałtem i przemocą!
W to uwierzyć nie mogła by jej rozkaz został nie spełniony, musiałaby zwątpić o swej wszechmocności, i o miłości hrabiego, której była tak pewna!!
Godzina już już nadchodziła, zaufana w to iż na koncercie być musi, Rolina posłała po dorożkę.
Stała już ubrana zupełnie, z różą we włosach, jak anioł piękna, tą pięknością świeżą, zwycięską, narzucającą się, porywającą, serca i oczy, czarującą zmysły, którą się odznaczała — gdy dzwonek dał się słyszeć u drzwi.
— Nareszcie!
Sama wybiegła otwierać.
Bronicz drżący cały, zmęczony, blady stał we drzwiach, w ręku trzymając dwa bilety..
Rolina z wielkiej radości, rzuciła się ku niemu, na szyję prawie..

On pochwycił jej rączkę...

Biedny rozkochany, tak był upojony tem że ją widział szczęśliwą, iż mu się w oczach zaćmiło i musiał oprzeć się o drzwi. Czuł że przywitanie trwało tylko mgnienie oka.

Kolina cofnęła się zimna już i zobojętniała. Śmiejąca, patrzyła mu w oczy, litując się i ciesząc razem.

— Jak on mnie kocha! pomyślała.

— Jedziesz z nami? będziesz na koncercie, zawołała głośno.

Bronik podniósł oczy do góry.

— Niestety! były to dwa ostatnie bilety, na wagę złota! Dla siebie już zdobyć nie mogłem żadnego! Jeżeli każesz, jeśli pozwolisz, postoję u drzwi czekając, abym przy wyjściu mógł cię zobaczyć jeszcze.

Zdaje się że pułkownikównie niewiele już zależało na tem, czy mieć przy sobie Bronika lub nie. Smutku nie widać było na twarzy jej.

— A! jaka szkoda! przebąknęła obojętnie i biegła już wołać ojca.

— Papo! czas! Papo! jedziemy!

—

Hrabio! rękę podaj mi rękę, jedź-
dziemy — niema chwili do stracenia.
Pułkownik wdziewał płaszcz i pędził
za nim po wschodach.
Bronik przez całe trzy piętra prowa-
dząc ją, rękę jej do piersi przyciskał,
co nie dozwolonem było — mocniej ser-
ce mu biło, był szczęśliwy! —
Co teraz znaczyło dla niego że o te bilety
dobijać się musiał, latać, prosić, prze-
kupywać ludzi i ostatecznie je prze-
płacić tak, że się z niego wyśmiewano?
Wszystko to jeden uśmiech wynagra-
dzał.
Z okna dorożki, do której z ojcem wsia-
dła, piękna panna, szczęśliwa posła-
ła mu jeszcze wdzięczne wejrzenie i po-
zdrowienie, zostawując go samego
na trotuarze. Nie był jej już potrzeb-
ny.
W czasie przyjazdu zapinając długie
rękawiczki, rozgorączkowana Kolińska
dawała ojcu nauki, jak się miał znaj-
dować, z kim mówić, kogo witać,
jak się wprowadzać i t. p. Chciała na
nim wymódz więcej dumy, poczucia
swej godności, obejścia się z ludźmi
nie tak pokornego, mniej służalskości,
której stary pozbyć się nie umiał.

Makolich tak długo był porucznikiem, kapitanem, a tak mało widywał salonów, większą część życia spędziwszy w kordygardzie!

Salon Bösendorfera, jak przewidzieć było łatwo, nie przepełniony był, ale natłoczony. Pułkownik prowadzący córkę miał największą w świecie trudność przecisnąć się do pierwszych rzędów krzeseł oznaczonych numerami. Ale w ciągu tego pochodu z przeszkodami Rolina miała sposobność pokazać się i widzieć kogo chciała.

Jeden rzut oka na salę przekonał ją, że osoby, o które jej najwięcej chodziło, na sali się znajdowały. ~~[illegible]~~ Baron St. Foix siedział już z Królową w pierwszym rzędzie. Młode Książątko stało zboku przy ścianie, Lord Mountcastle, choć wcale nie muzykalny, musiał się pokazać gdzie byli wszyscy.

Księżna Matylda odznaczała się otoczeniem swem, dworem, całą gromadką ludzi, na których nigdy jej nie zbywało, bo jej dowcip, oryginalność i żywość, pewien rodzaj rubaszności dobrego tonu, przyciągały.

Tego wieczora brzydszą się wydawała niż zwykle, ale ożywioną była niezmiernie, i śmieszek jej słychać było zdaleka.

Rolina postrzegła z oburzeniem iż Kleszina widocznie unikała jej wzroku i udała że jej nie widzi.
Straconyby był jej ten wieczór tak pożądany, gdyby szczęśliwy traf krzesła jej nie umieścił po za siedzeniem Barona St. Foix i jego bratowej. Gdyby sama była mogła sobie miejsce wybierać, pewnie by innego nie wzięła. Baron siedział trochę dalej na prawo, tak że zaraz ją zobaczył i rozmowa z nim była ułatwiona.
Oprócz osób znanych i spotykanych wszędzie, sala nabitą była wielą nieznajomemi, rzadko się ukazującemi postaciami. Łatwo pomiędzy niemi rozpoznać było można kobiety, wielbicielki mistrza z przed lat trzydziestu, które żywo pamiętały owe chwile pełne szału, gdy chusteczki i rękawiczki wirtuoza na drobne rozszarpywano kawałki i jego samego omało los Orfeusza nie spotkał.
Naówczas był on jeszcze pięknym młodzieńcem!
Wszystkie te dawne piękności, z których każda niegdyś miała swą godzinę, w ciągu której mistrz się w niej kochał — dziś zestarzałe i zwiędłe

zwiędłe, przychodziły tu nie dla słyszenia muzyki, ale dla odżywienia tych wspomnień, które w ich duszy nie zatarte zostawiły ślady.—

Chciały widzieć tego nieśmiertelnego, który zawsze jeszcze był królem fortepianu, a dziś chodził w sukni pokutnej, dziwnie jakoś sprzeczającej się z całym potopem gwiazd i orderów na piersi.—

Na wieczora oczekiwał laurem opasany fortepian, bukiety i wieńce, tysiące serc bijących żywo i oczu ciekawych tysiące.

Ciekawych — co się stało z tego genjalnego mistrza tonów, który tak umiał być wielkim nietylko grą swą ale samym sobą, że potrafił zdobyć stanowisko królewskie, panujące — nawet tam gdzie Beethoven umierał zapomniany, gdzie Schubert dopiero po śmierci znalazł wydawców i wielbicieli! Tak! Mistrzem był tonów — ale i życia. Umiał i stanąć i utrzymać się wysoko, w czas nawet oblec czarną sukienkę, w czas zamilknąć i w czas dać się słyszeć znowu. Obok genjusza virtuoza był w nim talent impressarja, z mistrzowstwem gry łączyła się zręczność Barnuma.—

Cisza wielka — wybucha grzmot oklas-
ków.

Z za portjery wynurza się powoli spo-
kojna, blada, wyrazista twarz, której
wiek i zmarszczki nadały wyraz ener-
gji, a życie tę obojętność królewską,
która tłumom imponuje.

Sala się trzęsie. Na nim oklaski te
nie czynią wrażenia, pół wieka kar-
mił się niemi. Burza ta nerwów mu
nie porusza, krew żywiej w nim nie
uderzyła. Czeka majestatyczny. Spo-
kojny, wielki, znudzony trochę.

Zaledwie skłonił głową płacącym mu
podatek. Wie że jest genjuszem, i
że mu cześć należy.

Twarz to już nie estetyczna, nie ta co u-
śmiechem czarownym z za chmur za-
dumy ~~[illegible]~~ porywała serca i za-
wracała głowy — ale oblicze smutnego
wieszcza, [illegible] torów, [illegible] na
wyżynie. Dziś uśmiech jego więcej
by był wart jeszcze, ale on już nim
nie darzy.

Posągowo zimny, zwolna przystąpił
do fortepianu, oklaski uśmierzają
się i milkną powoli — cisza zalega
salę. Wszystkie oczy wlepione w nie-
go — oczekiwanie wielkie..

Uderzył w klawisze. Jest to ten sam mocarz jednak, który największy głos i największy ton ma na zawołanie, a dziś już mechanicznie posługuje się niemi, nie potrzebując wlewać uczucia, szafować duchem. Palce same mu grają.
Wrażenie jest ogromne. Przyczynia się do niego rozgłos, urok postaci, twarz i sukmana. Sala cała w uniesieniu bije brawa. Marmurowy wieszcz zgina się nieco, ironiczny uśmiech drga mu na ustach. Biją oklaski jednak... Dziękuje po monarszemu, - wychodzi -
Szmer rozmów żywych, przerywają oklaski nowe, bez końca.
Baron St. Foix, który jako francuz, jest radem wrażliwym a uniesieniu ogólne nie podlegającym - odwrócił się i widział za sobą już Kolinę.
Ona także, choć gra na niej nie zrobiła wrażenia, bo myślą była gdzie-indziej, musi być zachwyconą - zwraca się z tem do twarzy. Oczy jej wykrzesiła, śmieją się z za różowych warg ukazując ząbki perłowe, policzki szkarłat krasi - jest cudnie piękną. Wiele oczów teraz zwraca się na nią. Ona niewiele i śmiało czyje. W swoim rodzaju jest także wirtuozem i umiejętnym grać na całej gammie ludzkich uczuć...
Baron pochylił się ku niej przez

przez Księdza. rad że może pokazać w obec tylu świadków, swój [illegible] z tą pięknością, o której dopytują ciekawi.

— Dawno, bardzo dawno nie widzieliśmy pani, odzywa się St. Foix. Szukaliśmy jej wszędzie, wszyscy nie mogąc jej znaleźć..

Rolina się uśmiecha. Tłumaczy się że do świata nie czuje się stworzoną, woli ciszę domową (oczy jej kłamią ustom zadając) - i kończy tem że tylko niezmierne pragnienie posłyszenia tej czarującej ekzekucji, mogło ją wyciągnąć z zaciszy.

Rozmowa staje się muzykalną, gdyż niema nic dokuczliwszego nad rozprawianie o muzyce, choćby się jej nie czuło, ni rozumiało.. St. Foix ma gotowe zdanie o wirtuozie i od lat kilkunastu zachowaną gry jego charakterystykę, którą podaje za nową i widzi ją nadzwyczaj sympatycznie przyjętą.

Rolina potwierdza, parafrazuje i podnosi zdanie jego i odgrywa wybornie uniesienie i przejęcie. Tym czasem oczy jej strzelają, na wszystkie strony, zbierają, półuśmiechy, zarzucają ponęty na które się coś złapać może.

— Co za potęga! mówi St. Foix, któremu

wielki hałas, szczęśliwe tempo i niezrównana brawura więcej niż muzyka imponują. – Wiek nie nadwerężył go, nie ujął mu nic, zahartował go jakoby. Zdumiewająca organizacja!
Po kilku zamienionych frazesach, Roli na z uśmiechem wyznaje, że jest namiętną miłośniczką muzyki, a także rzadko słyszeć ją może.
Wzrok towarzyszący tym wyrazom wprawia w gorączkę Francuza. Sam może nie wie jak wciągnięty został i zaprosił piękną sąsiadkę wraz z ojcem, na jeden ze swych muzykalnych wieczorów.
Rolina tego właśnie najgoręcej pragnęła, o to się dobijała; – rumieńce żywsze jakoby okrywają jej twarzyczkę, wyciąga rączkę do barona i ściska dłoń jego – tak zachęcająco!
Ubóstwia ten młodych, tłustych paluszków podstarzałego celadona przenosi w kraina najsłodszych marzeń. Zapomina o hrabinie Z. która rozparta w krześle, z lornetką w ręku ocenia przebiegła jej, i ścina go wzrokiem mściwym.
Baron cały pochylony ku pułkownikównie, zwraca na siebie i na nią oczy całej sali.
Rolina wcale o to nie dba że inni jej wielbiciele – bledną z boleści.

Ksiądz Książe Rudolf, który ją poże-
rał oczyma, posmutniał, załęknił się-
przytulił do ściany i niemogąc znieść
tego widoku zwracał się patrzeć na
laurami okryty fortepian.

Z wielu stron sali lecą na Roling
spojrzenia przejęte zazdrością, gniewem,
smutkiem, oburzeniem. Ona domyśla
się ich może, ale zna swoją siłę i wie
że wszystkie te wyrazy, gdyby wybu-
chnęły — wszechwładnem wejrzeniem
ukoi i rozproszy.

Jednego wejrzenia skierowanego na
siebie, ani spostrzega ani się mogła
domyślić Putkowrikówna. Niedaleko
od Barona siedział wprzódy, teraz
powstawszy spogląda na nią z zachwy-
tem artysty dla cudnego obrazu —
mężczyzna siwy już, stary, z oczyma
czarnemi, z cerą pożółkłą, rysów
twarzy klasycznie pięknych — które
wiek zamiast nadwerężyć, silniej
tylko dłutem swym wyrzeźbił.

Jest to twarz imperatora rzymskiego.
Wszystko w nim znamionuje dziecko
świata arystokratycznego, twarz, po-
stawa, wyraz, ruchy —

Może nie być wielkim panem, ale
jest niezawodnie starożytnego rodu
potomkiem i dzieckiem starej cywi-
lizacyi. W jego wejrzeniu na Roling,

w której się ze szczególnem natężeniem uwagi wpatruje — niema ani namiętności, ani żadnego zmysłowego piętna, — patrzy na nią jak artysta na piękny model, na typ dziwnie czysty i doskonały, który by rad w pamięci zatrzymać. Jest to wejrzenie znawcy, krytyka — psychologa..

Wyraz jego twarzy mieni się pod wrażeniem tego badania, — jakby odgadywał czy tajemnicze położenie czy przyszłe losy jej intuicją wieszczą, — chmurzy się i zdaje się litować — sympatycznie.

Oczy jego i usta mówią:

— Jakie losy spotkać mogą w życiu tę tak piękną a nieopatrzną istotę!

Zaledwie St. Foix na chwilę się odwrócił od Koliny, która, dopiąwszy celu, oparta się na poręczy krzesła dając do zrozumienia że przedłużoną rozmowę przerwać było potrzeba, — gdy żywy ów mężczyzna zbliżył się do barona, przywitał i zapytał z cicha..

— Któż to jest ta piękność?

St. Foix żywo mu odpowiada na ucho..

Pytający z wielką uwagą przysłuchuje się odpowiedzi.

W tem oklasków grzmot przerywa rozmowę, Milka wychodzi powtórnie —

Rolina chwila i wejrzenia uparte starego,
skierowane na siebie widziała - i py-
tania a szepty zrozumiała iż jej się ty-
czą nasiąkły - postanowiła dowiedzieć się
od Barona. Kto był ten.. ciekawy -
Ze wszystkiego mogła korzyść jakąś wy-
ciągnąć - stary ów przydatnyby się kiedyś
może.. Pochlebiało go że mógłby arty-
stą.
Wirtuoz zasiadł do fortepianu - oczy
zwrócił ku niebu w górę, jakby tam
szukał natchnienia - cała postać wyra-
ża poetyczny nastrój duszy, w sposób
bardzo malowniczy. Wszystko tu obra-
chowane, postawa, - ruchy, wejrzenie,
zaniedbanie pewne w chwilach najwięk-
szych trudności, - chłód i przejęcie. Mo-
żna powiedzieć że grał równie dla
oczów jak dla uszu -
Sala milczy i słucha z namaszczeniem..
Skończył, oklaski powtórne potęgują
się do siły wielkiej jakiej, a że nie mo-
gą być huczniejsze, - trwaniem przynaj-
mniej entuzjazm stwierdzą. Ucichły
już - i powtórzyły się raz drugi, prze-
brzmiały i lecą znowu..
Jakiś wielbiciel dał znak, w którym
mu wszyscy namiętnie - Brawom nie
ma końca.
Ledwie przebrzmiały oklaski, gdy Rolina

Rolina zbliżyła się z uśmiechem do Barona.

— Kto to jest ten piękny, tak dystyngowany staruszek, który mówił z baronem?

— Ah! śmieję się odparł francuz, przeczułaś w nim pani jednego z wielbicieli jej piękności. Dziwi mnie tylko że ten, którego tu wszyscy znają od dawna, pani nawet z widzenia nie jest znajomym. Jest to Włoch, Conte di Borgi, potomek jednej z najstarszych rodzin włoskich, bo Guidocino przodek jego, grał pewną rolę w Pizie, w czasach tej strasznej tragedji Ugolina i Viscontich. Borgi należał dawniej do dyplomacji austryackiej, dziś odpoczywa, zajmując się historją sztuki. Wielki miłośnik malarstwa i rzeźby, wielki marzyciel, gości więcej w pracowniach artystów niż na wielkim świecie. Jesteśmy z nim od dawna w przyjaźni. Mogę pani powinszować wrażenia jakie jej piękność uczyniła na Borgim, jest to wielki znawca.

Rolina skrzywiła nieco usteczka.-

— Ah panie Baronie, odparła melancholicznie — jakże to upokarzająca i smutna rzecz dla kobiety, kiedy maleczka jej robi wrażenie..— tu piękność sama..

pod którą nikt nie szuka duszy.
Szkoda tym niekoniecznie powierzchowności
być winną sympatję ludzi.
Spuściła oczy skromnie, westchnęła i ma-
ły ten epizod odegrała bardzo ładnie.
— Ach! Pani, odparł francuz grzecznie — mo-
głaby coś z tej swej piękności ustąpić
mniej szczęśliwym a nieszczęśliwszym tego
uroku, którym czarujesz ludzi.
Muzyka przerwała komplement, za
który Kulina uśmiechem powłóczy-
stem podziękowała.
Ostatni znowu i bez końca.
Koncert zszedł teraz cały na tych grzmo-
tach, okrzykach i entuzjazmie, którym
wymożono na Mistrzu znużonym,
jeszcze jedną nadprogrammową, obracho-
waną na zrobienie nadzwyczajnego
wrażenia — improwizację.
Temat był — narodowy — popularny.
Ponieważ na tłum zawsze więcej działa
kuglarstwo niż sztuka, mistrz całą
swą czarodziejską zręczność rozwinął
w niej aby upoić słuchaczów.
Śpiewały głosy pojedyncze, towarzyszyła
im orkiestra cała, zdawało się sły-
szeć i ludzkie głosy i trąb brzmienie,
i bębny i cele i flety, a wszystko
to dziesięć palców wywodziło...!!
Czarodziej! Uniesienie doszło do

do najwyższego stopnia zachwytu-
Wieńce srebrne i zielone, bukiety, korony sypały się ze wszech stron pod stopy ubóstwianego virtuoza..
Skłonił głowę, rękę położył na piersiach, i zniknął.
Tłum wreszcie odpływać zaczął. Baron St. Just przecisnąwszy się zaklinowawszy w tej ludzkiej fali, pułkownik niezgrabnie podał rękę córce – Rolina szła poważnie rozglądając się do koła.
Była prawie pewna że ktoś z tych co się do niej zdala oczyma modlili, pomimo ścisku zbliżyć do niej się musi.
Mijając pozdrawiało ją wielu.
Wyjście z Ludwiczkiem cięższem było niż weśliźnięcie się do sali. Pułkownik w najwyższym stopniu niezręczny, rady sobie dać nie mógł. W wojsku nigdy z podobnym nieładem i niesubordynacją nie miał do czynienia-
Z ust co chwila wyrywało mu się – Sakr.. i Tausend... ale to nic nie pomagało.
Rolina dość obojętna, pewna siebie, korzystała z tego i strzelała oczyma..
Wieczór uczynił na niej wrażenie miłe, dopięła tego czego chciała. Los, który nie zawsze jej tak sprzyjał, tym razem był bardzo łaskawy.

Ufała w gwiazdę swoją.

Naostatek po utrapionej podróży przez salę, jeszcze pełną, Makolich ją doprowadził do garderoby.

Pierwszą twarz którą tu ujrzała była hr. Broniszka. Nie miał on biletu, nie znajdował się na koncercie, lecz stał razem ze służbą, oczekując na swą panią, która mu tu być - dozwoliła.

Mógł ją zobaczyć raz jeszcze.

Z drugiej strony troskliwie zbliżył się książę Rudolf, - dopominając się numeru, aby ułatwić odebranie narzutki i chustki.

Pułkownik właśnie się tem już zajął.

Zostawiona sama sobie na chwilę, Rolina zdala uśmiechnęła się przyjaźnie Broniszkowi, ale rączkę podała księciu. Chłopak pobladł tak się uczuł szczęśliwym. Czuł dotknięcie jej ramienia, twarzyczkę jej tuż blisko, oddech prawie. Ręka jej drżała przy jego dłoni, jakby jej szukała. W tem ścisku lekkie dotknięcie niepostrzeżone było tak naturalnem! Rudolf zaniemiał z rozkoszy. Myślał że takby znikł, w niemem upojeniu chciał do końca

Końca świata przestać.
U drzwi przy wsiadaniu do powozu, kolej przyszła na Bronisia, którego rękę ścisnęła Rolina znacząco. Twarzyczka osłonięta Korenkówną chusteczką, wychyliła się z powozu, uśmiechnęła — wszystkim, i znikła w nocnych mrokach.

VIII.

Żadnego może narodu charakter, skutkiem wyrabiania się swobodnego w jednym kierunku z wielkiem szczęściem i powodzeniem, — nie nabrał cech tak wybitnych, nie wykształcił się tak odrębnie, tak indywidualnie jak francuzki. Piękne jego strony doszły aż do heroizmu, ujemne do śmieszności i karykatury. Nie wiem czy jest co trudniejszego w świecie nad wynarodowienie francuza — chyba przerobienie anglika na kosmopolitę. Wprawdzie francuz zgodzi się z każdym, nawet najmniej sobie sympatycznym narodem, jeśli on jego miłości własnej nie

nie zadrasnąć – ale sobą nieprzestanie
być nigdy.
Jest w nim coś Królewskiego potomka,
który zubożały i zszargany, nigdy
krwi swej monarszej zapomnieć
nie może. Ils sont bons princes, bar
dzo często, ale książętami być muszą.
Długo też panowali cywilizacji całego
świata..
Nawet po r. 1870 czują że jeszcze
mają do tego prawo.
Wreszcie w historyi cywilizacyi, która
jest dziełem sił wieku, Francja mia
ła udział przeważny, pochlubić się
nim może, ale i w dziejach aberracyi
umysłu ludzkiego nie poślednie miej
sce zajmuje.
Baron St. Foix był doskonałym typem
francuza, a raczej paryżanina, to
jest francuza podniesionego do najwyż
szej potęgi. Miał wszystkie przymioty
i słabostki wszystkie swego narodu –
Najprzyjemniejszy z ludzi, był razem
najsłodszym, mimo dojrzałego wieku.
Nic się nie uczył a bardzo wiele umiał
nadewszystko zaś nieświadomość swą,
wielu najważniejszych rzeczy, nadzwy
czaj zręcznie pokrywał.

Niezmierna próżność i duma kryła się w nim z pozorną popularnością i wypukanem ugrzecznieniem. Półwieczny w karjerze dyplomatycznej, która go po całej Europie długo przesuwała z miejsca na miejsce po różnych stolicach — mógł był bardzo stracić swój charakter paryżanina, przejąć coś z obcych obyczajów, lub przynajmniej pogodzić się z niemi. — Lecz wcale tak nie było. Baron na wiedeńskim bruku żył bulewarem włoskim, czytał tylko francuzkie dzienniki, karmił się lekką literaturą swojego kraju, myślą i duchem był zawsze nad Sekwaną. Dla niego, wedle wyrażenia W. Hugo, Paryż zawsze był sercem świata.

Za criterium do oceniania wszelkiego gustu miał miarę paryzką. Kobieta zachwycająca, wywoływała w nim porównanie do paryżanki. Najwyższą pochwałą w jego ustach było podobieństwo do czegoś paryzkiego. Wielkości nieznane lub nieuznane w Paryżu, dla niego nie istniały. Kto nie przybliżał lubić rzeczywis-

~~w stolicy świata tem był niczem.~~

Słowo wyszczone w jakim dzienniku paryzkim ważyło dlań więcej, niż największa zasługa.

Z tem wszystkiem był to najmilszy człowiek w świecie dopóki jego miłości własna zadraśniętą nie była.

Jak znaczniejsza część francuzów miał cześć dla kobiet wielką i był niezmiernie czułym na uroki piękności. Niegdyś bardzo przystojny, pięknego imienia, nie ubogi, dyplomata (a i to coś znaczy) baron St. Foix miał w ciągu życia wiele szczęścia do kobiet.

Bawił się też trochę w Don Juana, ale zawsze tak oględnie, aby nigdy z żadnym Komandorem nie mieć do czynienia. Gotów był do wielu ofiar dla pięknych oczu, lecz — stawiać sobie dla nich życia nie myślał.

Ślady tych dawnych przygód żywota, były tak zupełnie zatarte, iż z nich nic nie pozostawało. A sztuka to jest niepospolita, uwolnić się od brzemienia przeszłości, które ciąży często do zgonu.

Baron St. Foix był zupełnie swo-

swobodnym.

Byli ludzie, którzy utrzymywali że baron niegdyś miał żonę, ale historja tego małżeństwa była tak ciemną i mistyczną, iż można ją było za bajkę poczytać. Po tej omyłce - jeżeli ją popełnił, - nie myślał się już żenić wcale.

Bratowa, bas bleu, była gospodynią jego domu, nie zawadzającą mu, i umiejącą się do jego trybu życia i obyczaju zastosować. St. Foix uchodził za znawcę dzieł artystycznych, grał na fortepianie smakliwie i liczono go do dilettantów. Mówiono że niegdyś śpiewał, a kochał się w muzyce zapamiętale, chociaż prawił o niej czasem rzeczy osłupiające. Literatura nie była mu obcą, a uczoność bratowej nie dała mu jej zaniedbać.

Przy wielu dworach niemieckich sprawując różne funkcje dyplomatyczne od lat wielu, wszystkimi zastępując posłów - było to wielce oryginalnem. baron wcale się nie uczył i nie rozumiał po niemiecku.

Wspólnem mu to było z całą większością dyplomatów francuzkich

z przed 1870 r. z których mało ~~który~~ język niemiecki rozumiało. Składały się całe poselstwa, w składzie swym niemające ani jednego urzędnika, oswojonego z niemieckim językiem. Złośliwi ludzie utrzymywali że baron czasem w rozmowach zdradzał dziwną geografji nieznajomość, gdy szło nawet o kraje sąsiednie, w których dotąd nie bywał. Im dalej od granic Francji tem świadomość stosunków, podziałów, — rozgraniczeń była bardziej uderzająca.

W postępowaniu bardzo correct, ostrożny, nigdy zbytnio gorliwy, nigdy zapałem nie grzeszący — cierpliwy, umiejący mówić otwarcie a niewygadać się z niczem — St. Foix miał ustaloną opinję znakomitego dyplomaty. Spodziewał się też wprędce zostać gdzieś ministrem pełnomocnym, zamiast być, jak dotąd, pierwszym radzcą ambasady, a czasem zastępcą w czasie urlopu.

Przystojny jeszcze, z twarzą wesołą, zawsze starannie ubrany, w Wiedniu

miał

miał baron wiele skłonności serdecz-
nych, a skończył na hrabinie Z—
której go teraz jeszcze wyrywającego
się jej i wymykającego trzymała całą
siłą, niknących już wdzięków i gryzące-
go, złośliwego dowcipu.

Baron od dawna pragnął zerwać zupeł-
nie, lub przynajmniej zejść na dobrego
przyjaciela – dotąd jednak mu się to
nie udało. Nie przeszkadzało mu to być
nadskakującym dla kobiet, a niekiedy
na krótko rozpłomieniać się po mło-
dzieńczemu. Hrabina, jego która zna-
ła już tę naturę wrażliwą i wybu-
chającą, słomianym płomieniem,
nie bardzo się jej obawiała i umiała
ją ostudzać.

Widziała że im ogień był większy
w początku, tem prędzej wygasał. –
I zapał ten dla pięknej Róży, nie
zdawał się jej groźnym. Dziewczę było
za młode, baron za ostrożny i nałogi
cenił swój spokój, aby zaszedł za
daleko. – Jednakże po koncercie, w
czasie którego widziała go tak jawnie
dworującym pułkownikownie i kom-
promitującym się w oczach wszystkich,

Pani Iza de St. Foix, duchem była zaczy-
nała niespokojna.
Młodość dziewczęcia właśnie dla
człowieka tego wieku była największą
ponętą i niebezpieczeństwem. Bała
się ożenienia; a małżeństwo było i
jej nieprzyjemnem i - zdaniem jej -
dla szwagra niedorzecznem. -
Wedle jej już wypróbowanego systemu,
sprzeciwiać się, rozpoczynać o to walkę,
drażnić radami, było największą nie-
zręcznością. - Potrzeba było owszem,
pospiesznie tem ogień do najwyż-
szego doprowadzić rozgorzenia, aby
potem sam przez się zagasnął.
Nie sprzeciwiała się więc zaprosze-
niu Roliny na wieczór i sama je
z wielką uprzejmością powtórzyła
w czasie koncertu. Uśmiechała się
pułkownikowi i pułkownikównie, nie o-
kazała po sobie nawet cienia złego
humoru. W krótkiej rozmowie
z Roliną, pani Iza nie mogła się po-
wstrzymać, aby coś o literaturze nie
napomknęła, i ze zdumieniem przekona-
ła się, że panna Katolich obeznaną
była dobrze z jej nowościami, oczy-
taną i umiejącą w potrzebie, oka-

zać

okazać więcej niż wszystkie ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ literatka spodziewać się po niej.

Rodzina miała, między innemi i ten talent iż mało pracując, zdobywała wiele. Przy całej swej zalotności i pojęciu głównym życia celem — zdobyciem stanowiska na wyżynach — Panna Katolick wykształcenia swego nie zaniedbywała. A że natura obdarzyła ją pojęciem bystrem, pamięcią, doskonałą — domyślnością, taktem, mogła śmiało stanąć obok kobiet które za najlepiej wychowane uchodziły.

Dawało jej to więcej jeszcze siły do walki, i umiała ją ocenić.

Nigdy żadną kobiecą robótką nie zajęta, pogardzając niemi, pułkownikówna miała czasu podostatkiem. Zabijając go, czytała wiele, bez wyboru, prędko, chciwie, lekko i ~~[illegible]~~ na swój sposób z korzyścią, gdyż brała z książek to, czem się mogła w życiu i rozmowie posłużyć.

Umysł giętki dozwalał jej tam gdzie jak u p. St Foix, zabawiać się było potrzeba literaturą — świetnie podołać zadaniu i popisać się z nie-lada erudycją,

Wieczory u barona St. Foix, który na Neu-Markt zajmował niezbyt obszerny apartament na pierwszem piętrze, nie gromadziły nigdy zbyt wielu osób, nie bywały tłumne, ale bawiono się tu niebywale i przyjemnie, wedle wszelkich form ~~[illegible]~~ wytworne, obfite, doskonałe. Stary francuz jest po trochę gastronomem i gospodarz odznaczał się też apetytem dobrym a podniebieniem smakosza. Trochę muzyki, rozmowa ożywiona, stoliki do małej gry dla tych co je lubili, — wieczerza zawsze wykwintna bardzo, czyniły wieczory barona ~~bardzo~~ miłemi, i ubiegano się o zaproszenia, których zresztą St. Foix nie nazbyt szafował.
Dobór towarzystwa był staranny. Szczególniej co do mężczyzn — z kobiet trafiały się i mniej znane, mniej wybitne osobistości, ale zawsze należące do tego co się zowie, Katexochen światem. Wyjątek stanowiły znakomite literatki, znajome pani Ziem. Baron rzadko zapraszał młodych artystów.
Tego wieczora właśnie gdy Rotina była zaproszona, osób niespodziewano

się wielu.
Do wybranych należał Conte di Bongi, kilku francuzów przez Wiedeń przejeżdżających, jedna, niemłoda już autorka poezyj, niemka, przyjaciółka gospodyni (chodząca w okularach i tłumaczka Coppée'go), fortepianista sentymentalny i t. p. A że Salomon Morimer był z powodu filii swej w Paryżu, bankierem barona od dawna, syn też jego raz na zawsze miał zaproszenie, o czem Rolina nie wiedziała.
Zjawiała się tu czasem i hrabina Z- niespodzianie, szczególniej gdy go podejrzewała o niewierność i przykrość mu wyrządzić chciała.. Można się było i tego dnia obawiać aby nie wpadła, domyślając się z żywej na koncercie rozmowy z baronem, że Rolina być mogła na przyszły wieczór zaproszoną. W prawdzie hrabina nie zniżyłaby się do zrobienia sceny jakiejś, ale przybycie jej mogło być dysonansem nieprzyjemnym.
Pułkownik z córką zjawił się ani za wcześnie, ani zbyt późno. Ważniejsze osoby towarzystwa już były w salonie zgromadzone, a na kanapie żywą rozmową zajęte były literatki.

Rolina, wczoraj przybrana, jak zawsze,
z wielkim smakiem, z prostotą i ele-
gancyją podnoszącą wielką jej piękność.
Rzadko się jej trafiało stracić trochę
wdzięku, a gdy chciała nadać twarzy
a blaskowi oczu, pewien oznaczony
charakter ad hoc, dopięła tego zawsze,
choć była w duszy najwięcej cierpiąca.
Moc miała nad sobą potężną.
Powitawszy ją w progu gospodarz zapro-
wadził do bratowej i siadł sam przy
niej na chwilę, zabawiając przybyłą.
Pułkownik nie mający tu nikogo zna-
jomego, wielce skłopotany, nie wiedząc
co z sobą począć, pozostał w środku
salonu. W takim razie zwykł był
dla kontenansu chudy wąs podkręcać.
Zrezygnowany na wszystko co go spot-
kać mogło, byle córce z tem dobrze
było, uśmiechał się sam do siebie nie
tracąc fantazyi. Przypatrywał się na
ścianach rozwieszonym obrazom Dau-
bigni'ego, Decamps'a, Cabanela i
kilku innych francuskich malarzy.
Gospodyni słodziła kilku słowy
grzecznemi, przywabiła go potem ku
sobie.
Gdy się to działo stary Conte di Bongi,
z dala przypatrujący się pilno Rolinie
zbliżył się, zażądał być zaprezen-
towanym,

i zastąpił przy niej gospodarza.
Dla Koliny była to nowa znajomość
a wszelki nowy człowiek, bez wyjątku
dla niej był konieczną zdobyczą nową.
Miała coś w temperamencie, naturze
i nawyknieniu, co ją zmuszało
starać się podbić każdego, tak jak
strategik nie pozostawia w pochodzie
za sobą nieopanowanej fortecy.
Kto się nie dał zdobyć — stawał się
dla niej nieprzyjacielem.
Di Bongi, którego widziała przypa-
trującego się sobie na koncercie z ta-
ką uwagą, zrobił na niej niepokoją-
ce wrażenie. Naprzód, wzrok jego
był jakiś przenikający, powtóre nic
w nim nie obiecywało wielbiciela,
a coś zapowiadało ciekawego bada-
cza, który ją chciał poznać bliżej,
aby mógł sobie wytłumaczyć.
I teraz, usiadłszy przy niej, wpatry-
wał się w nią wzrokiem dobrotli-
wym, ojcowskim niemal i wydał
się jej za zimnym i obojętnym. Na-
wykła była widywać od ognia swych
oczu rozgrzewających się młodych i
starych.— De Bongi spoglądał na nią
z sympatją, ale we wzroku tym było
coś tak poważnego, z takim olympij-
skim spokojem, badał ją stary, że

że Rolina w początku bardzo śmiało i zuchwale zaglądająca mu w oczy, uczuła iż sięgał do głębi jéj duszy, zlękła się go i zmieszona wzrok musiała odwrócić.

Dźwięcznym, łagodnym głosem wtoch rozpoczął z nią rozmowę, rozpytując od jak dawna w Wiedniu mieszkała, i czy pobyt znajdowała miłym.

Pułkownika ulegając wyższości ducha, którą uznała w nim, zapominała o odegrywaniu roli, stała się naturalną, co się jéj bardzo rzadko trafiało.

Zyskiwała na tém.

— Wiedeń, poczęła z uśmiechem niemal [illegible] jest dla mnie teraz jakby rodzinnem miastem. Przebywałam w niéj dawniéj czas krótszy, teraz już od lat kilku osiedliśmy tu stale. W dzieciństwie podzielając los ojca mojego, którego służba z jego pułkiem przesuwała w różne miejsca pobytu, musiałam wędrować wiele, później wracaliśmy często do Wiednia. Nawykłam do niego, czuję się tu jak u siebie, i niewiem czybym gdzie równie się czuła swobodną.

Do Wiednia zresztą, dodała, nawet obcy się łatwo przyzwyczajają, jest to miasto gościnne i sympatyczne.

— Podobnie dzieje się i ze mną, odpowiedział Bongi. Ojczyzną moją właściwie są Włochy, ale przybraną Austrja. I ja wiele wędrowałem po świecie. Kocham moją Florencję i Pizę, a do życia Wiedeń wolę.
Z miast europejskich jest to jedno może, w którem ludzie najrozmaitszych narodowości spotykają się bez uczucia niechęci i współzawodnictwa, z życzliwością braterską. —
Ojciec pani jest...
— Rodzina ojca mojego pochodzi z Dalmacji, odpowiedziała Rolina, matka moja była francuzką, babka niemką. Niewiem więc sama do jakiej się mam przyznać narodowości —
— A! odparł z Bongi, kwestja narodowości nie jest ani kwestją nazwiska, ani nawet krwi, ale ducha i usposobienia — rzeczą własnego wyboru.
Tak w sposób bardzo poważny rozpoczęła się z Włochem rozmowa. Rolina była rada temu jej kierunkowi, gdyż mogła powoli zebrać myśli i trochę się przygotować do — examenu, który przeczuwała. Stary Bongi z ciekawością psychologa zdawał się badać to zjawisko, które naprzód pociągnęła go swym artystycznym udziękiem.
Siedząca obok na kanapie pani

Iza de St. Foix przyłączyła się do nich — przeciwko gościnnemu Wiedniowi biorąc w obronę Paryż, jako stolicę świata, gościnną dla wszystkich narodowości, dającą każdemu przytułek tym co własnej nie mieli ojczyzny.

Borgi gorączkuje bardzo, — zbyt to twierdzenie..

— Francja w ogóle — i Paryż zbyt znają, i czują swą wyższość, swą cywilizację, zbyt są przywiązane do swojego życia, obyczajów, do form pewnych, aby mogły zrozumieć i poszanować cudzoziemców. Co najwięcej, tolerują przybyszów, ale nie uznają..

Bądź pani sprawiedliwa, przyznaj, że w Paryżu czasem bywacie ciekawi czegoś obcego, ale co obce i nie wasze wydaje wam się niemal barbarzyńskiem i śmiesznem. Cudzoziemca przyjmujecie o tyle dobrze o ile obiecuje zostać francuzem i poddać się obyczajowi waszemu. Literatury obcych narodów ledwie się wam wydają warte wspomnienia i poznania.. Wiktor Hugo, który nie lubi Goethego, zastępuje wam wszystkich poetów świata.

Mam wam za złe szczególniej żeście malarstwa i sztuki niemieckiej, ani cienia nawet poznać którejś mieli ochoty.. Bywały wyjątki — ale reguła

reguła ogólna: ignorowanie tego co nie wasze.

Z pewną dumą, złagodzoną tylko obowiązkami gospodyni, p-i de St. Foix odpowiedziała:

— Masz hrabio trochę słuszności — takeśmy wystarczyli sobie, niepotrzebując się zapożyczać u obcych. Byliśmy tak bogaci dotąd że się u nas narody inne żywiły, i na wzór nasz urabiały.

Stojący blisko baron ~~[illegible]~~ podszedł, zasłyszawszy co mówiono i wtrącił żywo:

— Widzę że tu idzie o honor Francji, muszę stanąć w jego obronie. Będzie sprawiedliwości, panie hrabio. Oskarżacie nas żeśmy zlekceważyli wszystko obce, ale to — obce, było tylko przerobieniem, czyli popsuciem tego co u nas pożyczono! Moda, teatr, literatura, obyczaj, aż do kuchni, szło od nas na świat cały, i idzie dotąd..

Mieliżeśmy wyrób własny, odkupywać nazad, pod stęplem nowym?

Bonazzi słuchając uśmiechał się łagodnie. Rolina ~~[illegible]~~ nie tracąc czasu i rzucając po salonie oczyma, rada była że mogła nie brać zbyt czynnego udziału w rozmowie, bo powaga jej tonu, więcej jej zwykłej śmiałości odejmowała.

— Nie będę się sprzeczał z wami, odpowiedział hrabia, chociaż jako Włoch i spadkobierca rzymian, mógłbym

się upomnieć

upomnieć o kraj własny. - i to co on
dał światu a wam. wierz mi baronie,
mi codzień trudniejszem jest i byście
ocenić co który z narodów przyniosł do
tej wspólnej kassy, którą się cywilizacyą
nazywa. Wszystkie pracują dla
niej i dla ludzkości, i bez współudzia-
łu wszystkich plemion, zdolności, roz-
maitych władz mniej lub więcej rozwi-
niętych, cywilizacya zamknięta w gra
nicach ciasnych jak Chiny, musiałaby
skarleć i zdziecinnieć jak chińska.
Myśl jak krew w całem ciele krąży
żyć powinna swobodnie.
ale - dodał śmiejąc się - wpadliśmy
na przedmiot strasznie suchy.. nie
prawdaż?
Odwrócił się stary ku Rolinie, która
nic nie odpowiadając, dwuznacznym
uśmiechem podziękowała tylko zapa-
mięć o sobie.
- Zostawmy artystom lepiéj rozprawy o
nowo wystawionym obrazie Makarta..
rzekł wesoło gospodarz - u nas w jas-
niejszy świat piękności i blasków
wprowadzi.. Makart jest kolorystą
niezrównanym, jakiego szkoła od czasów
Tycjana i Rubensa nie miała..
- Wspomnieliście Rubensa - rzekł
hrabia. narzucacie się z niem porówna
nie..
Rolina ciągle uśmiechem tylko

dawała oznaki że unikanie przyjdzie chwila się. Z baronem czuła się nie równie swobodniej niż kiedy Bongi czynił na niej wrażenie sędziego lub spowiednika —
Radaby się była uwolnić od niego ale stary nie chciał przy niej usiąść, patrzył i badał. Kolina widziała dobrze iż, tak jak dał. Kolina widziała dobrze iż, tak jak innych zbałamucić go nie potrafi. — Spokojnie, chłodno, życzliwie ale przenikająco się jej przypatrywał.
Spróbowała odwracając się od niego, rozpocząć rozmowę z gospodynią, spodziewa się go pozbyć w ten sposób. Niepodobna się go jednakże patrzał ciągle. Mieszało ją to niewymownie.
Jakiż interes mógł mieć ten obcy jej zupełnie człowiek, usiłujący poznać ją bliżej, kiedy uroku dlań nie miała?? Zrozumieć tego nie mogła — bała się instynktowo.
Bongi nie zmieniał miejsca, milczał dość długo, czekał. lecz jak tylko Kolina była swobodna, zagadywał ją znowu.
— Nieprawdaż, rzekł w końcu do niej, że jestem nieznośnie natrętny? Niech pani, a moje siwe włosy niech mi śmielszemu czynią, obłąkanie w którym ją trzymam.
Muszę się pani z tego wytłumaczyć, na

naprzód tem że jej piękności nie jako człowiek, ale jako miłośnik sztuki, podziwiam. – Rzadko mi się zdarzało widzieć coś tak doskonałego w naturze, a i sztuka nie tworzy często ideałów podobnych.

Od dawna dla napojenia się ~~t~~ widokiem tej jej piękności, pragnąłem zbliżyć się do pani – Z tą pięknością ki. dodatki jej, łączy się dla mnie psychologiczna zagadka..

Rolina zarumieniła się nieco urażona tem wyznaniem. Nie wierzył więc w to że by w duszy była równie piękną jak ciałem.

– Rozumiem. – rzekła ostro. – chciałby się pan hrabia przekonać, czy to co nazywacie pięknością nie jest szyldem zwodniczym? Nieprawdaż?

– Zanadto ostro wyraziłaś się pani – odparł Włoch spokojnie. Mam wiarę w to że natura nigdy nie kłamie i dla tego poznać panią chciałem. – Nie posądzisz pani mnie o śmieszne jakieś marzenia, bom stary i zapewne starszy od jej ojca, – badam i pragnę aby się nauczyć, ale razem ze szczerą sympatją i uczuciem życzliwem dla tego arcydzieła bożego, jakiem pani jesteś..

Grzeczny ten zwrot oblał rumieńcem twarz Roliny – Miałżeby naprawdę starzec ją odgadnąć i wszystko – wszystko wiedzieć co się działo w tajnikach jej serca i duszy?

Spojrzała nań prawie błagalnym wzrokiem i dodała pół-głosem.

– Trudno ludzi poznać patrząc na nich z daleka; i sądzić o nich z pozorów..

– Tak – rzekł starzec zawsze ze spokojem i łagodnością, ja też nie pokuszę się o to, abym mógł sądzić, ani nawet odgadywać śmiem.. Dotychczas jesteś pani dla mnie zagadką niezrozumiałą.

– Panie hrabio – wyrwało się mimowolnie z ust pułkownikowej – ja sama często niezrozumiałą jestem sobie –

Borys głową potrząsnął.

– Niewiem – rzekł cicho – pani nie powinnaś być do niczego skłonną, jesteś panią siebie, i rozumiesz czynności twoje..

Rolina poruszyła się niespokojnie, rumieniec powrócił na twarz i zamknęła mu usta spojrzeniem strwożonem, – przyznaniem iż mógł ją odgadnąć. Stary hrabia skłonił głowę i zamilkł.

Goście inni, widząc hrabiego tak

Żywo

Zajętego rozmową z piękną panną, nie przeszkadzali im.

Kolina zamilkła, serce jej biło - mimo woli nie prawie, lecz pragnąc w końcu, chcąc zakończyć badanie.

— aby ocenić kobietę — trzeba znać jej przeszłość i położenie — z czego wyrosła, czem się karmiła. Jeśli ją razy fałszywy blask albo zwodniczy cień ją otacza, dla tego tylko że jest widziana z daleka lub w profilu?

Nim de Borgi zdobył się na odpowiedź, fortepianista siadł do popisu, który tem był zadziwiającym, że wywodywał w pomieszanie gry nieporównanej mistrza..

Kolina korzystając z tego, zwróciła się do gospodarza — lecz długo uspokoić się nie mogła.

W starciu tym, tak tajemnym i dobrym, widziała sędziego, a taką jaka była w istocie odgadniętą, być nie chciała.

Wieczór ten zrobił, radości po którym sobie tyle obiecywała, zawiódł ją i przykre zostawił wrażenie.

Późno już, gdy się gości nowych nie spodziewano, zjawił się w salonie Adam Mortimer — Przybycie jego także poruszyło ją i miłem nie było.

Pomimo przynaglań ojca, nie wyjeż-

dżał

dotąd do Włoch. Po pojednaniu z Roliną, – stosunki ich znacznej uległy zmianie. Ona nie mogła mu całkiem przebaczyć, on zapomnieć. Zjawiał się, rozgoryczony wrzał, ostygał, miłość i zwątpienie opanowywały go na przemiany. W całem jego postępowaniu widać było ciężką walkę, wahanie się – zachwianą wiarę, obudzoną podejrzliwość.

Czuła że kocha ją zawsze, ale miłość ta przeszła w nową fazę, stała na rozdrożu.

Niespodziewała się Rolina że z nim spotka i strwożyła w początku..

Ale Mortimer, jakby zaledwie z daleka ją znał, nie zbliżył się nawet, skłonił grzecznie i unikał zawiązania rozmowy. Wzroku jego nawet omijać się ją zdawał umyślnie. Ci tylko co znali Adama, mogli po jego sposobie znajdowania się w towarzystwie, domyślić się że tu mu coś zawadzało, bo nie był ożywionym jak zwykle. i nadto baczył na siebie.

Baron de St Foix bawił go szeroką o malarstwie rozprawą.—

IX.

Z bólem głowy, myślami poplątanemi, nie rada z siebie, nie kontenta z wieczora, kwaśna — z poczuciem iż celu swojego nie dopięła, Rolina wracała do domu.

Ojciec jej znalazłszy później chętnych słuchaczów, bawił się doskonale u barona, i, poczciwiec, rozradowany był, przejęty, a stał się po dobrej wieczerzy tak gadatliwym, tak się ożywił, rozruszał, iż w powrocie, milczącej i smutnej córce pokoju nie dawał.

Naprożno starał się ją rozweselić, wywieść z tego zadumania i smutków. Rolina skarżyła się na ból głowy, w salonie było za gorąco. Natręctwo ojca który zwykle posłuszniejszym bywał, mocno ją niecierpliwiło.

Wyglądała przez okno powozu chcąc się co prędzej dostać do domu. Nareszcie znaleźli się na wschodach i Rolina spiesznie, nie pozdrowiwszy nawet ojca, który chciał jej dać dobranoc, wpadła do swego pokoju.

Nawykła była do tego że na nią tu zawsze oczekiwała służąca i pani

Pani Boehm, której ona niemal zasługę tej liczyła.

Uderzyło ją to nieprzyjemnie, że Balbina wcale się nie pokazała.

Wprawdzie, gdyby się była zjawiła tu, od pierwszego słowa zwadziłyby się z sobą, ale za uchybienie ze strony Boehmowej uważała, iż nie stawiła się powitać ją w progu.

Uczuła to tem mocniej, że się trafiało bardzo rzadko.

— Cóż to jest! Gdzie Boehm! zapytała służącej.

Zaspana trochę stara, ruszyła ramionami za całą odpowiedź, a na powtórzone pytanie, niezrozumiałem ~~odpowie~~ mruczeniem odpowiedziawszy — wyszła.

Kolina, która z gniewnem usposobieniem wróciła do domu, nie radaby była że nie miała go na kim spędzić. Jakieś przeczucie niepokoiło ją.

Pokój pani Boehm, przedzielony był małym składem od jej mieszkania; aby się do niego dostać, potrzebowała wyjść do sieni.

Po cichutku uchyliła drzwi, na palcach podkradła się i ostrożnie przyłożyła oko do dziurki od klucza... Zaledwie wzrok jej przeniknął do wnętrza mieszkania Balbiny, odskoczyła z najżywszą niecierpliwością, wpadła do swojego po-

pokoju i biegać po nim zaczęła, ca-
ła zburzona i rwąc na sobie wieczorne
ubranie.
Gniew pałał w jej oczach, ręce drżały;
parę razy chwytała już za klamkę
drzwi wiodących ku sypialni ojca, i
wstrzymywała się wahając. Piersi jej po-
ruszała się gwałtownie, oczy się coraz
bardziej zaogniały, twarz przybrała
wyraz mściwy i zły, ustałkujący się
bólem wewnętrznym.
Nie mogąc w końcu powstrzymać tego
zburzenia, z hałasem otworzyła drzwi
gabinetu, przebiegła potrącając po dro-
dze krzesła, salon ciemny i wpadła
do ojca, który właśnie nad świecą za-
palał cygaro austryjackie, które dopie-
ro od uporczywego płomienia, po kilku
minutach usilnej pracy, rozgorzeć
może.
Zobaczywszy ją pułkownik rzucił cy-
garo — pobladł.
— Jest — jest tu znowu!! krzyknęła
dzikim podniesionym głosem. — Znowu
tutaj jest! pomimo że mi się to nie-
znośne stworzenie na oczy pokazywać
nie miało.
Ojciec wie — że ja ją nienawidzę! nie
cierpię i — pogardzam! Żeruje!
Makolikowi ręka drżała, zaciął
usta,

Zagryzł wąs, nie śpiesząc się z odpowiedzią.

— Na miłego Boga — Rolino — odezwał się cicho — nie rób że mi awantur w domu! Mówiłem ci to wiele razy, ja i ty winniśmy wiele Bochmowej — nie godzi się jej odmówić i pozbawić ją jedynej w życiu przyjemności —

— Niech że jej idzie sobie szukać po za domem — gdzie chce! — zawołała Rolina gwałtownie. — Mówiłam że ja jej tu cierpieć nie chcę.

Mokolich zbladł, westchnął i jakby mu już sił zabrakło, zsunął się na blizko stojący fotel. Nie mówił niczego, widać tylko że bolał okrutnie. Rysy jego zwykłe łagodnego wyrazu, zmieniły się, osłupiałym wzrokiem patrzał na podłogę.

Rolina stała, burząc się coraz mocniej. Tak była pewną władzy swej nad ojcem, że litości nad nim nie miała.

— Właśnie dla tego, poczęła głosem podniesionym, że ojciec bronisz Bochmowej i tej jej wychowanki, [tego] jakiegoś i bezimiennego dziecięcia — które nie powinno się w naszym domu znajdować, ja, jako córka wasza, nie mogę na to pozwolić, aby mi się tu jakieś podrzutki, obok mnie rozgospodarowywały!

Nie chcę wiedzieć kto jest ta dziewczyna — pierwsza wzięta przez miło-

miłosierdzie — żebraczy podrzutek czy
jakaś kurzątka tej pani — co mi tam!
niech bydlę czem chce, wychowuje się
gdzie chce, ginie — to mi wszystko je-
dno. Nie mogę na to pozwolić aby ona
stawała obok twojej córki i roiła
sobie jakieś prawa —

— Jakież prawa? wtrącił głosem prze-
rwanym pułkownik.

— Ludzie jej będą je przyznawać — ciągnę-
ła dalej rozgniewana, ludzie będą
sobie musieli wytłumaczyć przywiązanie
do tej przybłędy pana pułkownika i
pani Boehmowej — Naturalnie!!

Głos jej brzmiał nielitościwem szyder-
stwem. Pułkownikowi blademu dotąd,
krew gwałtownie uderzyła do głowy, cier-
pliwość jego się wyczerpywała.

— Mówiłam ojcu, ja lub ona musi z tąd
iść precz. Jeżeli ona ma mi tu sie-
dzieć, znajdę sposób umieszczenia
się gdzieindziej, wyniosę się, pójdę —
porzucę!

Mahalich oparł się o poręcz krzesła,
podniósł głowę, groźno popatrzał na
córkę i drzwi jej wskazał.

— Nie raz to pierwszy śmiesz tak mówić
do ojca — rzekł głosem zdławionym — by-
łem cierpliwy, ale się w końcu wy-
czerpie pobłażanie.. Nie wyzywaj

mnie – idź – idź!! Spełni się czego
sobie życzyła.

Rolina stała jeszcze na progu.

— Mówię ci! idź! powtórzył głosem podnie-
sionym, jakiego nigdy używał komen-
derując żołnierzom swoim – Idź!!

Córka niewidziała go nigdy takim dla
siebie. – czekała chwilę, – zamknęła
drzwi i pobiegła nazad do swego pokoju.

Makolich czas jakiś pozostał pogrążony
w myślach, potem świecę wziąwszy
ze stolika, krokiem powolnym poszedł
z nią do pokoju Bochmowej.

Obszerny, we dnie ciemny, choć dwoma
oknami, na ciasną uliczkę wychodzą-
cemi oświecony, utrzymywany był z da-
leko większym staraniem i porząd-
kiem, niż te ~~[illegible]~~ Rolina zajmo-
wała. Sprzęt z różnych lat, różnego
pochodzenia, stary, nadawał mu chara-
kter wdowiego mieszkania, w któ-
rem więcej jest pamiątek przeszłości
niż myśli o dniu dzisiejszym.

W rodzaju alkowy stało osobne
łóżko gospodyni. Kanapki, szafki,
półki, etażerki ścisnęte zajmowały
ściany i kątki.

Mieściły się tu zbite do kupy meble
niegdyś większego i obszerniejszego
lokalu, nagromadzone dla zachowa-

-nia

i dziwacznie poustawiane w tej cia-
sności.
U okna, na dużym stole, zasłanym
serwetą, paliła się lampa z abaż-
urem zielonym. Naprzeciw po-
między oknami dwoma siedziała
pani Balbina, a przy niej z głową o-
partą na jej ramieniu, młode dziew-
czę, które ją rączkami obejmowało
za szyję.
Światło padające od lampy oświecało
ten obrazek, na który widocznie
mały pułkownik stanął smutnie
zapatrzony.
Twarz Bochnowej, mająca zwykle
wyraz dość szyderski i nie miły—
zmieniona, była zupełnie, złagodzo-
ną uczuciem macierzyńskiem, piękna
prawie tą miłością, która z niej pro-
mieniała.
Dziewczę które się do niej tuliło, mogło
mieć lat piętnaście lub szesnaście,
włosy jasne w warkoczach obfitych głów-
kę jej ładnie otaczały, z oczyma nie-
bieskiemi. Podobna była nieco do pani
Balbiny, ale typ ten sam w niej pod-
nosił się do ideału, a sama młodość
czyniła go ślicznym. Wyraz jej twarzy
pełen był łagodności i smutku.
Biała, płeć do zbytku delikatnej

świeża jak kwiatuszek ledwie się roz-
wijający, niemogła się równać z klasycz-
nej pięknością Koliny, ale obudzała
wcale inne uczucie, wrażenie czyniła
sympatyczniejsze. Tamta budziła nie-
pokoje, trwogę, uwielbienie, ta zaję-
cie i współczucie najżywsze, bo w kwit-
nącej jej młodości tkwiło już cierpie-
nie zawczesne.

Na widok pułkownika dziewczę, jak-
by ze snu przebudzone, zwolna rozplątało
ręce, spuściło oczy, podniosło się
zawstydzone i krokiem nieśmiałym
zbliżyło się pokornie do pocałowania
jego ręki.

Mikołaj z głębokiem uczuciem, które-
mu napróżno się bronił, pochwycił
jej główkę i pocałował ją w czoło.

Bochmowa nie ruszała się z kanapy,
wzrok jej badał pułkownika. Domy-
ślała się już, wiedziała ze słuchania
u drzwi, z odgłosów rozmowy, które ją tu
dochodziły, że Kolina musiała ojcu
czynić wyrzuty, a biedny pułkownik
przychodził tu schronić się przed niemi —
szukać pociechy i ratunku.

Zwolna Balbina wstała z kanapy.

— Pepi! zawołała do dziewczynki, pro-
szę cię, pójdź na chwilkę do kuchni,
do starej Frydorowej — potrzebuję mó-
wić

mówić z pułkownikiem.

Posłuszne dziecko wysunęło się z główką spuszczoną, a Makolich tylko powiódł za niem oczyma. Bochnowa czekała aż odejdzie, twarz jej stopniowo traciła wyraz łagodny, brwi się ściągnęły.

— Znowu historja z tą popsutą kapryśnicą, — odezwała się z gniewem. Nie jesteś więc mężczyzną, ani panem w swoim domu, nie kochasz więc twego dziecka, a wszystko poświęcasz dla tej złośnicy.

Ach! to okropne! Takiego życia w końcu znieść nie można. Za poświęcenie tyle, za wszystko com wycierpieć musiała — —

I głos jej we łzach się rozpłynął. Pułkownik stał przybity, jak winowajca.

— Raz temu koniec być musi — mówiła Balbina. Ja tego dłużej nie zniosę. Zostań z nią, pójdę pracować, pójdę żebrać — zostań z nią, dopóki z jakim gachem uciekając cię nie porzuci. Ma ich dosyć — będzie miała w czem wybierać!

Jakeś ją wychował, taką z niej mieć będziesz pociechę..

Pułkownik obruszył się.

— Słuchaj, Balbino, odezwał się, nie

nie ścierpię tego aby mi ją krzywdziła
— A ja nie zniosę aby krzywdził i pomiatał tem dzieckiem mojem i waszem. zawołała Balbina. Dziś mam już tego upokorzenia i męczeństwa — pójdę z tąd, z nią razem — pójdę!

I rozpłakana rzuciła się na kanapę.
Makolich ręce załamał.

— Balbisiu — zawołał — na Boga, ulituj się nademną, wejdź w położenie moje, co ja pocznę!

Nie otrzymując odpowiedzi i płacz słysząc tylko, pułkownik stał zmieszany, przerażony tak że nogi pod nim drżały. Chwiał się — i musiał o stół oprzeć. Twarz jego nagle zaczęła czerwienieć, sinieć, oczy stanęły słupem i z jękiem bolesnym runął na wpół na krzesło, wpół na ziemię.

Stuk ten obudził płaczącą, która porwała się i przybiegła na ratunek drgającemu konwulsyjnie, ale już nie przytomnemu Makolichowi. Nabrzmiały żyły na twarzy i szyi, otwarte usta, oddech krótki i nieregularny, oczy zeszklone, aż nadto wyraźnie ukazywały że był rażonym. Walczył już ze krwią która mózg mu zalewała.

Z krzykiem przeraźliwym Bochmowa wybiegła do kuchni, wołając —

— Po doktora! po doktora!

Ciche mieszkanie nagle rozległo się jękiem, kołataniem, bieganiem, wrzawą.

Rolina chodząca po swojej sypialni, nastawiła ucha strwożona, niepojmując jeszcze co się stać mogło.

Podbiegła ku drzwiom, ale domyślając się że przypadek jakiś spotkał znienawidzoną Balbinę, wstrzymała się drżąc z gniewu. Nie chciała się spotkać teraz ani z nią, ani z tą Pepi, której od dziecka cierpieć nie mogła. Zazdrosna była o nią, o przywiązanie do niej pułkownika, nawet o jej wdzięki zupełnie innej, młodości, łagodności i skromności.

Nie przypuszczała z początku aby się coś stać mogło pułkownikowi, dopiero wołanie w którem poznała głos Balbiny, płacz Pepi – zatrwożył ją o ojca.

Bezmyślnie otworzyła drzwi i wpadła do mieszkania Buchmanowej, w którem Makolich leżał jeszcze nieprzytomny, zaledwie dając słabe życia znaki.

Spostrzegłszy Rolinę w progu, Buchmanowa wskazała jej leżącego ojca wołając:

— Patrz! patrz! to dzieło twoje!

Rolina, nie zważając na to, przypadła do ojca, objęła go rękami, zaczęła wołać po imieniu, odcierać, ale rozbudzić go nie mogła.

Na widok jej Pepi przestraszona, wyrwała się matce i uciekła kryjąc się za firanki łóżka.

Straszna cisza zaległa mieszkanie. Słychać tylko było chrapanie chorego, które koniec zdawało się zwiastować.

Doktór, po którego posłano, nie daleko był jak w drugim domu i w krótce od chorych powrócił, gdy przestraszona i zapłakana przybiegła po niego kucharka. Nie wiele więc czasu potrzebował aby przybiedz do pułkownika. Wysłużony wiek nie młody już, doświadczony, i dosyć mu było wejrzenia aby rozpoznać że jedno ~~już~~ tylko puszczenie krwi, wedle starej metody, mogło dać jakiej ocalenia nadzieję.

Wiedział on, znając dawniej pułkownika że uderzenie pierwszem nie było a więc tem groźniejszem. Natychmiast pochwycił lancet i po kilku cięciach, udało mu się krew już zgęszczoną wydobyć.

Odepchnięta przez Bochmowy, Rolina

Rolina zachwiała się, chwyciła za głowę i wyszła do swej sypialni, na łóżko się rzucając z płaczem.
Kochała ona ojca o tyle o ile kogo kochać mogła. Wyrzucała sobie tę scenę, której była przyczyną, ale już w sumieniu swem szukała środków jakiegoś uniewinniania i zrzucenia następstw na upór Balbiny.
Mogłaż ścierpieć takie poniżenie! Nawykła być w domu pierwszą, teraz czując się zapomnianą i opuszczoną, nie śmiejąc powrócić do ojca, szlo-chała i płakała, - napadały ją mdłoś-ci prawie przytomności odejmujące.
Tym czasem doktór się krzątał około pułkownika, któremu puszczenie krwi mało co pomogło.
On, Wachmowa i kucharka musieli go dźwigając na rękach przenieść do łóżka.. Lekarz nie odpowiadał..
Pepi drżąca, w pokoju Balbiny klę-czała przed obrazkiem, modliła się i płakała.

Cała noc przeszła tak w trwodze i rato-wania rażonego, który żył jeszcze, ale stan jego wzbudzał największe obawy-

Jakby lękając się zjawienia u łoża
jego Roliny, Buchmowa drzwi od niej
i salonu na klucz zamknęła.
Ona sama biegała na przemiany to do
swej Pepi, którą gwałtem musiała
położyć do łóżka, to do chorego.
O Rolinie nikt nie pomyślał.
Ranek zastał dom w tym stanie roz-
przężenia, a stara sługa dopiero o
brzasku przypomniawszy sobie panien-
kę, poszła dowiedzieć się co się z nią
działo.
Zastała ją w gorączce, zapłakaną,
w takim stanie że i do niej lekarza
sprowadzić było potrzeba. Ten radził po-
słać po siostry miłosierdzia, któreby
umiała obejść się z osłabioną i pilno-
wać jej.
Straszny zamęt panował w domu.
Cały dzień następujący żadnej prawie
nie sprowadził tu zmiany. Mikulik
żył jeszcze, ale doktór, którego Buchmowa
zaklinała aby jej prawdę powiedział
całą — żadnej prawie utrzymania
8 przy życiu nie robił nadziei.
Słabość mogła się, zdaniem jego, prze-
ciągnąć, przytomność i władze, wszystkie
nigdy wróciły.
W ciągu dnia znikła ztąd Pepi,

Ucałowawszy ją i obliwszy łzami Bochmowa wyprowadziła ją sama z domu, gotująca się dotrwać do końca.

Po tym wieczorem Kolina, która dzięki staraniom Siostry miłosierdzia oprzytomniała i już trochę odzyskała, kazała doktora poprosić do siebie.

Nie śmiała sama iść do ojca, a potrzebowała być uspokojoną. Razem z przytomnością i pamięcią położenia przybyła trwoga osierocenia i wszystkich jego następstw.

Nie miała nikogo w pomoc do rady — czuła się opuszczoną..

Ze wszystkich, którzy jej służyli jeden tylko Stach Bronicz był jej tak znanym, ona z nim tak spoufaloną, że go wezwać mogła i na niego rachować. Wiedziała że do wszelkich ofiar dla niej będzie gotowym i spełni je posłuszny, szczęśliwy.

Bronicz od dawna już powinien był powrócić do domu. Listami naglącemi, coraz surowszemi, wzywał go ojciec do siebie. Stach się wybierał, ociągał i oderwać nie mógł od Koliny, wyjazd od dnia do dnia odkładał.

Nie miał żadnej nadziei — ale

ale chciał choć zarazem popatrzeć na
nią, choć przemówić słów kilka,
mękę słodką i rozkosz zatrutą, przed
śmierci.

Miłość dawna, wytrzeżona, urosła te
raz straszniej, owładnęła nim całym.

Kalina posłała po niego..

Na zawołanie zjawił się natychmiast,
przerażony niezrozumiałym smutkiem,
rozpaczliwie nakreślonym.

Spodziewając się jego przybycia Kali-
na wstała z łóżka i w rannem u
braniu, osłabła, blada – czekała na
niego drżąca.

Przyjęła go w swoim pokoju, wyszła
naprzeciw i mając przemówić wybu-
chnęła płaczem konwulsyjnym. –

Stach niewiedział o niczem, potrzeba
mu było tłumaczyć, opisywać, opo
wiadać co jak grom na dom spadło
i przyszłości groziło.

Ojciec leżał bez przytomny, bez nadziei,
w domu miała nieprzyjaciółkę tylko,
była sama, opuszczona, bez opieki –

– Ratuj mnie, radź, nie opuszczaj.
zawołała – nie mam nikogo..!

Lecz Stronicz niemógł też wiele..

Sprowadził lekarzy, dozór, usłu
gi, opatrzył wszystkie domu po

potrzeby i stał na zawołanie, na straży.

Tegoż samego dnia list odebrał od ojca, domagający się natychmiastowego powrotu, musiał kłamać i wymawiać się, ale Koliny opuścić nie mógł. – Gotów był nawet dla niej na gniew się narazić.

Oddawszy mu się w opiekę, Kolina odetchnęła nieco.

Tym czasem wiadomość o wypadku pułkownika, który tłumaczono wiekiem i współubieniem – o położeniu córki jego, rozchodziła się po mieście. Poruszyła ona wszystkich wielbicieli pułkownikównej, ale w sposób bardzo różny. Adam Mortimer zdjęty trwogą napisał i posłał na zwiady. Amerykanin, którego miłość prze=pełna była w namiętność, niekiedy naprzykrzoną, przybiegł sam, dobijając się do drzwi domagając aby go puszczono, widocznie korzystać chcąc z ~~[illegible]~~ bezporadności i sieroctwa kobiety. Lecz nie został przyjęty. Inni dowiadywali się ukradkiem. – St. Foix codziennie przybywał dopytując się o pułkownika. –

To szturmowanie do drzwi nieustan-
ne, zmuszało Bronisia do ukrywa-
nia się, aby go nie widziano, nie roz-
powiadano o nim i jego stosunkach w
tym domu.

W chwilach gdy doktor sam się przy cho-
rym znajdował, Kolina przychodziła
do ojca. Stawała przy łóżku, prze-
mawiała, ale on ani jej, ani nikogo
nie poznawał. Znaki życia były co-
raz słabsze, środki któremi je obudzić
chciano, działały coraz mniej, lub żad-
nego nie sprawiały skutku.

Z myślą nieuchronnego zgonu pogo-
dzić się było potrzeba.

Przemogłszy się i przewidując nieuni-
knione zbliżenie się do Koliny,
Bochmowa nawet, tłumiąc w sobie
żal i wstręt jaki do niej miała, —
zrezygnowana spotykała się z nią, bez
wybuchów gniewu i wyrzutów.

Nawzajem Kolina jej nie czyniła
wymówek, godziła się z tem że ją
widzieć i ocierać się o nią musiała.

Jakiś rodzaj przymusowego, milczącego
pojednania, przywrócił dawne sto-
sunki powszednie.

Wspólny interes kazał się im cier-
pieć

~~cierpieć wzajemnie.~~

Tylko zdała ścigały się wejrzeniami, w których cała zobopólna malowała się nienawiść.

Dziesiątki dni długich, męczeńskich tak upłynęło.

Rolina zbladła, wymizerowana, chodziła na przemiany płacząc lub rozgorączkowana.

Przyszłość stała przed nią, jak czarna ściana, której przeczucie ni wzrok nie mógł przebić. Sama jedna, bez tych nawet środków które miała za życia ojca, – musiała rachować na siebie tylko. Ze świetnych marzeń przyszłości żadne się spełnić rychło nie obiecywało.

Jeden Amerykanin mówił jej ciągle o ożenieniu, ale czynił je zależnym od jakiegoś ułożenia majątkowych spraw swoich, od sprowadzenia potrzebnych dla formalności przed ślubem papierów, co wiele czasu zabrać mogło.

Tym czasem gotów jej był oddać rękę, siebie, serce, podzielić z nią wszystko, ale ślub musiał być odłożony, i nastąpić dopiero później.

Jakoś się mówiąc o tem i plątał,

jasno wytłumaczyć nie umiał –
Na Stacha Bronicza, który ją kochał najmocniej, ale przeciwko woli ojca i bez wiedzy jego nie nie mógł, nie podobna było rachować. Przyrzekał zostać jej wiernym, nie wymagał nic oprócz serca – A tego ona nie miała.. i czekać nie umiała ani chciała.

Adam Morimer otwarcie jej wyznał że żenić się nie może, a miłość jego powracająca, że stygnąca miała już cechę fantazji raczej niż przywiązania trwałego. Tem mniej rachować można na takiego barona St. Foix, który śliczne rzeczy mówił o miłości, lecz wspomnienia o małżeństwie unikał, a którego do niego nierozumiał.

Przyjaciół miała mnogich, – ale męża żadnego.

Amerykanin jeden, choć wstrętny jej z przybliżeniem poznaniu, czasem napędzający jej trwogę – pozostawał jako ostatnia deska ratunku..

Musiała czekać.. lecz oczekiwanie że nie mogłoż wyczerpać uczucia, w którem więcej było zmysłowej namiętności, niż przywiązania?

Wszystko to wśród nocy bezsennych
krążyło po jej głowie zbolałej -
Płakała rzewnemi łzami z rozpaczy -
Poddać się spokojnie twardemu losowi
nie umiała, - musiała z nim stanąć
do walki.

Zwierciadło pokazywało jej twarz
wybladłą, ale zawsze jeszcze piękną,
nadzieja wstępowała w serce, rozpacz-
liwe położenie zmuszało ją szukać
ratunku w sobie samej.

Wśród tych trosk i marzeń, też i nie
pokojów córki, pułkownik, nie
odzyskawszy już przytomności życia
dokonywał. Jednego wieczora Boch-
mowa siedząca przy łóżku i trzyma
jąca rękę jego, uczuła ją stygnącą,
kostniejącą zlodowaciałą. Piersi
przestały się poruszać, oblicze pozie
leniało trupio - Maholich nie żył. -

Przygotowania do pogrzebu oznajmi
ły dopiero Rozinie, że ojca już
nie miała.. Upadła zemdlona na
łóżko. Bochmowa na której głowie
wszystko teraz zostało, okazywała
przytomność i męzkość wielkie.

Pogrzeb odbył się skromnie i cicho,
a za trumną, oprócz szczupłej gro
madki wojskowych, i kilku starych

przyjaciół. Szła w żałobie czarno zakwefiona córka, i mężna Bochnowa, z ustami zaciętemi, podtrzymując rozpłakaną Pepi.

Kolina chustkę trzymała przy oczach, płakała pewnie, ale ani jej twarzy ani łez nikt nie widział, a postawa wyprostowana, sztywna dowodziła, że nawet w tej chwili pamiętała na siebie. Gdy trumnę spuszczono do grobu, pochyliła przy nim córka, a po drugiej stronie Kolina ze swą Pepi, która głośno zaniosła się płaczem, na rękach jej zemdlała.

Usłyszawszy ten jęk, który brzmiał jak wyrzut jej nieczułości — Kolina zerwała się pospiesznie i odeszła z gniewem. O kilka kroków za nią stojący Bronisz, którego wprzódy nie widziała, podał rękę zburzonej więcej wstydem i zazdrością niż żalem po ojcu —

— Jedź ze mną — odezwała się krótko i rozkazującym głosem w którym nie boleść brzmiała, ale niecierpliwość i rozdrażnienie.

Przez drogę nie mówili z sobą. Kolina płakać zaczęła znowu, Bronisz umiał poszanować stan jej duszy, patrzał na nią, był pełen współczucia — ale pocieszać nie śmiał. Zwykłych wyrazów na to mu brakło.

Wymarzył on sobie nawet zazdrość i niechęci pułkownikównej na widok Pepi, bo szczegóły te domowe znał jeszcze z czasów pobytu na wsi nieboszczyka wraz z Kochmową i malowaną jej wychowanką. – Razem jednak serdecznie mu żal było i tej Pepi biednej, którą ślicznem dzieckiem pamiętał.
Przybywszy na Wallnerstrasse, pułkownikówna podała rękę hrabiemu i milcząca poprowadziła go z sobą na górę. Żal jej po ojcu ustępował teraz żywszemu daleko uczuciu obawy o siebie samą. Płakała po nieboszczyku, czuła stratę jego, o ile mogła boleć nad nią, – lecz nie miała chwili do stracenia, aby się z nieznośnego kierunku ratować.
Energicznie postanowiła natychmiast wziąć się do dzieła. – W progu żegnając hrabiego, podniosła ku niemu oczy i słabym głosem, w którym łzy jeszcze czuć było, żądała aby nie odjeżdżał z Wiednia i z nią się nie widząc. – [illegible] przyrzekł chętnie.
Kolina zamknęła się w swojej sypialni, wygnała powracającą z pogrzebu Kochmową, szepty Pepi i krzątanie się w domu – nie chciała widzieć nikogo.

Oparta na ręku, prawie całą noc spędziła rozbierając wszystkie warunki życia swego przyszłego.
Odbierając jej ojca, los pozbawił ją nietylko opieki, osłony, ale położenia w świecie. — Zostawała sama jedna.
Z Rochowową była w wojnie, a dopóki by za mąż nie wyszła, obejść się bez niej było niepodobieństwem. Odprawić ją było można narazić się na rozniesienie plotek, które jej bardzo szkodzić mogły, bo Rochowowa wcale jej nie oszczędzała.
Zatrzymać zaś tę kobietę w domu nie można było inaczej, jak zgadzając się na pozostanie stale przy niej — chociaż patrzeć na nią, znieść jej nie mogła.
Płacz u grobu, zwiększył jeszcze niechęć do sierotki, gdyż Kolina oburzona do najwyższego stopnia, powtarzała ciągle, że ona do niego prawa nie miała!
Jedno prędkie wyjście za mąż uratować ją mogło — lecz nietylko rychło ale wedle swej myśli musiała się wydać dobrze, bogato, świetnie, tak aby zdobyła to do czego wzdychała od dzieciństwa.
W ciągu tej długiej nocy oblanej łzami, Kolina to się rzucała na łóżko, to biegała po pokoju, marząc, rachując, przebiegając wszystkich kandydatów

a nie znajdując żadnego tkliwszym do
układów, do pochwycenia, nad nienawist-
nego jej amerykanina.
Wolałaby była Stefci, łagodniejszego,
dobrego, wylanego dla niej, powolnego
a ukochanego brata Stronika, ale
tu ojciec stawał na przeszkodzie. Wie-
działa że syn pomimo wielkiej miłości
dla niej, niebędzie śmiał pojąć wbrew
przeciwko woli starego hrabiego.
Bądź co bądź, postanowiła wystawić
go na próbę, uczynić krok rozpaczli-
wy, ostatni, starać się w nim obudzić
litość, rozpłomienić uczucie, i zgo-
dzić się bodaj na ślub potajemny.
W tej myśli z początku zabrała go
z sobą do domu, lecz zabrakło jej
odwagi, przytomności, potrzebowała o-
stygnąć, nimby szturm ten przypuści-
ła do jego serca.
Jeśliby się z nim nie powiodło, to
stawał jeden amerykanin tylko,
którego była prawie pewna. Czytała
we wzroku jego dzikiej namiętności,
która gotowa jest do ofiar najwięk-
szych.
Przychodził jej na myśl i Adam Mori-
mer, którego by była, mimo poe-
tycznych zachwytów, wydających się jej
śmiesznemi, wolała niż Don Este-
bana. Lecz stosunki z nim były

zachwiane i osłabłe. Od owej rozmowy
w parku, zajmowała go wahającym
się ostygłym, upierającym wtajemnic-
czeniu. Nie była już dla niego tym
co niegdyś ideałem, zeszła na piękną,
pożądaną ale ziemską istotę.–
O innych wielbicielach swoich, których
doprowadzenie do ołtarza, czasu by
dłuższego potrzebowało, myśleć nawet
nie mogła. Chciała się wyzwolić co
prędzej.
Nazajutrz, Rolina już znacznie uspo-
kojona, pani Sicka oczekiwała na
Bronisza daremnie, nie przyszedł–
Trzeciego dnia zjawił się dopiero–
Musiała go przyjąć w tym saloniku,
który jej tak ojca przypominał– co
jej wielce utrudniało – rozpłakała się,
na widok ulubionych pułkownika
zbiorów i drzwi zamkniętych od tego
mieszkania, z którego wiało śmiercią.
Bronisz, sam mając oczy łez pełne,
nie śmiejąc pocieszać jej z uszano-
waniem powitawszy, czekał aż przej-
dzie gwałtowny wybuch tej żałości,
którym podzielał.–
Stał przy niej, chwytał ją za ręce,
okrywał je pocałunkami, i mil-
czał, bo wobec śmierci i nieodwo-
łalnego – za zawsze! – niema słów

coby pocieszyć zdołały.
Długą chwilę upłynęła, w tem niemem
oczekiwaniu. Rolina miała czas
przyjść do siebie i zwyciężyć wzruszenie, przypomnieć sobie obowiązek
ratowania się.
Zerwała się z siedzenia ocierając łez
resztki, zaczerwienione ale płonące
ogniem wielkie swe oczy czarne, wle
piła w Kronikarza, i obie ręce drżące
wyciągnęła ku niemu.
— Stachu, zawołała głosem przerywanym
łkaniem — oh masz przed sobą nie
szczęśliwą sierotę — więcej niż sierotę,
kobietę opuszczoną, zgubioną, — bez
wiary w sercu, bez nadziei, bez sposo
bu do życia, bez przyjaciół, bez ro
dziny.. Stachu — ratuj mnie ty
mi jeden pozostał.
Wzruszony Kronikarz przyklęknął
przed nią.
— Ty wiesz, zawołał, że pierwszy raz w
życiu cię kochałem i miłość ta będzie
moja ostatnia, — Mów, rozkazuj, co tylko
jest w mocy mojej uczynię —
Rolina stała chwilę z oczyma utkwionemi
w niego — całą siłą wzroku swego cza
rodziejskiego spotęgowała, aby swą ofiarę
uczynić pożyteczną.
— Potrzeba, abym ja ci powiedziała co

powiedziało co masz czynić?
Zatrzymała się chwilę i ciągnęła dalej gło-
sem łagodnym.
— Mam jednego ciebie, jednego ciebie
Kocham! Jestem twoją! Bierz mnie, idź-
my do ołtarza—
Bronisz wstał załamując ręce.
— Rolino! zawołał — wiesz że ojcu słowo
dałem, iż bez jego zezwolenia żenić się
nie będę; słowo uczciwego człowieka jest
jak przysięga święte. Słowa tego ja zła-
mać nie mogę! Nie wymagaj po mnie —
Przysięgnę ci miłość i dochowam ją —
nie ożenię się nigdy, będę czekał, będę się
starał nakłonić ojca, ale ślubu bez jego
wiedzy wziąć nie mogę.
Pułkownikówna cofnęła się parę kroków.
brwi się jej ściągnęły —
— Pamiętaj, że mnie wprzódy przy-
sięgałeś niż ojcu, tej przysięgi docho-
wać powinieneś: oddałam ci serce — ra-
chowałam na ciebie..
Ślub możemy wziąć potajemnie, nikt
oprócz nas wiedzieć o nim nie będzie.
Ofiary takiej nie uczyniłabym dla niko-
go, — tobie ufam, zgodzisz się nawet
na to..
Zbladł Stach pocięty mocno, zawahał
się, wyrazów mu i myśli zabrakło.
Zdawał się już chcieć uciec z tej
pokusie szczęścia.

— Ah! nie — zawołał nagle — nie, ślub po-
tajemny tobie by uwłaczał, a byłby
krzywoprzysięstwem względem ojca —
Słowa złamać nie mogę jemu, ale nie
złamię danego tobie. Zostanę ci wier-
nym.

Rolina Eliza czekała i spodziewała się
innej odpowiedzi, stanęła cała w pło-
mieniach z gniewu — ręce wyciągnę-
ła jakby go chciała odepchnąć i rzu-
ciła się na kanapę, oczy tuląc w dłonie.

— Ah! tyś mnie nie kochał nigdy — krzy-
knęła — nie kochasz mnie! Nie-
znasz co miłość, nie masz serca! Ka-
mienny, lodowy człowiecze — Ja gotowam
do największej ofiary jaką kobieta
uczynić może, ty dla mnie nic nie
chcesz poświęcić! Jesteś dzieckiem
albo nie wiesz prawa sobą rozporządzać?
nie jestże to tyrania ta władza ojcow-
ska, która dzieci czyni niewolnikiem.
Nie oburzasz to!!

Rozpłakała się, wśród łkań wyrywały
się jej wyrazy potargane, narzekanie,
przekleństwa... Henryk blady, niemy
stał przed nią, jak na mękach. Do cier-
pienia jej przejmowało go, — lękał się
ulec mu i słowo złamać.

Powiedział głosem drżącym:

— Nie obwiniaj mnie! Życie tym dla ciebie dał. ale czci mojej – niemogę. Niemiałabyś dla mnie szacunku, ja sam pogardzałbym sobą, stałbym się kłamcą nikczemnym..

Nie! ty ~~tego~~ żądać niepowinnaś wiarołomstwa od tego który się zwie mężem twoim. Wszystko co mam ci oddam – będzie wiernym, rozporządzaj mną, – nie żądam od ciebie żadnej ofiary –

— Nie kochasz mnie! nie kochasz! płacząc więcej z gniewu niż z żalu przerwała Rolina – Nic niechcę od ciebie; przyjęłam tylko serca, chciałam szczęścia dla nas obojga.. Odtrącasz je.. Idź – idź! i niezbliżaj się więcej do mnie – Rozstaniemy się na wieki!

Bronisz nieporuszony stał przed nią, zbolały, ale niezłomny. Bladł. zimny pot oblewał mu skronie, – usta powtarzały z wyrazem błagającym litości.

— Rolino! Rolino! nie znasz mnie!

Łzy które jej gniew wyciskał, obsychały powoli, rozjątrzenie wzrastało, nie mało pragnienie zemsty nad człowiekiem który jej! jej władzy nie chciał.

Spojrzenia które rzucała na niego

byłby groźne, — nie miłości już ale żal
jakiś bezsilny z nich tryskał. Nim od-
chodziła jedaczka, a Bronicz z rodzicą,
złagodzenia jej stał ciągle przyglądając
z pokorą. — I począł szeptać znowu —
— Posłuchaj mnie jeszcze. Dałem ojcu
słowo że się nie ożenię i słowa tego
dotrzymać muszę. Alem mu nieprzy-
rzekł tego co by było nad siły moje — że
ciebie kochać przestanę. Na miłości
mojej zachowaj zawsze.
— Tak — przerwała ze śmiechem szyder-
skim, pan hrabia chce mnie mieć
kochanką, metresą, którą kiedy,
mu się podobać będzie mógł porzucić.
Byłoby to bardzo wygodnie dla nie-
go. Ale Kolina ani twoją, ani ni-
czyją nie będzie kochanką!
— Nigdym tej myśli nie miał — wykrzy-
knął Bronicz. Szanuję cię nadto,
byłbym nikczemnym.
— Jesteś nikczemnym! przerwała pod-
komorzówna z rozpaczą prawie rzu-
cając się ku niemu. Wziąłeś mi serce,
uczyniłeś mnie nieszczęśliwą, a teraz
gdy w imię tej miłości, w której wie-
rzyłam odzywam się do ciebie, odpy-
chasz mnie..

Stach padł przed nią na kolana, ale
pułkownikowna, widząc że nie pokona
go, zerwała się z kanapy i odpychając
go z pogardą.
— Precz! nie dotykaj mnie! zawołała —
między nami skończone wszystko — gdy
do ostatka iść ze mną nie chcesz, ja
żoną twoją nie będę — Oczekiwanie
byłoby próżnem. Czas nie rozwiązuje
słowa..
Idź — nie powracaj więcej!
Bronisław w stanowczej tej chwili zachwiał
się, kochał ją, serce mu pękało — o-
słabł, zawahał się i miał właśnie już,
prośbą o przebaczenie, zgodzić się na
wszystko — gdy nagle smutne oblicze
poważnego starca — ojcowskie — stanęło
to przed nim, zabrzmiało w pamięci
to co tyle razy on mu powtarzał:
— Lepiej życie niż cześć postradać!
Odepchnięty, — pozostał jeszcze chwilę
patrząc na nią. Parę razy przeszyła
go wzrokiem, spodziewając się jeszcze
iż właśnie może; ale dojrzała na smu-
tnem jego męskiem obliczu wyraz
takiej ~~[illegible]~~ stałości niezachwianej —
iż straciwszy wszelką nadzieję, zmie-
rzyła go tylko wejrzeniem jak przekleń-
stwo

przeklinięteo zabójcom — pobiegła do drzwi i znikła zamykając je za sobą.
Bronicz raz jeszcze wzrokiem ją pogoniwszy, jak pijany, chwiejąc się postąpił kilka kroków. Na stoliku leżącą chusteczkę, którą ona zostawiła pochwycił, przyłożył ją do ust — i wyszedł łunąc się bezprzytomny ku wyjściu, gdzie stojącej Walbiny niepostrzegł nawet..
Buchmowa, która mimowolnie sceny między nim a Koliną była, jeśli nie świadkiem to słuchaczem, miała nad nim politowanie. Milcząc podała mu rękę.. Spojrzeli na siebie.
— Uspokój się pan, rzekła cicho — biedna dziewczyna jeszcze śmierci ojca nie przeboleła, rozdrażnioną jest.. wszystko to przejdzie!
Nic nie odpowiadając pożegnał ją krótko.
Pułkownikówna stała jeszcze oczekując w progu swojego pokoju, zdawało się jej że Stach powróci, że musi zwyciężyć. Usłyszała go wychodzącego i pobladła.. Cały charakter kobiety malował się w tej zmianie, której twarz jej uległa po wyjściu z salonu.
Tam była rozmarzoną, znużoną, zrozpaczoną,

aż do szaleństwa — za drzwiami zimny gniew i złość rysy jej oblekły grozą tylko i zemstą.

Czuła się upokorzoną, zwyciężoną — ona co wierzyła w swoją wszechmocność — odepchniętą, pogardzoną; ona która pierwsza narzuciła mu się z miłością swoją. — Człowiek ten wydał się nie zimnym, nie ostygłym ale nikczemnym.. Nienawidziła go..

Drzwi się za Kwirinem zamknęły — Rolina rzucać się poczęła po swoim pokoju, szukając pociechy w tem że go w oczach własnych czerniła — odzierała go ze wszystkiego co w nim ceniła wprzódy, widziała zasadzki i rachuby w jego postępowaniu, a uczucie honoru nazwała dziecinstwem.

— Głupiec! zawołała tupiąc nożkami ze złości — głupiec — bałwan! — Taki człowiek byłby nieznośnym tyranem w pożyciu — chciałby panować nade mną.. Tak lepiej.. zerwane z nim na zawsze!

— X —

Przededniem już Rolina była na

na nogach, w głowie się jej paliło.
Od pogrzebu nie widziała prawie pani Boehm, nie domyślała się co ona ze chce począć z sobą; obawiała się aby ją teraz nie porzuciła. Chociaż są- siedztwo Pepi której czuła w domu, bu- dziło jej gniew - gotowa była ją znosić, aby nie pozostać samą.
Przedewszystkiem potrzeba było niepew- ność tę rozwiązać, postanowiła coś rozmówić się z nią -
Niechciała sama iść do Wallbrigierały by się tam z Pepi niespotkać - pomy- ślawszy trochę kazała ją prosić do siebie.
Nim nadeszła, samo przypuszczenie że ta kobieta może odmówić jej, - nie przyjść - zburzyło jej żałowała już uczynionego kroku.
Lecz Boehmowa do czasu przynajmniej była jej potrzebna.
Dawszy nieco poczekać na siebie zacna sprowadzona jejmość przybyła nareszcie powolnym krokiem wlokąc się z twa- rzą zapłakaną i pobożną. Widać było że i ona zmartwioną się czuła, - zre- zygnowaną, nie chętną. Stawiła się

tu

ta bez zbytniej uniżoności, zobojętnia-
ła, chłodna.

Pułkownikowa była już w myśli przygo-
towaną na jej przyjęcie — zbliżyła się
przybierając powagi — miała już prze-
mówić, gdy spotkawszy ostry wzrok
Balbiny zawahała się.

Nie chciała siebie upokorzyć, ani jej
obrazić.

— U grobów — rzekła patetycznie — jak
na łożu śmierci, i nieprzyjaciele się
jednają. Pani i mnie równie drogim
był ten zmarły — —

Buchmowa na wspomnienie pułkow-
nika płakać zaczęła — milcząc po-
dała jej rękę. Ona wszystko na tym
grobie gotowa, była złożyć w ofierze
wiele z tej dawnej dla Koliny nie-
chęci.

— Spodziewam się — ciągnęła dalej Koli-
na, że możemy pozostać z sobą ra-
zem przynajmniej do czasu, póki
ja własnego domu mieć nie będę.
Rozstając się nagle po jego zgonie, da-
łybyśmy powód złośliwym ludziom
do oczerniania zmarłego.

Balbina stała ciągle zadumana, jakby
o czem innem myślała.

— Ale ja się z moją Pepi rozstać nie
mogę.

rzekła z płaczem w głosie — nie mogę!
Biedne dziecko... ja go nie poznaję —
Pułkownikówna przerwała żywo.
— Pani wie, że my się z nią nawzajem
nie znosiemy. Ta dziewczyna odbierała
mi serce mojego ojca — mam do niej
żal. Wiem że ona mnie nie lubi —
Lecz — może pozostać przy pani, w tym
domu, a widywać się i żyć razem
nie potrzebujemy. Przecież nie mo
żecie wymagać abym ją w salonie ka
zała przy sobie?
Bochmowa się wzdrygnęła groźnie.
— W pokoju pani ja nie bywam. Koniny
Ta Kalina — możemy unikać nie
potrzebnego spotykania się z sobą...
Spojrzawszy wzrokiem przeszywającym
na twarz wychowanicy — Halbina zmil
czała; dała jej czekać na odpowiedź
choć widziała zniecierpliwienie.
— Niech będzie jak chcesz — rzekła — zo
stanę. — proszę tylko Pepi nie prześla
dować. Biedne stworzenie nikomu wo
dy nie zamąci. Że mogę, możecie ją
bić robić co chcecie, jam do tego nie
wybrała...
Otrzymawszy o co jej chodziło, Kali
na twarz zasępioną wypogodziła.

nie chciała już dłużej mówić o tym przedmiocie.

– Więc – odezwała się tonem zwykłym – proszę, wyręczajcie mnie w gospodarstwie jak wprzódy, jam się na tem mało rozumiem – a teraz nie mam siły ani przytomności do niczego. Ponieważ obiadów razem jadać nie możemy – możecie mi mój przysyłać do gabinetu. Zresztą wszystko niech idzie po dawnemu.

Buchmowa nie mówiąc nic popatrzyła na nią obojętnie, pokręciła głową i wyszła z pokoju. Przymierze zawarte zostało. Ani jedna ani druga nie czuły się w obowiązku dziękować – wiedziały że były sobie wzajem potrzebne.

Po wyjściu Kalliny odetchnęła pułkownikówna – umysł jej już jedną zawadę uprzątnąwszy, biegł dalej niespokojny. Nie myślała wiele o Urwiłku, strata jego nie była sercu bolesną, zadrasnęła tylko miłość własną. Chociaż wolała go niż innych, ile razy wspominała o nim – powtarzała – Głupi! Najpilniej teraz potrzeba było uporządkować spadek po ojcu, i interesa, o których żadnego nie miała

nie miała pojęcia. Rada prawnika była niezbędną. Przypomniała sobie adwokata, którego dawniej dosyć często spotykała, a był dla niej, jak wszyscy mężczyźni ujęci jej wdziękami, bardzo grzecznym.

Doktor Hollender, młody, przystojny mężczyzna, nie mógł przecie tak pięknym spłakanym oczom sieroty odmówić rady. Opiekunów nie miała, musiała się udać do niego. Słyszała wprawdzie dawniej o rodzonym bracie ojca zamieszkałym w Trieście, ale ten był pono właścicielem tylko małego statku, człowiekiem prostym, bez wychowania, a, co najgorsza, ubogim. Przyznawać się nawet do niego nie życzyła, bo w jej przekonaniu było to — kompromitującym. Krewni matki mogli się chyba znaleźć w południowej Francji, ale i ci ubodzy być musieli i nie należeli do tej klasy społecznej, do której Kolina prawo sobie rościła.

Napisała więc na papierze z żałobnym kilka słów do Dr. Hollender, prosząc go o radę i wzywając nazajutrz o rannej godzinie do siebie.

Żal i troska nie przeszkodziły jej około
jedynastej przybrać się bardzo starannie w żałobę grubą, która przybierała Tym kołnierzyku i mankietkach, dziwnie ją piękną i interesującą czyniła.
Przejrzała się w zwierciadle i znalazła podobną do starego portretu Halsa lub Pauditza. Smutek i wyraz bólu rozlany na twarzyczce, nadawał jej urok, którego nie dawała wesołość.
Zdawała się mieć w sercu uczucie –
Zamyślona weszła do salonu.
Ojciec powtarzał jej tyle razy, że w zbiorach które po sobie zostawia była fortuna, że jego rapiersie antyczne, co najmniej na kilkadziesiąt tysięcy guldenów szacowane być mogły, iż Obrazy pierwszej wyższy były – natychmiast je spieniężyć –
Zgadzało się to z wolą ojca. W ten sposób zapewnić sobie mogła coś więcej nad tę małą pensyjkę, jakiej się córka pułkownika do zamążpójścia spodziewała.
Ale cóż to wszystko było dla niej, która potrzebowała miljonów, aby niemi ~~[illegible]~~ fantazje swe i damy zaspokoić

zaspokoić mogła?

Jedenasta była jeszcze gdy u drzwi zadzwoniono, a że służąca żadnych przeciwnych nie odebrała rozkazów, znając amerykanina jako pretendenta do panny i hojnego gościa, bez pytania wprowadziła go do salonu.

Zbladła na widok jego Rolina — nie spodziewała go się w tej chwili — jakiś fatalizm przeznaczenie narzucało jej tego człowieka.

Ze wszystkich co się około niej kręcili, był jej najmniej miłym — czasem niezwyciężony wstręt i obawę czuła gdy się zbliżał.

Powierzchowność miał, pomimo zbytniej elegancji, odstręczającą, i na miękki wyraz oczów jego i twarzy, Rolinę mięszał i niepokoił. Obawiała się go. Śmiech jego, zgrzyt zębów białych, drganie muskułów twarzy, obejście się natarczywe gdy byli sam na sam — czyniły go jej nieznośnym.

Na pozór grzeczny, amerykanin był razem despotycznym — przesa-

przesiedzona tragedyą i uniżeniem, zmieniały się w nim łatwo w brutalstwo. Pod skorupą cywilizowanego człowieka był to dziki indjanin.

W głąb jego Kalina swojemi pieściwemi jasnemi oczyma sięgnąć nigdy nie mogła — było w nim coś tajemniczego i zamkniętego, niezrozumiałego. Świat różnych ludzi w jednym człowieku.

Lecz — ~~jeden~~ amerykanin teraz zostawał sam prawie, jeden na którym owładanie liczyła. Tak się jej zdało.

Mimo obawy i wstrętu, zobaczywszy go wchodzącego, Kalina z twarzą smutną, z rączką wyciągniętą podeszła ku niemu, witając go wdzięcznie.

Na pół drogi o mało się nie cofnęła — lecz zwyciężyła się heroicznie. Uśmiech nie zdradzał tego co się w duszy działo.

Amerykanin wchodził, pomimo przybranej fizjognomji żałobnej, z jakimś wyrazem ciekawości niecierpliwej, pożądliwej, jakby mu szło o wypróbowanie, czy zmiany poło=

położenia na kongyii lwa, wszystkiego nie potrafi.

Przeczytała to w jego oczach — lecz nie dała tego poznać po sobie. Uśmiech pozostał na ustach.

Rozmowa już się rozpocząć miała, gdy dzwonek zabrzmiał powtórnie, nieśmiało, krótko i — krok się dał słyszeć w sieni bojaźliwy. Drzwi odemknęły się zwolna i — Rolina z podziwieniem ujrzała, tego kogo się najmniej lub wcale nie spodziewała — młodego księcia Rudolfa von Hoh-Winterburg, stworzonego, zapłonionego zuchwalstwem własnem.

Biedne chłopię widocznie obawiało się wielce, aby przekradając się z tą wizytą kondolencyjną, nie spotkało się tu z kim, nie zostało zdradzone.

Półkręgły amerykanina, zbladł, lecz cofać się było już zapóźno.

Zmięszany mocno wślizgnął się do salonu, zaczerwienił ogniście, kilka wyrazów wyjąkał, których treści trudno się było domyślić — i nie wiedział już co począć z sobą.

Z ukosa spoglądał na amerykanina, który go złym wzrokiem swym ścigał, zakręcił się, spróbował powiedzieć coś jeszcze, wstał jak oparzony nagle, podszedł z nowym komplementem do Koliny, i — umknął.

W tej niezwykłej eskapadzie młodzika było coś tak śmiesznego dla świadków, a tak głęboko uczutego dla biednego zakochanego, że nawet Kolina uczuła nad nim miłosierdzie — Amerykanin śmiał się szydersko.

Rozkochane książątko nie tylko w salonie patronikowej spotkało to nieszczęście że trafił na amerykanina, spodziewając się już zaledwie samego — gorsza katastrofa czekała go na wschodach, gdzie się zszedł z baronem St. Foix, równie jak on z kondolencją, śpieszącym na górę. Poznany, musiał mu się ukłonić. Na ostatek jeszcze w bramie trafił na spieszącego Abbé Voisin. który wpadł nań z wyrzutami i gniewem, grożąc że go zaskarży

przed

pod balkon.

Don Esteban przygotowany był do roz-
mówienia się stanowczego, bardzo
serjo z Koliną, znajdując że w pierw-
szej chwili najwłaściwiej było z jej
sieroctwa i opuszczenia korzystać.
W tem zjawił się w progu baron
St. Foix, a Kolina z wyrazem praw-
dziwej wdzięczności za okazane
współczucie podziękowała i jemu, za-
pominając amerykanina.

Dwaj współzawodnicy znali się tro-
chę - kwaśno zmierzyli się oczyma.

Dzwonek nie odpoczywał - jedni po
drugich wszyscy dnia tego szli z kon-
dolencjami. Tym razem był to p.
Adam Mortimer który się czuł w o-
bowiązku okazać że całkiem dla
dawnego ideału nie zobojętniał.
Nieszczęście które ją dotknęło, odży-
wiło nieco zastygłą miłość poety.
Mortimerowi także zetknięcie się
~~się~~ z ludźmi, których się w tej go-
dzinie nie spodziewał nie bardzo
było przyjemnem.

Z powagą smutną zbliżył się do Roliny i w kilku słowach wyraził współczucie..

Wszyscy goście posiadali odosobnienia milczący, a i pułkownikówna nie znalazła sposobu, aby towarzystwo ożywić. Najswobodniejszy i najzręczniejszy ze wszystkich francuz pierwszy spróbował zawiązać obojętną gawędkę. Amerykanin gryzł usta gniewny. Mortimer patrzał po ścianach, Rolina zamieniwszy chłodne wejrzenie z nim, zwijała i rozwijała chusteczkę trzymaną w ręku. Ruch ten zdradzał rozdrażnienie.

Zadzwoniono raz jeszcze. Wszedł stary hrabia Bongi, który wszedł z uczuciem szczerego, ojcowskiego politowania na pięknej twarzy spokojnej.

— Z wielką boleścią dowiedziałem się o nieszczęściu, które panią spotkało, odezwał się biorąc ją za rękę i przytrzymując ją z uczuciem w swej dłoni. Stracić ojca, nie mając matki, cios to okropny dla kobiety.. wszyscy też współczujemy z nią.— Boleję nad

nad jej stratą. — Ja przyszedłem ofia-
rować moje usługi. Jeśliby pani
była w takiem położeniu że opieka
i dom przyjacielski byłyby jej potrzebne,
ja i żona moja ofiarujemy spokoj-
ne u nas schronienie —

Dobroć starca przejęła Rolindę, która
mu gorąco podziękowała, chociaż u-
czuła się nieco upokorzoną. Ludzie
więc sądzili, iż litości ich i jałmużny
potrzebowała!!

Borgi z przywileju wieku swego, mó-
wił dalej otwarcie.

— Piękność pani, może ją narażać na
niepotrzebne i niemiłe natręctwa.
Potrzebujesz ciszy, spokoju, przyjaciel-
skiej dłoni i starań. Wszystko to
znajdziesz być może u nas, nim po-
konasz boleść, zwyciężysz i z życiem
się nowem pogodzisz.

Rolina zmieszana dziękowała ogól-
nikami.

Borgi usiadł i tym tonem patriarchal-
nym, serdecznym mówił dalej: —

Spojrzeniem miłem rzucał na swych to-
warzyszów, zdawał się okazywać
że rad był mieć ich przy sobie i sam na

nie sam otwarciej pomówić z sierotą
o jej położeniu, którego mógł się do-
myślać; ale baron St Foix nie okazy-
wał wiele usposobienia do żadnego
opuszczania placu, a Amerykanin
jak przykuty siedział uparcie.

Jeden Mortimer, wstał i zbliżywszy
się do Roliny, kilką słowami grzecz-
nemi ją pożegnał. Towarzystwo które
tu zastał, dotknęło go nie mile, po-
twierdzało skłonności pułkownikownej
z ludźmi, których ojciec mu wymie-
niał.

Czuł się wieczorem niemal oswobodzo-
nym – lecz choć rana zdawała się zagojo-
ną – bolała.

Borgi tym czasem żywszą ogólną, o
losach ludzkich, o cierpieniach i
środkach złagodzenia ich zawiązał
rozmowę z baronem, do której mil-
czący amerykanin się nie mięszał.

Dowiedywał się co panna Makolich
myślała począć z sobą i czy chciała
w Widdain pozostać –

Dziękując mu za troskliwość pułkow-
nikowna odpowiedziała, że dla
żalu po najlepszym z ojców, o ni-

czem

niczem jeszcze pomyśleć, nic postanowić nie mogła — pohamowała wypłakać się, oprzytomnieć, obeznać z położeniem, w którem rozpaczać się nie miała czasu — Interesa ojca, którym nagła śmierć zaskoczyła, wymagały uporządkowania itp.

W ciągu rozmowy tej ze starym Bongi, amerykanin nie był dłużej panem siebie, aby się z pewnem zniecierpliwieniem nie zdradzić. Rulina po razy kilka musiała oczyma go napominać, aby się zachował spokojniej.

Naostatek baron St. Foix, widząc że włocha nie przesiedzi, wstał i począł się żegnać. Bongi ~~[illegible]~~ pozostał jeszcze mierząc oczyma niemego Don Estebana — który zżymając ramionami, mrużąc oczy, nerwowo krzywiąc się, pocierając włosy, nie ruszał się z miejsca.

Hrabia zrozumiał iż gość ten czekać musi, zrezygnowany więc, raz jeszcze zaofiarowawszy usługi swe sierocie, dodając jej otuchy i męztwa, pośpieszył za baronem.

Don Esteban wstał także, jak gdyby za niemi miał wychodzić, ale była to teatralna, fausse sortie, — zobaczywszy się panem placu, rzucił kapelusz i zbliżył się do Roliny.

— Myślałem, zawołał ostrym głosem zniecierpliwiony, że tych niezaproszonych nie przetrwam natrętów. Wszakże masz pani aż do zbytku wielu troskliwych o siebie przyjaciół. Pomimo to ja sobie rościłem pierwsze do tej usługi prawo.

Pozwoliłaż pani mówić z sobą otwarcie, choć to może dziś niebędzie właściwem, ale ja — czekać nie umiem.

Rolina wzrokiem mu tylko odpowiedziała. Im bardziej zdawała się zbliżać chwila stanowcza, tem ją — odważną zresztą, jakiś strach paniczny więcej przejmował. Obrazić mu się nie mogła — było w nim coś instynktowego, niezrozumiałego lecz niezwyciężonego.

Amerykanin, jakby to przeczuwał. Łagodził głos, czynił go o ile mógł przymilającym i pokornym, lecz mimowoli dziki człowiek się odzywał. Zapominał się co chwila.

— Nie po raz pierwszy ~~powtarzam~~ wyznam pani, zresztą, że jestem w pani rozkochany śmiertelnie. Uczyniłaś mi pani niejaką nadzieję, że miłość ta może być odwzajemnioną.
Jestem zupełnie swobodnym, niezależnym od nikogo, majątek mam bardzo znaczny, liczący w najgorszym razie kilka miljonów dolarów wynosić..
Chcesz pani ze mną podzielać złe i dobre losy? proszę o jej rękę..
Mówił L z gorączką i pośpiechem, a wspominając miljony, lekceważącym ruchem zbył tę kwestję finansową.
Rolina zwolna oczy ku niemu podniosła — wejrzenie było wiele obiecujące.
— Pan pojmujesz, odpowiedziała z niejakiem wahaniem się, — że na świeżym grobie ojca, nie jest to chwila do mówienia o małżeństwie.. Daj mi pan przeboleć, odetchnąć i zapłakać się..
— Ja rozumiem, odparł żywo Amerykanin, że to jest właśnie moment, w którym pani potrzebujesz opieki, — mogłaby ona jej wiele przykrości oszczędzić —

oświadczyć!
Don Esteban zatrzymał się nieco, wyglądało wszakże, iż w ogóle nie przychodziło mu łatwo.
— Zaprawdę, ciągnął dalej — moje interesa, zajęcia moje, — pilne sprawy które mam na głowie, mogące mnie niespodzianie, lada chwila z tąd — na czas jakiś wypędzić — nie dozwolą nam wziąć ślubu natychmiast.
Wymagają też, jak słyszałem, formalności, świadectw, mnóstwa papierów zażądać z domu. Zabierze to dużo czasu, ale to nie przeszkadza dać sobie słowo, zamienić pierścionki, a pani zawierzyć może honorowi memu, — słowu. Ślub weźmiemy jak tylko papiery —
Kolina podniosła nań wzrok i rzekła groźno.
— Musimy więc zaczekać aż go wziąć będziemy mogli — odpowiedziała —
~~[illegible]~~
~~[illegible]~~
Słowa te amerykanin sobie wytłumaczył jako — przyrzeczenie i zgodzenie się, nie zważał więc na oziębłość z jaką zostały wypowiedziane i zbliżył się do niej z wyrazem czułym, — rękę wyciągając jakby kibić jej chciał objąć — ale Kolina się cofnęła obrażona.
Don Esteban pozostał w miejscu

zmieszany nieco.

Siadł opodal.

— Więc jakież jest ostatnie słowo pani? zapytał wreszcie nadąsany.

— Prosiłam pana o czas do namysłu — odpowiedziała panna, głosem który złagodzić się starała i uczynić obiecującym gdyż zaczynała się lękać aby nie straciła amerykanina.

Może się pan domyśliwać, kończyła po chwili, że nieodrzucając jego prośby, tem samem daję mu już nadzieję. Ale w tej chwili nie zdaje mi się właściwem... Daj mi pan czas...

— Niech pani oznaczy jak długo mam oczekiwać? zawołał wstając i zbliżając się natarczywie amerykanin, z pewnem zakłopotaniem. Wspomniałem już o ważnych sprawach, które mogą mnie z tąd odwołać... najniespodziewaniej. Słyszałaś pani zapewne że... (zamruczał niewyraźnie) powierzają mi ludzie pewną missyą dyplomatyczną... nie mogę o tem mówić więcej — Mógłbym być zmuszonym do nagłego wyjazdu...

Rozina słuchała zamyślona

— Cóż ja na to poradzić mogę? spytała.

— Pani — mogłabyś mi zaufać — odparł amerykanin — Dla mnie oczekiwanie byłoby męczarnią, a ono się przeciągnąć może. Papiery z ameryki nie nadchodzą tak prędko...

Nie śmiał dokończyć wyraźniej, gdyż pułkownikówna zmierzyła go wzrokiem, który usta zamykał.

Don Esteban rzucił się z wyrazem namiętnym i teatralną gestykulacyą.

— Zmiłuj się pani Liwio nademną — niechciej pojąć że kochając tak jak ją kocham, a być zmuszonym dla lichych jakichś papierów dręczyć się i wyczekiwać — to jest prawdziwą torturą!

Uśmiechnęła się dwuznacznie pułkownikówna.

— W istocie takiej miłości ja nie rozumiem, rzekła — Sądzę że prawdziwa zawsze powinno być cierpliwem i zastosowywać się do wymagań, zwłaszcza gdy te, jak moje, są sprawiedliwe... Mam zapewne ufność w panu, lecz z moich warunków nie ustąpię.

Amerykanin ruszył ramionami —

— Cóż to są te formalności średniowieczne, kościelne — zawodzą ~~to~~ ~~ks~~, Urzędnik świecki urządza nie

nie znaczy nic! Gdy dwoje ludzi
daje sobie uroczyście słowo – waży ono
tyle pewnie co przysięga przed ołta-
rzem. – Dziś zaś do tych ceremonij wa-
gi nie przywiązuję.
O co pani chodzi? mogę na piśmie
dać zobowiązanie –
Rolina przerwała niedając mu dokoń-
czyć.
– Nie mówmy o tem, proszę.
Don Esteban zagryzł wargi i zdawał
się niepewny co począć. Dotąd dla
go prowadziło miłowanie, kilka razy
spojrzeli na siebie, uspokoił się nieco
amerykanin.
– Mam nadzieję – dodał, że pani
się namyśli, i że to nie będzie
ostatniem jej słowem. – Ja przynaj-
mniej za ostateczny wyrok tego nie
biorę.
Pułkownikówna miała mu przerwać,
gdy utrzycił ze śmiechem wymuszo-
nym i zimnym:
– Będź co bądź ja się już uważam
za jej narzeczonego! Nie chcę nic
więcej słyszeć, o niczem wiedzieć!
niedam się odpędzić!
Kończąc te słowa pochwycił ją za
rękę gwałtownie i zdejmując z pal-
ca pierścień z wielkim soliterem,
wcisnął go jej gwałtem prawie.

Rolina słabo się opierała.
Dokonawszy tego, jak tryumfujący
przybrał weselszą twarz.
— A zatem, rzekł, — narzeczonym jej
od tej chwili jestem, i proszę mnie
uważać za najwierniejszego sługę —
rozporządzać mną, rozkazywać.
I gorąco ucałowawszy jej rękę, w
której jakoby pierścień narzucony
gwałtem trzymała, z pośpiechem, ha-
łaśliwie, potrącając krzesła, stuka-
jąc drzwiami, wybiegł do sieni.
Spotkawszy tu służącą, wcisnął jej
dukata w rękę, rozśmiał się na głos
i potoczył się po wschodach jakby się
lękał ~~[illegible]~~ pogoni.
Po wyjściu jego Rolina długo stała
zamyślona; — pierścień trzymała
w ręku i przypatrywała się grze świa-
teł w pięknym solitairze, który był
Słał iskry złotemi.
Diament był przepyszny, oprawa kun-
sztowna. .
Miał że on ją wiązać na zawsze?
Jej się zdawało że był prawy poda-
rek, bo nic nie dała w zamianę.
Zwolna zaczęła go wkładać, próbu-
jąc na którym palcu będzie mu naj-
lepiej. Poruszała białą rączką, prze-

przeciw światłu wyzywając aby jej
zaświecił tęczowemi blaskami.
Na jej ręku leżał tak dobrze, jakby
do niej był stworzony. Sama zaczęła
wydawać się z nim piękniejszą.
Był to zadatek świecący świetnej
przyszłości.
Zadumana siadła z okiem wlepio-
nem w pierścień. Na nieszczęście
cudne cacko przypominało brzydkie-
go, pół dzikiego człowieka co je narzu-
cił. Świecił soliter tak prawie
jak oczy tego strasznego człowieka.
Wzdrygnęła się.
Wszyscy goście, którzy się tego rana
przesunęli przed nią — wracali jak
widma; — a każdy z nich był jej znów
milszym od tego, którego los zdawał
się dla niej dziś wyłącznie przeznaczać.
Nie rozumiała go dotąd!
Miał powierzchowność człowieka nale-
żącego do lepszego świata, należał
nawet do niego — przyjmowano go
wszędzie, umiał się znaleźć wśród
oryginałów ale nie ważny — pomimo
że na niej czynił wrażenie jakiejś
istoty niższej, przebranego lokaja —
nie mogła się obronić tej myśli —

Lecz była w nim krew obca — ród inny. Sam on przyznał mi się że w żyłach jego płynęła krew hiszpanów, conquistadorów, zmięszana z indjańską krwią. — Nie taił się z tem. Ale kto był, jaką miał przeszłość, ~~x~~ nie mówił wcale, mięszał się gdy go badać chciała.

Ludzie słysząc o mniemanej jego misji dyplomatycznej, śmieli się ironicznie. — Potajemne posłannictwo Rzeczypospolitej Chile, Peru lub Meksyku, mogło tylko uwieść najłatwowierniejszych nieuków.

Tych ciemności nieprzyjemnych, niepokojących blaski djamentu nawet rozjaśnić nie mogły.

A! jak teraz stokroć by była wolała tego powolnego, łagodnego, choć tak przy swej części i słowie upartego Stacha! — Morimera nawet z jego fantazjami poetycznemi, — wreszcie kogobądź, byle nie tę twarz gruzina, jakąś obcą, z oczyma dzikiemi, która zdawała się z innego świata przychodzić?

Śmiech jego, w którym zgrzyt jakiś zębów dawał się słyszeć, — gdy go

przypominała, dreszczem ją przejmowała.

Obrażał ją wreszcie wymaganiami zuchwałemi, śmiał żądać od niej ofiary, na którą dama jej nigdy się zgodzić nie mogła. Nigdy!..

Badając się sama czuła że słowa Stacha zawieszały może, że nawet kaprysy Morimer, wzbudziłby w niej wiarę, don Estebanowi zaufać!! — nie mogła.

Sama przypuszczenie że będzie zmuszona, oddać mu rękę, — siebie — przerażała ją i wstręt budziła. Śniło się jej kiedyś że w ucieczkę chciał śmierć zadać i jak ludożerca ją pożreć — Sen ten śmieszny ciągle się snuł przed jej oczyma.

Kto policzy myśli jakie się jej snuły po głowie i wywoływane pierście niem i rozpaczą. Przez cały dzień dręczyła się niemi.

Najmniej spodziewany był powrót Dr. Hollender, którego z rana dnia tego przyjąć nie mogła.—

Prawnik należał także do cieszących się, przez jej szacunkiem, lubił jej towarzystwo, ale należał do tej kategorij

podrzędnej, nad którą dumna pułkow-
nikowna nie tknęła wcale. Miała
ich tyle!

Teraz jednak potrzebując życzliwej po-
mocy jego, uśmiechać musi i bar-
dzo uprzejmą być musiała.

Dr. Hollender stawił się o godzinie na-
znaczonej.

Był to człowiek młody, przystojny, twarzy
trochę pospolitej, ale życia pełen
i bystrego umysłu. — Kalina wiedziała
że z nim otwartą być musiała, bo
fałsz żadenby go nie uwiódł.

Prawnik, który czasu miał mało, jak
wszyscy ludzie powołaniu swemu
oddani szczerze, — przyszedłszy natych-
miast zażądał papierów i wyjaś-
nień stanu interesów.

Kalina znajdowała się w dziwnem przy-
krem położeniu. Nie wiedziała o
niczém. Ojciec nie wtajemniczał
jej nigdy, nie wiedziała nawet gdzie
czego szukać było potrzeba; musiała
więc odwołać się do Bochnowej, która
była powiernicą nieboszczyka.

Bolało to ją, i upokarzało, ale Sta-
rała się wytłumaczyć adwokatowi,

że ojciec stołował się w tem do jej życzenia, gdyż ona nie cierpiała interesów – a miała dość zajęć innych –
Powierzono pani Balbinie, Kolina miejsca jej ustępując, wyjeżdża.

Zupełną tajemnicą były dla niej interesa ojcowskie. Pułkownik dla niej był tylko kasjerem, od którego ona wymagała jak najwięcej, który nie pytając skarżył się ubóstwem, opierał się po trochę, w końcu żałując nie dawał co chciała. Wnosząc z tego ciągłego o oszczędności nalegania, użaleń na ciężkie czasy, – z wydatków na starożytności, – Kolina wyobrażała sobie że po ojcu nic pozostać nie mogło, oprócz tych skorup i rupieci, które niewiele warte być musiały; i pensyjki jakaś jej należała.
Chciała co najprędzej wyjść z tego stanu oczekiwania i niepewności – a przez zamążpójście z niedostatku, którego się obawiała. – Wszystkie ślady ubóstwa, brzydziła się niem, było dla niej nieznośne. Fałszywe wyobrażenia przedstawiły jej stan ten, nietylko męczeństwem ale upoko-

rzeniem

Czuła się stworzoną, przeznaczoną, do
innego świata.
Całą swą młodość spędziła w walce
aby okazać się nie taką jaką była
w istocie, ale jaką pragnęła; nie-
raz okupując elegancję wygodami,
blaski fałszywe rzeczywistym niedo
statkiem, rękawiczki śniadaniem,
a wstążki podwieczorkiem.. Życie
jej było pasmem udawań i kłamstw,
dręczącą maskaradą.. I teraz też
gotową była szczęście poświęcić
mrzonce świetnego losu..
Nie życząc sobie być świadkiem
rozmowy Stockmanowej z Dr. Hollen
drem – tego inwentarza upokarza
jącego swego ubóstwa – wyszła do
swojego pokoju oburzając się na pstre
brylantowy pierścień amerykanina..
Ukrytym bawiła się jak dziecię –
Czasami przelękła się i chowała go..
i po chwili odwracała aby nasycić
przyjemności.
Dobre pół godziny trwała rozmowa
prawnika z p. Balbiną, po czem
Dr. Hollender, według umowy, do drzwi
jej zastukał.
Otworzywszy je Rolina zbladła
go

go z wiązką papierów w ręku, z piórem za uchem, a twarzą zamyśloną.

Usiedli przy stoliku w salonie.

— Rzeczy się nieco wyjaśniły — rzekł prawnik, choć nie wiem czy pani będzie ze wszystkiego kontenta. — Naprzód, okazuje się, iż mamy w ręku złożony testament nieboszczyka, którego kopię tu załączyliśmy.

Kalina drgnęła niespokojnie; zapowiadało się coś niespodziewanego.

— Cóż w nim jest? spytała cicho.

Prawnik spuścił głowę i patrząc w papiery, mówił dalej.

— Majątek nieboszczyka składa się z ruchomości (obejrzał się po sali i jej sprzętach, ręką je ukazując). — Ocenione one są dość wysoko! — Oprócz tego mamy dwadzieścia tysięcy guldenów papierowej renty.

Kalina nie mogła się wstrzymać od wykrzyku zdziwienia, bo się wcale tego nie spodziewała.

Dr. Hollender czytał dalej.

— Kapitału tego połowa należy, wedle rozporządzenia testamentu, przyznanej urzędownie za córkę, pannie

Józefie —

Załamując ręce, z gniewem porwała się z okrzykiem pułkownikówna.

— Tego upokorzenia, tego wstydu — nie spodziewałam się — poczęła. Za grobem mu tego nie daruję. To okropne..
Ona — moją siostrą!

Dr. Hollender spoglądał na nią ze współczuciem.

— Niema sposobu sprzeciwiania się temu — rzekł łagodnie. Rzecz jest dokonana. Pułkownik za życia odczynił starania i adoptował ją prawnie.. Pani pozostawił cały spadek ruchomy..

— Ah, wolałabym była wyrzec się wszystkiego, a nie być tak upokorzoną! zakrzyknęła dumnie dziewczę, rzucając się na krzesło.

Dr. Hollender z zimną krwią, prawie katem w milczeniu, póki by pierwsze, najgwałtowniejsze nie przeszło wrażenie. Sama ona wkrótce opamiętała się, iż nie powinna była zdradzać ze zbytnią boleścią i po chwili spytała głosem słabym, czy prawnik nie mógłby się podjąć sprzedania ruchomości.

Chciała sprzedać wszystko i zebrać

co jej pozostawało — uciekać!! Sama nie wiedziała co zrobić —

Dr Hollender gotów był ułatwić licytację, starszyznoście, znał taxatorów, niż obce maklery formalności, lecz z mowy jego widać było że nie wiele ze sprzedaży spodziewał. — Nic ochoty nawet której z gniewu Rolina co prędzej wystawo bodzie nie oddzie się chciała się pozbyć tej ściółki jakiejś i Buchtmanowej, której czarny wyrzucała zdradę.

Oszukiwano ją, uwiedziono — Sam ojciec należał do spółki. Nie nie dawano poznać, bo nie było podstaw zostało się pokrzywdzić — Tolkiem naszeptani wybuchnęła przed prawnikiem żaląc się na krzywdy wyrządzone. Dr Hollender uspokajał ją i milczał.

— Wszystko to po czasie, powtarzał — co nieochronne — do tego zastosować się potrzeba.

Po wyjściu prawnika, Rolina dnia tego nie widziała nikogo. Zamknęła się od Buchmanowej i Pepi, rojąc co zrobi z sobą...

Z jej pięknością, wychowaniem, trochą pieniędzy - nie mogłaż się była ważyć na stawkę nową, w grze z losem?!
Mogła się przenieść gdzieindziej - stworzyć sobie stosunki i poważną, dobrać towarzyszkę i niepotrzebować nic na wielkiego amerykanina, nie patrzeć na nieznośną pysze, nie ocierać się o wroga - Sochnowej.
Na to potrzebałoby wiele energji, taktu, umiejętności, wytrwania, ale czyż jej na nich zbywało?!

XI.

Don Esteban Corcero-Prolados, od kilku już miesięcy zajmował apartament wspaniały w Hôtel Imperial, i żył na stopie dostępnej tylko miljonerom.
Przed przyjazdem jego mieszkanie było telegrafem zamówione. Z nim razem przybył sekretarz jego, młody, milczący, blady anglik i bardzo poważnie wyglądający kamerdyner - amerykanin, który łączył w sobie szczęśliwie angielską sztywność z grubijaństwem Nowego Świata.

Służba hotelowa, nawykła do poznawania się na ludziach i odgadywania ich z powierzchowności — choć się jej czasem omylić zdarzy, ma instynkt doświadczeniem nabyty oceniania ludzi, najczęściej trafny i niemylny.

Przyjmujący w przedsieniu rządca Hotelu, zwolna badawczem okiem mierzy podróżnego; dosyć mu jakiegoś dla profanów niedostrzeżonego znaku, ruchu, wymówionego tak lub inaczej słowa; aby umiał sklasyfikować gościa i wiedział czy on społecznie i finansowo stoi na wierzchu, w środku lub u dołu drabiny.

W Hotelu Imperial owczesny Ober-Kellner Pan Stephen, który oprócz innych kwalifikacyj, wysokiej swej pozycyi właściwych, był znakomitym lingwistą, i mówił bardzo znośnie pięciu językami, nie licząc trzech które kaleczył śmiało; — Pan Stephen przyjmując u drzwi Don Estebana przybywającego z Sekretarzem, z kamerdynerem i kuframi przepysznie pookuwanemi, niezmiernie ramionami poruszył.

Odprowadziwszy go do apartamentu dlań przeznaczonego, poddawszy

jakże rozbawionej analizie pakunków, sposób zagospodarowywania się, itp. wyraził się potem w biurze Hotelu w sposób wcale niespodziewany a oryginalny o amerykaninie — wręcz oświadczywszy że to jest wcale nie osobliwsza figura.

Wyrok ten jednak później jeśli nie odwołać, to zasuspendować był zmuszony.

Don Esteban w oczach służby okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Miał, jak się przekonano, list otwarty na jednego z najznaczniejszych bankierów stolicy, na summę bardzo znaczną; żył co się zowie po pańsku, rachunki płacił jak najregularniej i długów nie robił, i służącym dawał wspaniałe trynkgeldy.

A, chociaż tygodniowo opłacane wydatki hotelowe były wcale nie małe, nigdy się nie skarżył na nie, i nie kontrolował małych dopisków —

Nie szczędzono wcale; Sekretarz i Kamerdyner jedli i pili po pańsku.

Sam Don Esteban nie wyjeżdżał nigdy inaczej jak powozem hotelowym, a używał go często. Woźnica

dostawał na piwo.–

Kupowano drobnych a niepotrzebnych rzeczy wiele, drożej i po najpierwszych magazynach, gdzie one są dwa razy droższe. Codzień się coś przywoziło od Kleina.

Ciekawości, nawet po hotelach, gdzie ten rodzaj świerzbu codziennie bywa łagodzony coraz nowem łechtaniem. – ciekawości jest tak dalece w ludzkiej naturze, że jej nawet zmęczony Pan Stephen uległ.

Don Esteban obudzał ją w najwyższym stopniu w nim, i w zawodzie hotelu. Kto on był? co tu robił?

Spodziewano się o tem nieznacznie dowiedzieć od Sekretarza, żywego anglika, lub od Kamerdynera, który piwa pijał dużo i namiętnie.

Tym czasem ani jeden, ani drugi o panu swym, nie dali nic dobyć z siebie, oprócz że był niezmiernie bogaty i wysoko w hierarchij społecznej pozycyi.

Kamerdyner w ostatku raz po wielkiem nadużyciu piwa, gdy go naciśnięto, stuknąwszy w stół pięścią,

i zapytującym się, że było go znać o
nim wie, co i pytający, chociaż od
kilku miesięcy mu służy.
Stosunki, jakie mógł mieć w stolicy
amerykanin, w początkach nie więcej
ile rokowały. Potem zwolna zaczęli
przybywać goście. Była to po większej
części młodzież wesoła, lubiąca życie,
arystokracja in spe, dyplomacja
początkująca, świat niedojrzały,
mało ludzi poważnych.
Później i parę figur wydatniejszych,
wyżej położonych się zjawiło. Ale
pan Stephen uczynił tę dowcipną
uwagę, że były nie te brzoskwinie
nie bez plamy, które się po pięć
franków płaci u Chevet'a, ale ów
nie dużo na oko, tylko z jakiejś
skazy, zniżającej cenę ich do pięciu
susów.. Dystyngowane osoby bywa-
jące u Don Estebana wszystkie
miały te małe plamki, które ich
wartość zmniejszały, były bez
brzoskwinią, — nawet dużo. Lecz
przypatrywały się im.. może było
znaleźć czarne znamię.

Panowie ci znani byli albo jako namiętni gracze, lub wesoli próżniacy, Kobieciarze niepoprawni, lub odłużeni panicze – na ostatek po dwukrotném bankructwie zbogaceni cudownie...
Największa liczba tych przyjaciół Don Estebana, pochodziła z marnotrawstwa.
Pan Stephen rozważał w sobie iż dobór towarzystwa dawał do myślenia, ale jako mąż logiki bardzo ścisłej, wnosił z otoczenia iż ten co je dobierał sobie, musiał albo z niego korzystać lub sympatyzować z niemi.
Dowiadywał się zawsze troskliwie w biurze jak tam stały rachunki, ale odpowiadano mu, karząc go śmiechem i wyśmiewając podejrzliwość iż te płacone były najregularniej i według niego i to miało znaczenie niewątpliwe. – Pan Stephen nie chciał się uznać zwyciężonym i kończył rozprawy ręce kładąc w kieszenie, z grymasem – Zobaczycie!!
Nie uchodziło i to uwagi jego że życie prowadził amerykanin, nie po europejsku, z desinwolturą

innego świata.

Pan z Sekretarzem, według niego byli w zbyt poufałych stosunkach. Gdy ktoś obcy wchodził, angielik stawał się przyzwoitszym i wracał do skromniejszej roli. Kamerdyner też lekceważył don Estebana i pokazywał mu język z boku; a zaczepiony, odpowiadał grubo.

Gospodarstwo całe było jakieś oryginalne.

Przy gościach wszystko przybierało formy uroczystsze, po odejściu ich rozprzęgało się.

Wieczorami zwykle tu grywano. Zaczynało się od niewinnego wista, a później stopniowo przechodziło w inne kombinacje, które znaczne bardzo summy na stół ściągały.

Trwały te zabawy czasem do białego dnia, przerywane tylko kosztowną wieczerzą, przekąskami i oblewane winami.

Grywano hałaśliwie, ale nigdy żadna kłótnia i skandal nie dały powodu do skargi i niepokoju w hotelu.

W miarę jak amerykanin dłużej tu zamieszkiwał, krąg jego znajomości

coraz się rozszerzał i podnosił ku górze.
Dyplomacja wyrzucała tu bilety, kilku wysokich urzędników odwiedziło amerykanina.
Wszystko to zawstydzając p. Stephena. W biurze hotelu wywoływało żarty z niego, bo się chlubił swoim szklanem okiem...
— A co? śmiał się kasjer — czy ten twój podejrzany amerykanin? Wczoraj mu bilet wyrzucił książe... Dziś przysłano zaproszenie na wieczór do ministra.
Pan Stephen poruszał ramionami, i dumnie ręce wkładał w kieszenie.
— Mówcie sobie co chcecie, odpowiadał niby spokojny — zobaczymy!! zobaczymy! Dla mnie to zawsze zagadka. Człowiek jego stanu u którego jednej książki nie ma na stoliku, który gazety czyta tylko na dole z rana, i to pobieżnie, — trzyma sekretarza, a prawie żadnych listów nie odbiera i nie pisze — nie wydaje mi się bardzo dystyngwowanym. Zobaczycie!!
Tryb życia don Estebana dotąd był jednostajny. Wstawał późno, program dnia zależał od tego co się

w mieście zapowiadało.

Z dawnego głównego. Koncertu i widowiska, balu i przejażdżki po Strzeleckiej i wystawy nie opuszczał nigdy. Musiał być i pokazać się wszędzie gdzie się cisnęli ludzie, wciskając się gdzie się zbierał świat większy.

Niekiedy dawał u siebie obiady, o późnej godzinie, francuskim i angielskim modą. Naówczas menu musiało być wyszukane, wina co najprzedniejsze, a po obiedzie grywano.

W czasie tych wieczorów najczynniejszym bywał kamerdyner, a sekretarz siedział na miejscu i nie pokazywał się wcale.

Pan Stępkiew, którego oka nic nie uszło: dziwiło, bo się już napatrzył na amerykanina, uważał że niekiedy przybywały i bardzo wystrojone panie, które nie należały do żadnego świata ściślej, a widywane bywały tylko czasem wieczornemi godzinami na Grabenie. — Wśród nich trafiały się też mniej znane artystki, mało znaczących teatrów i aspirantki do dramatycznego powołania.

Głównym przymiotem amerykanina było, że — płacił.

Pod tym względem był bez zarzutu.
Z kąd zaś pieniądze brał, o tem się ani
Pan Stephen ani Karjer nie troszczył.
Po śmierci pułkownika Makolichakhira
uwagę na pozostałą po nim bez opie-
ki córkę, zwróciła; w pewnych sfe-
rach rozpowiadano iż Amerykanin
należał do najzapaleńszych wielbicieli
pięknej Rosiny. On się z tem też
nie ukrywał. Domyślano się iż za-
mierzał się żenić. Ubolewali jedni
nad tem, drudzy zazdrościli.
Hrabia Bongi, którego dziewczę na-
przód zajęło plastycznym swym wdzię-
kiem greckiej bogini, potem obu-
dziło współczucie, gdy się bliżej o
stosunkach domowych dowiedział –
postrzegł także starania amerykani-
na i mocno go one zaniepokoiły.
Rosina, którą się po ojcowsku zaj-
mował, a raz był przyszedł jej w pomoc,
żywo go obchodziła. Niemiał inne-
go zajęcia nad studjowanie obrazów,
rzeźb i artystycznych nowości, takowe-
mu więc było przedsięwzięcie i bliż-
sze zbadanie człowieka, któremu
arcydzieło – jak je zwał – dostać

dostać się miało.
Stawulecki był wielce oryginalnym — dobrodusznym, roztargnionym i zajętym zawsze takiemi rzeczami, które jego osobiście wcale się nie tyczyły, a innym były zupełnie obojętne. Kalina mu się podobała, wiedział że była sierotą i ubogą, i że się koło niej mnóstwo młodzieży i dojrzałych ludzi kręciło — począł więc dochodzić i zabiegać, aby się biedaczce nie stało co. Rad był się nią zaopiekować, ostrzega-

— Amerykanin? Chilijczyk? ale cóż za jeden? Właściciel kopalni? hm? miljoner? Cóż on tu robi nie robiąc nic? Na miljonera mi nie wygląda... Zagadkowy — podejrzany..

Począł śledzić go pilnie.

Na pierwszym kroku spotkał się jak oberkellner hotelu z wątpliwościami co do gatunku człowieka. Był niby wykształcony a zdawał się nieukiem, niby nawykłym do świata, a niebardzo się w nim swobodnie i zręcznie obracał — Mogło coś iść na karb amerykańskiego pochodzenia, ale

były rzeczy tak zawikłane i ciemne.
Borgi wnet że się tam coś kryło, a
wszelkie tajemnice dają do myślenia
że niema się z czem chwalić.-

— Wyłaby to rzecz okropna, gdyby to
śliczne dziewczę miało paść ofiarą
jakiegoś awanturnika – a człowiek ten
na niego wygląda – ale pozory zwodzą.
Hrabia zaczął śledzić i rozpytywać. Po-
wiedziano mu o jakiejś missyi dyplo-
matycznej, o której głuche wieści chodzi-
ły.
Borgi poszedł na zwiady po kancelar-
jach poselstw, w których miał najlepsze
stosunki; dostał się do ministerstwa
spraw zagranicznych, w którem sam daw-
niej służył; – wszędzie ramionami ru-
szano gdy się odezwał o jakimś dyplo-
matycznym charakterze amerykanina.
Naczelnik wydziału, rozśmiał się kle-
piąc po ramieniu starego przyjaciela
— Mój hrabio! widzę, żebyście tu mógł
w takiej niedorzeczności uwierzyć. Nie-
ma w tem sensu.
Hrabia od razu miał takie samo prze-
konanie, lecz chciał dojść do źró-
dła i nie mieć sobie do wyrzucenia
płochego sądu.

Zostawało pytanie, jeżeli nie był agentem dyplomatycznym, czém mógł być u licha? Każdy człowiek ma i przyznaje się do jakiegoś powołania, a miljonerem będąc czuje się przynajmniej obowiązanym pochodzenie miljonów wytłumaczyć.

Jednego wieczora, znalazłszy Don Estebana w zajazdowym domu, Borgi, który nie przestawał z kim innym oprócz artystów, literatów, uczonych i swych dawnych kolegów dyplomatów, — mocno się nim zajął i przylgnął do niego. Amerykanin zdawał się tym uczynionym mu honorem nadzwyczaj zmięszany, więcej przestraszony niż uradowany.

Na rozmowę dłuższą trudno go było wyciągnąć; mówił niewiele, ograniczał się frazesami oklepanemi, nie okazywał głębszych wiadomości i gusta do niczego oprócz dobrego życia, jadła i napoju. Borgi zagadujący o poważniejsze rzeczy, męczył go okrutnie. Don Esteban napróżno mu się usiłował grzecznie wyśliznąć.

Hrabia od pierwszych słów poznał że miał do czynienia z człowiekiem tępej głowy, małego wykształcenia,

ale bardzo zręcznym i przebiegłym. Chcąc się mocniej utwierdzić w swem przekonaniu, sam prawie narzucił mu się tak, że go zaprosić musiał; bo Borgi naprzód na obiad go do siebie wezwał.. Niebyło sposobu nie za wdzięczyć, według zwyczaju, wzajemnem zaproszeniem.

To uprzejme nadskakiwanie starego hrabiego, niepokoiło Don Estebana, bo go sobie wytłumaczyć nie umiał. Borgi nie lubił jeść i nie grał w karty.

Tak tedy jednego wieczora hrabia zjawił się w Hotel Imperial, obiecując sobie pilno śledzić sposób życia zagadkowego człowieka, jego otoczenie i t.p. Don Esteban aby uniknąć towarzystwa we dwu, zaprosił na ten dzień barona St. Foix i kilka innych osób z wyższego ~~tow~~ ~~towarzystwa~~ świata, które przybyły we zwanie dowiadując się iż Borgi, być przyobiecał.

Liczyły te po większej części owe krzykliwe dusze z plamkami; jeden wielkiego imienia stary namiętny gracz, który już parę sukcesji puścił na zielonych stolikach.

jeden magnat węgierski młody, sławny koniarz i zabawka, gorącej krwi, ekscentryk, zawsze gotowy do najszaleńszych zakładów i niemożliwych wybryków, którymi świat się zajmował dziwiąc a gazety pisząc o nich -; - stary ex-bankier, zajęty teraz więcej grą zakulisami niż giełdową, i t. p.
Włoch, który spodziewał się dnia tego nauczyć czegoś zbliżając się poufalej do amerykanina, mocno się zawiódł. Znalazł go zapiętym, milczącym, może mniej jeszcze zrozumiałym, niż gdy go widywał zdaleka. - Z rozmowy domyślał się tylko że czasami grubo tu grywano, do późna. Była to pewna wskazówka - lecz z gry tej nigdy nic nie wyszło. nie skarżył się nikt, nie słychać było o wielkich przegranych.
Umyślnie czy przypadkiem rozmowa przy końcu obiadu potrąciła jakoś o różne piękności znane w Wiedniu, wspomniano o pannie Makolich, a Borgi wyraził się o niej z wielkiem uwielbieniem i współczuciem.
Wtórował mu baron St. Foix, wyrażając ubolewanie nad jej losem i wątpliwość czy otrzymana, sama jedna potrafi pokierować sobą, zapewnić przyszłość -

Parę osób przytomnych, potwierdziło
domysł że pułkownik córce mało
co albo nic nie mógł zostawić.
Ex-bankier, który widywał Kolinę w te-
atrze i unosił się nad jej pięknością,
dodał śmiejąc się - że taka twarzyczka
sama stała za miljony, a panna
z nią wyprawki nie potrzebowała..
Dawał do zrozumienia że przystoi
ubogiej a tak zachwycającej sieroty
takową przewidzieć było.. Ton jakim
to mówił, dotknął przykro starego
Włocha, wziął obronę Koliny.
- Panienka ta, rzekł - mocno mnie
interesuje. Starałem się ją poznać
bliżej; znalazłem w niej energji
wiele i rozumu. Zdaje mi się że
nawet w opłakanem swem sieroc-
twie potrafi sobie radzić. Kobiety
mają instynkt, a pozbawionym opie-
ki ostrożność daje przewidzenie
ludzi i niebezpieczeństwa..
Baron St. Foix przerwał z równem
zajęciem.
- Liczę się także do przyjaciół i wiel-
bicieli panny Maholich; przyznaję
jej też same przymioty co hrabia,
więcej, także ostrożność czuwającą
nad ostrzyżonemi owieczkami, a że

nie mniej jednak obawiam się o nią wielce.

Młody magnat węgierski, który na wieczorze u Księżnej Matyldy widział Rolinę i był nią zachwycony jak wszyscy – odezwał się z zapałem:

– Piękność, jakiej nawet u nas w Peszcie znaleźć nie łatwo, a nasza stolica nie uboga jest w piękne twarzyczki. Zaprawdę, szkodaby było gdyby ją miał spotkać los innych nie mniej zachwycających bogiń, które prawie zawsze kończą smutnie.

W czasie tego chóru kondolencyj i pochwał, gospodarz, który Rongi nie spuszczał z oka, siedział milczący, nie mięszając się do rozmowy. Nierychło dopiero, uczuwszy że milczenie zdradzić go może, rzekł półgębkiem:

– Piękność zachwycająca!

– Ja, dodał ex-bankier, który chluby z tego szukał że wszystkie wiedeńskie piękności znał najlepiej i każdej z nich biografię mógł opowiedzieć – ja – oddawna śledzę z daleka tę panienkę. Nie ujmując jej wdziękom, brylant z pierwszej wody. Świeża jeszcze jakby dwudziestu lat nie miała. Ta, ale ma ich więcej trochę. Za życia ojca mogła się spodziewać

wydać za mąż i, zdaje mi się że
nad tem pracowała szczerze – teraz
trudniej będzie.

— Jakto, szczerze? podchwycił Bungi.
niemal urażony, ujmując się.

— Tak jest, szczerze, powtórzył uparcie
ex-bankier. obstając przy tem.
Mój przyjaciel Salomon Morimer,
on sait quelque chose. Gdyby ów
od niej szczęśliwszym jeszcze nie był,
ten pół-główek Adam już by się mo
że był z nią ożenił, bo szalenie
się rozkochał.

— A cóż by w tem ożenieniu tak nie
rozsądnego było? zapytał Bungi.
Pannie nic zarzucić nie można.

— Pardon! – zawołał stary – Kochać
się w tak pięknej kobiecie jest
rzeczą bardzo naturalną, i rozumną,
ale żenić się – szaleństwem. Nie
ma na świecie cięższego brzemie-
nia nad bardzo piękną żonę.

Amerykanin siedział jak na ża
rzących węglach. Bankier, któremu
szło o to aby dowiódł iż był ze
wszystkich najlepiej informowanym,
począł oprócz Morimera, wymie
niać innych, którym piękność Roli
ny zawracała głowy – Twierdził
ciągle, że była nadzwyczaj drażliwą
i ostrożną.

— Jest to największa potwarz dla niej – przerwał Borgi. Ostrożna, być powinna, nadto ostrożna, być nie może.

— Bez wątpienia – rozśmiał się głową potrząsając bankier – elle vise au solide. Życzę najmocniej aby celu dopięła.

Mówił to z takiem szyderstwem i lekceważeniem iż Włoch, już zniecierpliwiony, obruszył się w końcu.

— Szanowny panie, zawołał, – niepojmuję jak można tak bezlitośnie, przewidywać los przyszły jednej z istot, które na największą zasługują sympatyę. Natura dała jej oblicze idealne, kształty posągowe, rozum, który sam pan jej przyznajesz; wiesz więc że i piękna, duszę i umysł wielki zamknęła w tem arcydziele. Będzie to, spodziewam się, niewiasta która płci swej honor uczyni!

Ex-bankier począł się śmiać pokazując cały szereg bardzo brzydkich zębów; amerykanin przyglądał się spokojnie dokoła, ale twarz mu się wypogodziła.

W tem Magnat węgier, który miewał fantazye różne i szukał tylko zręcznie okazyi aby się popisać z niemi,

wtrącił nagle, iż słyszał jakoby ów śmieszny zbiór ledajakich starożytności, którym się pułkownik chlubił, a teraz dziś z niego szydzili, sprzedawać miano z licytacyi, jako jedyną ~~s~~ spuściznę po nim.

— Wiecie, panowie, co! zawołał - wszyscy ile nas tu jest mamy żywe dla sieroty współczucie, interesuje nas jej los.. Ten zbiór po ojcu jest całym jej majątkiem. Ja wnioskuję azaliż byśmy sobie dali słowo do upadłego licytować te rupiecie?

Rozśmiał się i pokrył oczyma do koła.

— Będzie to dobry uczynek i zabawka przy tem i antykwaryuszów tutejszych zbijemy z tropu, - będą myśleli że albo oni sami się znają na rzeczy albo my my poszaleli. A że nas może być spora gromadka.. antykwarze *y perdront leur latin — ou leur hebreu..*

Hrabia Giorgi pierwszy wykrzyknął. —

— *Bravo* — *bravissimo!*

Baron St. Foix nieco chłodniej (bo francuz gdy idzie o pieniądze zawsze stygnie i rozmyśla) przytakiwał także. Amerykanin podniósł kieliszek szampana i zawołał głośno.

— Piję zdrowie wnioskodawcy! —

Myśl jest szlachetna – piękna – najlepiej w ten sposób dowiedziemy sympatii dla pięknej pułkownikównej, której po ojcu pewnie mało albo nic nie pozostało. Zdrowie hrabiego!!

Wszyscy pili, myśl magnata przyjmując; a ten co ją podał obowiązywał się <u>le ban et l'arrière ban</u> świeżo znajomych, na licytacją zaprosić.

Tak bytność hrabiego Borgi u Amerykanina, choć niewiele nauczyła Antocha, przyczyniła się niespodziewanie do zwiększenia szczupłego spadku Koliny.

Biesiadnicy wszyscy wzięli sobie za punkt honoru nie tylko stawić się sami, ale postanowili, równie jak węgier ściągnąć przyjaciół, zrobić z tego rzecz modną. Obiecywano nawet że księżna Matylda namówić się da do tego miłosiernego uczynku i zjawi się także ze swojem kołem.

Ponieważ Kolina o pośpiech nalegała, a Dr Hollender starał się życzeniu jej zadość uczynić, oznaczono więc termin licytacji bardzo bliski.

W początku dla zmniejszenia kosztów wnoszono aby sprzedaż odbyła się na miejscu, ~~[illegible]~~ w domu na Wallnerstrasse.

lecz pułkownikowa zgodziła się na to nieszczęśliwa. Nareszcie było to obnażyło jej położenie i ubóstwo – obawiała się oczu ciekawych, języków złośliwych. Spisano więc inwentarz naprędce, przeniesiono wszystko do największej pustej sali, którą naznaczył p. Müller dla [illegible] ustawiono tak aby się to jak najkorzystniej wydawać mogło – plakaty i dzienniki ogłosiły zawczasu dzień i godzinę.

Antykwarjusze i taxatorzy, którzy szacowali przedmioty ramionami wzruszali, przewidując że ze sprzedaży może kosztów nie pokryje, bo nadzwyczaj mała ilość starożytności była pewną wartość mająca, a resztą była lub podejrzanej autentyczności albo źle zachowana – czynił wszakże co mógł, aby zapobiedz stracie.

Jakież było zdumienie jego i licytującego, gdy o naznaczonej godzinie zaczęły się zjeżdżać powozy, wysiadali z nich ludzie gorąco się interesujący, a w końcu tłok się w sali zrobił, bo gdzie się ciekawi skupią już tam i gawiedź [illegible] musi –

Najprzemyślniejsi nawet ludzie oprzeć się nie mogą, tej sile przyciągającej którą wywiera tłum człowieka

naówczas nierozumując, ulega ja-kiemuś magnetycznemu prądowi silnej atrakcyi niezrozumiałej.

Im bardziej przeciągała się licytacja, poczęta od najbłahszych przedmiotów, osiągających ceny bajeczne, tem i licytujący się mnożyli i zapał wzrastał coraz gorętszy.

Nie oglądając nawet wystawionych na sprzedaż ~~p~~ rzeczy, wywoływano podwójną i potrójną cenę; spierano się zajadle o skorupki, o stare sprzączki — o rzeczy śmiesznie ponazywane — i samozwańczo pochrzczone. Co dziwniejsza — zapał ten dotrwał do końca, powtórzył się nazajutrz i nie ostygł dnia trzeciego. Prześcigano się w przepłacaniu.

Sprzedaż nad wszelkie spodziewanie, przeciw zdrowemu rozumowi — jak powiadał taxator, — uczyniła składkowo sumę zdumiewającą.

Płacono po tyle guldenów, że co kilka centów było warte. Obok innych amerykanin się tu odznaczał, magnat dokazywał szaleństw, inni przyjaciele pułkownikównej niedali się prześcignąć.

Taxatorowi oczy otworzyło i dało wkońcu wiele do myślenia, że —

ły, że połowy tych drogocennych staro-
żytności nikt nie brał i nie zasa-
pał się o nie zapłaciwszy.
Dr. Hollender który pilno śledził
przebieg całej sprzedaży, natychmiast
ją zlikwidował, uradowany i zdumio-
ny wypadkiem. ~~..~~ Ostatniego dnia
pośpieszył wieczorem do Roliny, która
właśnie dawny salon, dziwacznie przez
ojca przybrany, ogołocony teraz, na
nowo starała się urządzić i znajdo=
wała go strasznie pustym.
— Przychodzę choć późno, odezwał się
Hollender, ale przynoszę pani dość
dobrą nowinę i to mnie tłumaczy.
Sprzedaż zbioru po ś.p. pułkowni-
ku, poszła nam nad wszelkie prze-
widywanie szczęśliwie. Mamy z niej
po strąceniu kosztów — czysto 20.543.
guldeny.
Rolina krzyknęła z radości pla-
skając w ręce.
— A! zawołała w uniesieniu — nie-
boszczyk ojciec więc nie mylił się
znaczną wartość przypisując zbio-
rom swoim..
Twarzyczka jej spłonęła, oczy się śmiały.
Liczyła już że z tem co Marii
pozostało w rencie, miała 30.000

A w jej rozumieniu – był to majątek!
Mogła czekać – oddychała!!
Radość tę ostudził nieco prawnik dowodząc że kapitał ten nie mógł przynieść więcej, a procentując zaledwie jej zapewniał skromne pierwszych potrzeb zaspokojenie.
Nie widując się teraz tylko z konieczności z Boehmowa, która z córką razem po całych dniach w pokoju swoim siedziała zamknięta, – Rulina nie śpieszyła się wyspowiadać przed nią, ze szczęścia jakie ją spotkało, bo spadek ten cały do niej jednej należał.
Ale Balbina miała swych przyjaciół i donosicieli, bacznie śledziła wszystko i wkrótce po odejściu Dr Hollendera przyszła powinszować Rulinie.
– Lękam się tylko, dodała, żebyś sobie nie wyobraziła że z temi 30.000, a twojemi gustami i nawyknieniami możesz już niczego sobie nie skąpić. Pensyjka, jeśli ją dostaniesz, będzie bardzo mała, a te pieniądze – czy ty potrafisz utrzymać!!
– To moja rzecz! odparła dumnie Rulina.
– Tak jest, lecz życzę ci pamiętać

pamiętać o ludzie.

Nazajutrz rano pułkownikówna już uczuła konieczną potrzebę sprawienia sobie żałoby, którą nosić miała rok cały, bo ją czyniła interesującą, i nadzwyczaj była do twarzy.

To co miała, nie świeże, nie dosyć wytworne — nie starczyło jej. Zdawało się jej że przy tak szczęśliwym składzie okoliczności mogła sobie pozwolić odświeżyć garderobę, która jej była nieodzownie potrzebną.

Miała zawsze wielką słabość do wytwornego ubioru i gust, który jej wszyscy przyznawali. — W tym smutnym sieroctwie, skazana na osamotnienie czuła się zupełnie usprawiedliwioną, ulegając słabości. Była jeszcze piękniejszą — i sama myśl ją radowała.

Wszystkie swe żałobne sprawunki zwykle robiła pułkownikówna na Grabenie, w sklepie dobrego swego znajomego p. Maxa Gerlacha.

Właściciel magazynu, bardzo przyzwoity średnich lat człowiek, przystojny, uprzejmy, grzeczny (co do jego fachu należało) — był dla pięknej pułkownikówny ze szczególnemi

atencjami.
Rolina najpewniej [illegible] że on więcej kochał; z nim więc łatwiej jej było i przyjemniej targować się, wybierać i kaprysić.
Ten pan Max Gerlach, wiadomo było powszechnie, dorobił się dość znacznej fortuny z małego. Człowiek był niezmiernej punktualności, nieposzlakowanej uczciwości, słynący z tego że w handlu nie dopuszczał się najmniejszego, nawet <u>usancami</u> sankcjonowanego szalbierstwa. Dla tego kupujący płynęli do niego z zaufaniem. Surowy dla siebie i podwładnych, w obcowaniu z gośćmi był uprzejmym i miłym.
Nie myliła się Rolina, w istocie Gerlach się trochę w niej kochał, ale że była miłość cicha i milcząca, chociaż tak dojrzała że gdy się dowiedział o śmierci pułkownika, o położeniu sieroty — przyszło mu na myśl, że gdyby chciała pójść za niego, gotów by się był z nią ożenić.
Zjawienie się więc tego ideału w sklepie powitał kupiec bardzo gorąco, i począł od wyrażenia jej całego swego współczucia; przyjmując ją jako najpożądańszego z gości.

Rolinie wcale na myśl nie przychodziło, aby — mógł roić coś tak zuchwałego. Kochać się wszystkim było wolno, ale sięgać tak wysoko!...

Otwierając drzwi, których na pomiciach nie było, pułkownikówna weszła, przeprowadzana przez niego z uszanowaniem, do salonu za magazynem. Tu zwykle probowano tak zwanych konfekcyj, i Probir-mamzel zestrojona rumianym w ręku, oczekiwała na klientki. Kupiec skinął na nią aby się oddaliła. Rolina siedziała w podanym jej fotelu, a pan Gerlach rozpoczął rozmowę.

Pułkownikówna podniosła woalik, aby pięknemi oczyma oczarować, poczęła ubolewać nad gospodarzem, jego sieroctwem, opuszczeniem przy szczęściu... Nie przypuszczała jednak wcale aby skargi te mogły obmie... lic i poddać myśl — która się jej zdawała niemożliwą. Gdyby nawet kupiec był najbogatszym — zostać żoną kupca, kupcową — ona!... co musiała przykładów owych na wysokościach!!

Gospodarz starał się ją pocieszać. Po chwili jednak, pułkownikówna rzekła

już oczyma na półki. Zwróciła roz-
mowę na zabawki i to czego do niej
potrzebować mogła.
P. Gerlach słuchał z uwagą, ale nie
śpieszył jakoś ze spełnieniem jej żą-
dania. Dziwne myśli plątały mu się
po głowie.. Zapytał ją czy wie gdzie
ma pozostać i jak ~~tak~~, przyszłością
rozporządzi.
— A! przyszłość! odpowiedziała Rolina —
Któż jest jej panem i kto ją przewi-
dzieć może. Niemówmy o niej, ona na-
pełnia mnie trwogą —
Jakiś czas patrząc na nią, kupiec mil-
czał —
— Niemożecie się jej pani obawiać — rzekł
powoli. Ileż by to ludzi miało się
za szczęśliwych, gdyby się im pani po-
zwoliła tą przyszłością się z nimi po-
dzielić!
Zdziwione, zdumione oczy wlepiła w nie-
go Rolina. Milczenie jej zdawało się
go ośmielać.
(Pół żartobliwie, pół serjo — kupiec do-
dał pochylając się grzecznie.
— Niepodobna pani widywać i nie
zająć się żywo, nie uczuć dla niej
sympatji — Skazaną pani jesteś
na obudzanie w ludziach marzeń,

A który nie przyznał ich urzeczywistnienie[?] pić!!

Kalina uśmiechnęła się dziwnie, gryząc usta i poruszając główką.

— Zdaje mi się że pan przynajmniej do tych wszystkich się nie liczył[?] – przytakła[?] ironicznie.

— Niestety – śmiejąc się z uchwytnością[?] mimowolną, odparł Gerlach, jakoby nie mówiąc z własnego doświadczenia —

Zaczerwieniła się Kalina, lecz nie okazała ani zdumienia ani oburzenia, które uczuła – poruszyła głową i nie odpowiedziała nic. Gerlach poczuł że się za daleko posunął.

— Niestety! rzekł, wielkie to zuchwalstwo z mojej strony, że się do tego przyznaję. Pani patrzy wyżej i ma prawo żądać więcej niż spokojnego, niekłopotliwego życia, a ja – wzdycham do tego abym zwinąwszy handel, osiadł gdzieś w takim domku, otoczonym zielenią, daleko od zgiełku i wrzawy, która mi już się naprzykrzyła..

Tego rodzaju szczęście w kątku, w istocie wcale się nie uśmiechało Kalinie – Wydał się[?] p. Gerlach zbyt[?] grubym dla niej – Namyślała się trochę

z odpowiedzią.

— Żartujesz pan sobie ze mnie — odezwała się po przestanku. Mówmy o mojej żałobie..

Gerlach poprowadził ją do stolika, na który rzucił żądane tkaniny. — Rolina zaczęła je przeglądać i wznowiła przerwaną rozmowę.

— Pan tak spragniony jesteś spokojności? — Żądać go tylko może ktoś, co nie miał nadto, kogo ciężar, nuda, samotność nie zmęczyły śmiertelnie. Pan który miałeś spokojności życia użyć i zmęczyć się niem, — możesz westchnąć do odpoczynku — ale.. ja napatrzyłam? właśnie przeciwnie, potrzebuję ruchu, wrzawy i tego życia... — które go zmęczyło..

Gerlach słuchał i spoglądał na nią już uspokojony z pewną ciekawością i politowaniem —

— Lękam się, aby pani nie doznała zawodu, odpowiedział, gdy otrzymasz to czego pragniesz.. Wrzawa, ruch, chwilowe upojenie, szczęścia nie dają — oklaski i uwielbienia zostawiają po sobie często tylko... Szczęście, jeżeli gdzie jest, to chyba w cichym zakątku i rodzinie —

więcej mi pani –
Zarumieniona i dotknięta tą nauką moralną, Rolina niespokojnie przeglądała pokazywane jej coraz nowe ozdobne tkaniny. Rzeczywiście była niegrzeczną, czuła się obrażoną zuchwalstwem tego kupczyka. Co najprędzej starała się wybór zrobić i aby się od natrętnego wielbiciela uwolnić. Gerlach zszedł już do właściwego swemu powołaniu zajęcia, i zwykłą uprzejmością, chłodno, umiał jednak wskazywać co mogło być najwłaściwszem, najtrwalszem i najmniej kosztownem.
Ten ostatni wzgląd, ~~nie po~~ o którym wspomniał, nie przyczynił się do pojednania obrażonej panny. Naprędce dokończyła przegląd i z pośpiechem, nie żegnając Gerlacha, magazyn opuściła. W ulicy dopiero odetchnęła.
Są w życiu momenta i wypadki małego na pozór znaczenia, wielki i stanowczy wpływ wywierające na człowieka. Takiem było to owe wpół oświecone odwiedzenie się kupca pysznej Rolinie, które miało wpływ

wstrząs jej zadrżała, i wywołało
dumę.
Jakto! myślała wyniośle patrząc w ulicę —
Sądzono więc iż ona tak nizko już
upadła. taka była bez rodzin, na
rozdrożu — ona! — bez przyjaciół i bez
punktów, bez przyszłości, że lada do-
robkowicz, kupiec, mógł jej oświad-
czać, a może wyobrazić sobie iż
pierwszy okazuje taką cześć!
Z tego okropnego upadku potrzeba
się było podźwignąć!
— A! nie, stokroć, nie! mówiła idąc
spiesznie ku domowi — Ja. miała tylko
być zmuszoną zamknąć się gdzieś
w kącie — wyjść z świata, zaprzeć
życia, — siedzieć nad kołyską tego
chłopca dzieci, pilnować kuchni
i spędzać dni sam na sam z pa-
nem Gerlachem... Nie — to być
nie może.
Lepiej zginąć dobijając się wyżej niż
takiego szczęścia kosztować!
Chociaż krótko — żyć muszę! Wybić
się tam, do góry, do tych sfer niedo-
stępnych dla tłumu, odetchnąć po-
wietrzem, którem one żyją.

Samo przypuszczenie, takiej samotności we dwoje, za światem, bez widoków, bez blasku - wprowadzało ją w rozpacz. - Czuła się dosyć silną by zdobyć to co zawsze uważała za cel życia jedyny. -

Z dwojga wolała wstrętliwego amerykanina z jego miljonami, kogo kolwiek bądź, byle ją w świat prowadził i dał to czego pragnęła. -

I myśl powróciła ku temu napół narzeczonemu, którego pierścionek miała na palcu. - Więcej niż kiedy widziała konieczność korzystania z jego namiętności, wyzyskania tego szału którym oczy jego pałały. -

Z amerykaninem, kierując nim, mogła zająć świetne stanowisko w Paryżu, Londynie, gdzie chciała, bo złoto wszystkie drzwi otwiera, wszystkie drogi ściela. -

Niemiłym był jej - lecz mogła do niego nawyknąć i trzymać go zdala od siebie. -

Kogokolwiek bądź pomyślała, byle nie mieszczański ten byt który jest wegetowaniem nie życiem. -

Z tem uspokojeniem, z goryczą tą powróciła do domu.
Czekała na amerykanina..
Jeśliby on stał się niemożliwym, miała spadek po ojcu, mogła z nim przenieść się gdzie chciała, gdzie jej nie znano — i tam sta- rać się na innej stopie życie rozpo- cząć nowe..
Trzydzieści tysięcy w jej przekona- niu na lat kilka wystawniejszego życia starczyć mogły — a w ciągu nich, z jej pięknością, rozumem, zręcznością, czegóż zdobyć nie mogła!!

XII.

Wróciwszy dnia tego ze sklepu Ger- lacha na Wallnerstrasse, Rolina długo się uspokoić nie mogła. Roz- drażniona była do najwyższego stopnia. Chodziła po pokojach, ręce przyciskała do rozpalonej głowy, ocierała się wódką kolońską, rzucała się — zamyślała, zrywała się z siedzenia, próbowała odpo- cząć — zmieniała miejsca, chciała

chciało czytać i wówczas się jej cni-
ło.

Niejedno w myślach poplątanych, rozpierzchłych, ład jakiś świtać zaczął. Układały coraz śmielsze plany, — wszystkie ku jednemu skierowane celowi.

Wzbić się do góry, zająć stanowisko do którego się czuła stworzoną, — środkiem było — małżeństwo.

Była córką pułkownika, którego ród jeśli nie stary szlachecki, — był jednak uszlachconym. Miała piękność którą uznawali wszyscy, wychowanie jej dozwalało stanąć w salonach obok arystokracji, miała wolę silną, — instynkt (jak się jej zdawało) niemylny.

Mogła czekać! Lecz jeśli amerykanin ~~[illegible]~~ — odpowiedziałby jej wymaganiom, dlaczegóż by nie miała mu oddać ręki! Roztrzepany, brzydki, był zarazem oryginalnym, a miliony, o których mówił, wiele mogły zagładzić.

Oczekiwała więc na niego, z mocnem postanowieniem nieustępowania ze swych warunków, ale razem zrezygnowana na przyjęcie jego ofiary.

Namiętne przywiązanie dawało nadzieję że nim będzie kierować, zdolności umysłowe jakie by czyniły

prawdopodobniejszem.
W parę dni zjawił się on na Wallner strasse. Rolina rozprawiała się z nim otwarcie.
— Chcecie ręki mojej, odezwała się — zgadzam się na oddanie jej wam, ale pod pewnemi warunkami. Do Ameryki niemam jechać najmniejszej ochoty, ani się gdzieś zamknąć na pustyni. Musimy żyć w Wiedniu lub w Paryżu, na stopie właściwej majątkowi a moim upodobaniom odpowiedniej. — Chcę podróżować, chcę żyć w świecie, chcę używać. Jestem spragniona życia..
Amerykanin uśmiechał się wpół ironicznie, a wpół dobrodusznie, i niczemu się nie sprzeciwiał.
— Ukochana Rolino, powtarzał, chwytając jej ręce i usiłując się zbliżyć.. — na wszystko a wszystko, zgoda!! Będziesz panią moją, i mego majątku! Rozkazy twe zostaną spełnione. Ja sam świata potrzebuję i lubię go..
Oprócz tego wymagała Rolina przedewszystkiem ślubu, i świetnego wesela.. Stanęło na tem że Don Esteban miał posłać po papiery po=

potrzebne, chociaż, wzdychając doda
wał zrozpaczony, że z powodu odda
lenia dość długo czekać na nie by
dy musieli.
Poh.Willakowi probował czy by jakie
piśmienne zobowiązanie, jakiś
ślub cywilny, bodaj w Greetnagren,
nie mógł zastąpić kościelnego, ale
Kolina uważała to za szarlatanerię i groziła
zerwaniem.
Byli więc zaręczeni.
Don Esteban przychodził teraz kiedy
mu się podobało, przesiadywał godzi-
nami, wciskał się nawet do pokoju
Koliny, starał się przyzwyczaić ją
do większej poufałości - ale pułkow-
nikówna trzymała go zawsze w przy-
zwoitej odległości.
Niecierpliwiło go to mocno, ale na
miętność wzrastała.
Jednego dnia Don Esteban wpadł
do niej w bardzo złym humorze.
W takich razach oczy jego indyjskie,
zawsze dziko patrzące, nabierały
wyrazu groźnego. Często się marsz
czył, w śmiechu szczerzył zębami,
i usta jakiś kannibalski ~~wyraz~~ im
krzywiły

krzywiły się grymasem, jak gdyby kąsać chciał i szarpać.

Wpadłszy do pokoju Roliny, którą zastał nad książką, chociaż oddawna nie wiedziała co oczy jej przebiegały, Don Esteban zdjął kapelusz, rzucając go na stół, począł zacierać włosy i stanąwszy przed nią, zawołał głosem poruszonym.

— Mam wielką nieprzyjemność.

— Cóż to? strata jaka? zapytała Rolina, której zawsze pieniężne straty pierwsze na myśl przychodziły.

— A! nie! głową potrząsając, rzekł amerykanin. — Sprawa osobista, prywatna! o której nie mogę mówić szerzej, — ale nudna!

Przeszedł się po pokoju.

— Najprzykrzejszem ze wszystkiego jest — dodał, że mi może nagle z tąd wyjechać przyjdzie. Interesa są moje, lub, właściwiej mówiąc, powierzone mi, mogą tego wymagać. Nie wiem ani dnia ani godziny.

— Wyjechać byś musiał? podchwyciła wstrząsając się Rolina — ale dokąd?

Amerykanin myślał długo.

— W każdym razie — odezwał się ciszej —
jest to rzecz jeszcze niepewna i mó-
wić o tem niepotrzeba. Niech to bę-
dzie tajemnicą między nami.

— Więc — dokąd! powtórzyła Rolina
Don Esteban poruszył ramionami.

— Jak niewiem kiedy wyjadę, tak
niemogę oznaczyć dokąd!!

Oglądał się niespokojnie — przechadzał
się znowu, tarł czoło. Brwi jego
ściągły, białka wydawały się bielsze
niż zwykle, a źrenice czarniejsze,
błyskały złowrogo, niespokojnie.

Pułkownikownę strach jakiś ogar-
niał.

— Jeśli wyjedziecie z tąd — i nie bę-
dziecie mogli powrócić rychło —
więc?

Dokończyła pytającem wejrzeniem.

Amerykanin odparł krótko.

— Cóż was tu wiąże do Wiednia?
Dla wzięcia ślubu, gdy papiery
nadejdą, — możecie przyjechać do
mnie. Moglibyście i wpośród zamiesz-
kać z dzielnicy, nie jesteśmy przy-
muszeni do życia w Wiedniu.

Rolina słuchając badała go oczyma,

twarzyczka jej stawała się coraz su-
rowszą, brwi się ściągały.

— Tak — dodała z pewnym niecierpliwie-
czekać na papiery mogę i gdzie in-
dziej, lecz jeśli sądzicie że zmiana
miejsca wpłynie na moje postano-
wienie...

Don Esteban ramionami zżymnął.

— Dlaczego że chcielibyście abym się u-
dała? zapytała panna.

Ciężko jakoś przyszło się zdobyć
na jasne i stanowcze słowo Ameryka-
kaninowi, gryzł wargi, spoglądał
na nią..

— Mówiłem wam już — rzekł ociągając
się i wahając, że ludzie mi przy-
znają tajemną misję dyplomatycz-
nej.. Mogło by coś podobnego wilk-
ości, służyć mnie do asystowania
w Berlinie Kongresowi, o którym
słychać że się tam ma zebrać..

Amerykanin nie był pewnym jakie
wrażenie wspomnienie Berlina u-
czyni na Kolinie.. Miasto to nie
słynęło nigdy z przyjemności życia
i świetności, i zdawało się może
skrzywiła usłyszawszy o niem ale

czarujący

wyraz — Kongres — wywołał na lice rumieńce i uśmiech..

Czytała i słyszała wiele o świetności wiedeńskiego Kongresu, którego wspomnienie należy do tradycyj nad-dunajskiej stolicy; — o tych balach z tysiąca nocy, zabawach, widowiskach, o parterze monarchów, o znakomitościach jakie on ściągał, o roli jaką piękności grały wśród dyplomatów i głów ukoronowanych —

Fantazja jej według tego wzoru roiła już przyszły Kongres berliński — a siebie świecącą, ~~świecący~~ gwiazdą pierwszej wielkości na horyzoncie kosmopolitycznych konstellacyj, sławną, ubóstwianą, — wielbioną..

Serce jej bić zaczęło mocno..

— Do Berlina! przerwała — mam jechać do Berlina?? Na pewno??

Amerykanin zdziwił się i porywczości tej i rozradowaniu, — odrzekł nieco.

— Tak — być by to mogło — odparł lecz.

— A czemuż by być nie miało, jeśli wam to jest dogodnie? Ja — chciała

z powołaniem dotąd nie bywałą —
zastosuję się do waszego życzenia.
Don Esteban podziękował uśmiechem
zimnym.
— Dotąd jednak nie wiem jeszcze,
do czego mnie zmuszą interesa — mówiła
wahając się — nie wiem nawet kiedy
jadę. Spodziewałam się pierwej tele-
gramu mogącego zmusić do wyjazdu
w godzin kilka. Zapewne z podróży
uwiadomię was, gdzie się spotkać
będziemy mogli. Sądzę że w Berli-
nie, za nic jednak nie ręczę. —
— Jestem ciekawa i tego miasta i
Kongresu — odezwała się Kolina —
lecz na te jej słowa zadumany
Don Esteban prawie nie zwrócił
uwagi.
Po jej rozmarzonej główce snuły się
już szeregiem obrazy nowe, które
jedno słówko wywołało. — Tam w Ber
linie, nikomu nieznana zająć mo-
gła stanowisko jakie chciała! — Amery
kanin wydawał się jej mniej wyd-
kim, a przytem mniej wyglądał..
Don Esteban nie podzielał tego we-
sołego usposobienia. Przybitym był

a

przypilnowała że temu iż zmienił raz
Tuczyć się będzie zmuszony.

— Do Berlina! do Berlina! szeptała cicho pułkownikówna.

— Być bardzo może iż ja tam was wyprzedzę — począł Don Estebano. W Berlinie razie najmę dla was willę osobną w Thiergartenie, i dom urządzę tak aby waszemu gustowi odpowiadał.

Tu zaświeciły mu oczy.

— Nie było by w tem nic nadzwyczaj nagannego, gdybyś pani zajęła pierwsze piętro, a ja parter. Mieszkalibyśmy pod jednym dachem.

— Po ślubie — łacno a uparcie przerwała Rolina.

Amerykanin starał się niecierpliwości swej pohamować.

— Pani najmniejszej nie masz we mnie ufności.

— Owszem, ufam panu i sobie, odparła Rolina — ale ludziom do posądzań i obmowy pozorów dawać nie myślę.

— A zatem willa mała i dla pani jednej — trochę nadal wy pociągnie

—

amerykanin. - Niech i tak będzie!
ale pani raczej w niej mnie i mo
ich gości razem przyjmować. Spodzie
wam się sprowadzić do jej stóp cześć
przyjaciół Kongresowych znakomi
tości.
Mogłaż się oprzeć takiej pokusie pod
komornikówna? Z uśmiechem odpo-
wiedziała.
- Nic nie mam przeciwko temu.
Rozmarzyła się. Śpieszący się Amerykanin zabawił chwilkę jeszcze, i poże-
gnał ją czule bardzo. - Została sama.
Całe znowu pasmo myśli i domysłów
wysnuła z tego co jej powiedział.
Plan się jej uśmiechał, ... obawy. W tym domu, nawet przy
licznej służbie. Sama mieszkać nie
mogła, a w podróż puścić się bez o-
pieki.
Szukać opiekunki? - Lecz nie
pewna, jaką damę do towarzystwa?
Wziąć dla pośpiechu pierwszą lepszą?.
W takim razie wolała już nieznajomą
Buchmanową. - Kto wie czy ona by się
na to zgodziła.
Rotina ... że dla przyłączenia
jej musiała uczynić ofiarę, która

~~ją naj~~więcej kosztowała.

Pepi była przyznaną córką pułkownika, nosiła imię jego, nazywała się jej Giostra (co ją obrażało) - trzeba było zrobić ustępstwo z miłości własnej i tę Pepi przyjąć. Za to cierpiała, żyć z nią, pogodzić się z tem stworzeniem, które od najmłodszych lat nienawidziła jak jakieś plugastwo.

Rozważyła bacznie wszystkie skutki prawdopodobne tego kroku, aż do wrażenia jakie ta świeża, pół dziecinna twarzyczka obok niej robić mogła.

Zdaniem jej ta jakaś mdła, blada piękność, pół słowiańska, pół niemiecka, nie mogła walczyć o lepsze z jej klasycznemi rysy, greckim profilem i posągowemi kształty. Co najwięcej mogła stanowić kontrast i podnieść jeszcze swą prozą idealność jej rysów, czystość rysunku, styl całej postaci.

A przytem Pepi była dzieckiem nieśmiałem, nieszczęsnem, zahukanem, i należała do tej kategoryi istot biernych, słabych, które budzą współczucie, ale gwałtownych namiętności zapalić nie są w stanie.

Od śmierci pułkownika nie przyjeżdżały się z Lubą. Pepi z matką siedziała zamknięta, albo z nią, odbywała przechadzki. Jadały osobno.

Rolina pamiętała już dawniej sierotkę, bez imienia, pokorną, bojaźliwą, nie sądząc aby przyznanie prawa noszenia imienia Makolickow, zmienić ją mogło.

Wszakże Pepi czuła się śmielszą i chodziła z dumnie podniesioną główką, czuła się siostrą Roliny.

Ale było to dobre dziecko; z natury usposobione do kochania, do poświęcania się dla drugich. Gorąca miłość matki dla niej, wcześnie ją czułością rozbudziła. Długo się z nią kryć musiała, i to ją powiększało.

Nieboszczyk pieścił to dziecię ale potajemnie, a tak się obawiał Roliny, iż za życia ~~do~~ do przyznania jej praw mówić nie śmiał.

Pepi dla uniknienia nieznośnego przez Rolinę prześladowania w domu, oddaną była na pensję. Szczęśliwy traf dał jej w naczelniczce zakładu opiekunkę, troskliwą, kochającą, która się do sierotki przywiązała i piel-

pieściła ją.
W tej atmosferze cieplej, wśród uścis-
ków i macierzyńskiego czuwania,
wychowała się Pepi, na istotę, która
ze zgrozą spoglądała dotąd na Koli-
nę, jak na wyjątkowo nieszczęśli-
wą tę przyjaciółkę, której kochać nie
umiała.
Urodzenie, wychowanie, pierwsze
lata w domu spędzone, potem na
pensji. ukradkowe widywanie się
z matką i pułkownikiem — uczyni-
ły ją wrażliwą, rozmarzoną, ser-
deczną i przywiązującą się do ty-
ch co jej najmniejsze okazali współ-
czucie.
O ile Kolia była całą fantazją
i głową, ta całą sercem i uczu-
ciem. — Kontrast ich piękności dosko-
nale malował sprzeczność tych dwu
natur, zupełnie różnych. Mogły
one pokochać się — lub znienawi-
dzić.
Są przykłady że najsprzeczniejsze
charaktery, wzajem się dopełniające,
przyciągają, ale bardzo też często od
odpychają od siebie te dwie natury.

Jak dwa prądy przeciwbiegunowe.
Boehmowa siedziała z córką w swoim pokoju i prawie zapominała o tem że Kolina jest na świecie, tak była zajęta, jakiemiś Pepi opowiadaniem; gdy z korytarza, wieczorem, dał się słyszeć głos wesoły, jasny, do którego p. Balbina, naprzykład, nie była.
— Pani Balbino!!
Od bardzo dawna w ten sposób Kolina nie powoływała jej do siebie, zwłaszcza gdy Pepi słyszeć mogła. Sama intonacja zdziwiła powołaną; która siedziała z Pepi na jednej kanapce, obejmując ją za szyję, z rozkoszą słuchając szczebiotania.
To — Pani Balbino! głosem takim spokojnym wyrzeczone, w tym domu teraz — było czemś fenomenalnem — Boehmowa zaledwie uszom wierzyć chciała. Jej. pocałowawszy córkę, zerwała się i — wbiegła za powracającą już z podedrzwi do pokoju swego Koliną.
Zastała ją z twarzą uśmiechniętą,

z wejrzeniem śmiałem jakiemś i pogodnem.

Było to cudem, bo w domu nadąsanie pięknej panny było stanem normalnym.

— Jestem — rzekła Bochmowa, ciekawie się jej przypatrując.

— Siadajże, proszę — dodała Kalina — bo mamy z sobą do pomówienia. Raz musiemy otwarcie się porozumieć i podzielić nasze obowiązki i wspólne życie uczynić — choć znośniem.

Rozstać się i dla was i dla mnie byłoby niedogodnem — sądzę, że opuścić mnie nie zechcecie?

Pytanie zdziwiło Buchmowę, popatrzyła na nią.

— Dla czego mnie o to pytacie?

— Bo, na wszelki wypadek, chcę być pewną, przyszłości — mówiła Pułkownikówna. Dałam wam do zrozumienia i — domyślacie się tego same. Także — bo wam wiele mówić nie potrzeba, że wychodzę za mąż, za —

— Don Estebana, amerykanina czy hiszpana, dokończyła Buchmowa.

Powinna powiedziała tym wam tego, mimo że mężczyzna nie ładny, gdybyśmy o nim coś więcej wiedzieli mogli nad to, że do europejczyka nie podobny.

— A! a! uśmiechnęła się pułkownikówna. Spuście się na mnie. Znasz mnie, Rabbino. Zakochana nie jestem, ani zaślepiona. Idę za niego bo ma miljony, bądź więc pewna że się obrachuję.

Rabbina skrzywiła usta, jakby nie zbyt pewna tego była.

— Jest moim narzeczonym, mówiła dalej Kolina — ale ślub musi być odłożony dla papierów których tu wymagają, a te trzeba, niewiem tam zkąd sprowadzać.

Spojrzawszy na Rabbinową, której twarz wyraz miała szyderski — Kolina dodała prędko.

— Nie bój że się o mnie, amerykanin czekać musi, a ja jestem i będę cierpliwa. Tym czasem zaś, bardzo być może iż jego interesa zmuszą, zmienić miejsce pobytu.. i on żąda a ja się na to zgadzam. Abyśmy bliżej siebie byli powiem ci otwarcie. Trochę go pilnować trzeba,

niechu, cały mi dzień wymknął. Miljony nie spotykają się tak często.
Wypadnie mi jechać – sama nie mogę.
– Tak. Ja znałam że mnie potrzebujesz – odparła zimno Wochmowa – rozumiem.
– Nie rozumiesz, wcale – podchwyciła podkomorzanka, wyciągając do niej ręce – nie rozumiesz.
Potrzebuję nie tylko ciebie ale siostry mojej Pepi, której nie myślę chować po kątach i ukrywać.
Uśmiechnęła się patrząc na Walling, jaki skutek na niej wywarła te wyrazy. Wochmowa nie mogła ukryć w pierwszej chwili swojej radości, ale natychmiast na myśl jej przyszło, na co to nowe położenie narazić może biedne, wątłe, bojaźliwe dziecię.
Uradowała się i zlękła..
– Nie obawiajcie się niczego! myśl jej odgadując powiedziała Kolina. Wszystko tam dla Pepi nie dobrego, do tego się przyznaję, ale gdy raz wola nieboszczyka ojca wskazuje mi siostry obowiązki – spełnić je potrafię.
– Idzie mi niemy jęknęła Wochmowa, że ci to chyba wiele kosztować będzie.

— Ah nie! nie! żywo podchwyciła pat-
kownikówna. Znasz mnie dobrze boś
mnie wychowała; mówiłaś zawsze że
ja nie mam serca. Ja go mam, ale
nad nim panuje głowa, — wola.
Co postanowię tego dokonam.

Podała jej rękę.

— A zatem, zawrzyjmy przymierze
wieczyste, zapomnijmy przeszłości.

Zawahawszy się nieco Wachmowa
wyciągnęła rękę i odezwała się gło-
sem wzruszonym.

— Ah! Kolinko moja! na pamięć oj-
ca, na wszystko cię zaklinam, bądź
dobra dla tego biednego dziecka!

— Będę dla niej siostrą! — niemal wołała
jej Kolina. Idź, proszę, przyszlij
ją. Przyjdę za chwilę ją uściskać,
niech się to raz skończy — tak powinno.

Podniosła się drżąca i wzruszona
Wachmowa i wyszła tak jeszcze prze-
jęta tem co ją spotkało, że przemó-
wić do Pepi nie umiała. Chwyciła
ją w objęcia i łkając szlochać zaczęła.
Dziewczę się przestraszyło.

— Pepi moja, Pepi — zaczęła bełko-
cząc niezrozumiale. Nadeszła wielka
dla nas chwila. Kolinę natchnęło

ruszyło sumienie — chcę cię jako siostrę uszczęśliwić, chcę być dla ciebie siostrą!!

Zdziwiona, zdumiona nie zrozumiała z początku. Zdawało się jej to prawie niepodobieństwem; ale matka powtórzyła jej to, potwierdziła przyjemną nowinę.

Rumieniec wystąpił na twarz Józi; złożyła ręce, podniosłszy się z okrzykiem, z radością niewypowiedzianą ucałowała matkę, wybiegła z pokoju, i wprost wpadłszy do sypialni Koliny, rzuciła się jej na szyję rozpłakana, potem zakochana jak siostra.

Nawet oschłej, marmurowej Koliny serce uderzyło. Uścisk ten tak gorący przejął ją.

W milczeniu ucałowała dziewczę i przycisnęła do siebie.

— Zapomnijmy przeszłości, [illegible] będę dla ciebie starszą siostrą, dobrą siostrą, — postaram się abyś kochać mnie mogła.

Niespokojna Kochmanowa, która wślad za córką podążyła — przyglądała

aby być świadkiem pojednania. Wkrótce po tem chwilowem wzruszeniu, całkiem już będąc panią siebie, Rolina umiała w tę pierwszą chwilę wlać ze swej strony tyle czułości – ściśle wymierzonej wedle potrzeby że Pepi oczarowała. Była razem poważna, i serdeczna. Z wdzięczności dla niej dziewczę przeszło w zachwyt i uwielbienie. Jedynem jej pragnieniem teraz było stać się tak dobrą, pokorną, posłuszną, aby starościanka nigdy nie pożałowała uczynionej ofiary.

Wieczór zszedł na porozumieniu się wzajemnem, a Pepi pokładając się spać tak rozmarzona i szczęśliwa jak może nigdy w życiu nie była.

Buskowa wdzięczna również, rozczulona, była pomimo to smutną i zamyślona. Znała nadto dobrze swą wychowanicę, aby ten jej heroizm czemu innemu jak własnemu interesowi przypisać mogła. Zawsze jednak i one coś na tem zyskiwały, a zgoda i pokój były rzeczą tak słodką!

Rolina zostawszy sama zadumała się trochę, ale na nowo rozbierając co uczyniła, oceniła swe postępowanie jako rozumne.. Inaczej nie wypadało zrobić.

Nazajutrz przybywający amerykanin, osłupiał niemal znajdując w salonie piękną, młodzieniutką panienkę, którą mu Rolina zaprezentowała jako swą przyrodnią siostrę. Może niekoniecznie rad jej był, bo świadek ten w salonie nie dozwalał mu być tak poufałym jak chciał.. Ale Pepi zaledwie słów kilka powiedziawszy a zarumieniwszy się za każdem z nich, wyszła wkrótce i samych ich zostawiła.

Widywała ona z daleka amerykanina, — teraz zbliska mu się przypatrzywszy, matce szepnęła na ucho.

— A! mamuniu! jakiż on okropny.. ten.. przybyły z zagranicy!

Uśmiechnowa się rozśmiała lekko..

Don Esteban i tego dnia jeszcze chodził nie swój, zakłopotany i jakby ciężarem jakimś zgnieciony.

nił słowkami potwierdzał prawdopo-
dobieństwo mojego wyjazdu – i wy-
bór Berlina, jako miejsca gdzie się
z sobą zjechać mieli.
Rolina, nie wiele się rozumiejąca
na polityce, spytała go jednak
naiwnie, jakie interesa mogła
mieć Ameryka na zjeździe spra-
wom wschodnim poświęconym, do
którego ona mieszać się nie miała
prawa.
Zarzut ten amerykanina prawie
rozgniewał, a przynajmniej mocno
zniecierpliwił. Stał jakiś czas czer-
wieniąc się i zżymając.
– Przepraszam cię, mówił w końcu – na
tych sprawach mało kto się rozu-
mie i jest wcale utajemniczony. –
Doktryna Monroë, zastosowana ab-
solutnie do nas ukrywać się nie mo-
że. – Nie chcemy być bezczynnemi
spektatorami tego co się dzieje na
drugiej półkuli.
Każdy inny nie Rolina, poznałby
że amerykanin powtarzał rzecz
słyszaną gdzieś i pokręconą; ona,
która w życiu nigdy nie spotkała się

z doktryną Monroë - zamilkła.

W ciągu dalszej rozmowy don Esteban oświadczył że wyjazd jego może bardzo niespodziewanie i spiesznie nastąpić.

Już miał odchodzić, dając słówko o-zrobić niespokojności, gdy od drzwi zwrócił się jeszcze po namyśle do Koli-nyi.

— Mam papiery ważne i różne dokumentów nieco, których bym z sobą w pośpiechu, podróży zabierać nie życzył. Wszakże mógłbym je tu zostawić bezpiecznie.. a odebrałbym je gdy się spotkamy.. w Berlinie lub..

— W Berlinie, w Berlinie - podchwyciła pułkownikówna, która życzyła sobie być na Kongresie - Będę strzegła powierzonych mi skarbów, jak smok w bajce..

Amerykanin widocznie dbał o to co mówił, ale musiał dokończyć i poufale szeptał.

— Są to takie okoliczności, których ja teraz wytłumaczyć nie mogę, ale proszę aby nikt o depozycie nie wiedział.. Nawet gdyby - czego się nie spodziewam, miał ktoś dopytywać.. proszę o zostanie tajemnicy.

wszystko zdziwiło świata Kolino-
ale uspokajające odpowiedziała.
— Depozyt jako moją własność złożę
u P. Hollendra. Tam będzie bezpiecz-
nym aż do wyjazdu mojego.

Gdy po wyjściu Amerykanina zosta-
ła sama, i rozważać poczęła każde
słowo swego narzeczonego, zachmurzyła
się nieco.

Tajemnice te, ostrożności, skrywania
nie podobały się jej. Don Esteban
w jej oczach nabierał podejrzanego
charakteru. W tym świecie do kli-
nego ona się uzbić pragnęła. Tajem-
nic nie lubiła..

Amerykanin znowu obawę w niej
budził. jego poślanniectwo, pośpiech
nagłego wyjazdu, ukrywanie kosz-
towności i papierów dowodzą do my-
ślenia.

Ach! jakże jej żal teraz było Bro-
nicza, do którego zawsze zwraca-
ła się z ufnością z ser-
cem tak otwartem, z taką miłością
prawdy.. Pomimo sceny przy roz-
staniu myśl wracała do niego, tęsk-
niła gdy ich obu porów-
nywała.

~~N~~ Wszystkich przebiegała po kolei.
Nawet poeta Adam, nie obudzał
w niej tego co Kunicz uczucia, boć
całem była poetyczna, w której swą
miłość ubierał — na chwilę do jej fan-
tazji przemawiała. Ale z nim
zawieszona między niebem a zie-
mią, w obłokach, długo pozostać
nie mogła. Adama przecie, i
Stacha i kogokolwiek bądź byłaby
wolała nad tajemniczego milionera,
który także obawę i wstręt obudzał.
Myśląc o nim dreszcz ją przejmo-
wał.
Lecz z nim tylko i jego miljonami
dostać się mogła do upragnionych
sfer jasnych.
Sądziła że nawyknienie zwolna
lżejszym go uczyni i przekonywała się że
przeciwnie, bliżej poznając, coraz
większy wstręt dlań czuła.
Ile razy nachylony i namiętny nawet
czuły zbliżył się do niej i całował
jej ręce, dotknął czoła, Rolina nie-
znacznie ocierała je, unikała,
doznając jakiegoś obrzydzenia, jakby
od dotknięcia gadu.

były to symptomata groźne, które każdej innej kobiety skłoniłyby do zerwania z człowiekiem mającym z nią być złączonym na wieki. Rolina ofiary tej, uznawała konieczną — celem był dla niej wszystkiem.

Los mój związany do tego, mówiła sobie. Po ślubie będę panią, nie dam mu się zamordowywać temi czułościami obrzydliwemi.

Im namiętniejszym okazywał się Don Esteban, a był nim do najwyższego stopnia i namiętność jego coś w sobie zwierzęcego miała, tem Rolina wstręt większy czuła.

Usiłowała się przezwyciężyć napróżno. Dawniej — widok tylko Stacha, zbliżenie się do niego, czyniło na niej wrażenie błogie; choć na bardzo krótko, wzruszoną była. Chłód jej ustąpił się w marzeniu jedynem.. Czułości Don Estebana gniew w niej tylko wywoływały i wstręty.

Aby zapomnieć o tych udręczeniach, z któremi się nawet przed Rochowną wyspowiadać nie mogła; Rolina zajmowała się siostrą, wybiegała

z nią na przechadzki, szukała roz-
rywek, ale wszystko to niepokoju
poczucia czarnych myśli rozproszyć
nie mogło.

Na swój wiek, na położenie swe puł-
kownikówna miała wiele energii, in-
stynktu, przebiegłości, rozumu, na jednej
władzy zbywało jej — jeśli władzą na-
zwać ją można — na cierpliwości. —
Myśl każdą usiłowała gwałtownie, szyb-
ko, jednym ciągiem doprowadzić do
końca, — nie licząc na czas i nie po-
siłkując się jego współpracownictwem.
Po części gorączka młodości, — a po trosze
bezwiedne poczucie własnej słaboś-
ci, pędziło ją tak bez tchu do celu.
Tylko bardzo silne organizmy mają
potęgę tę — wyczekiwania i zamyka-
nia się w sobie, — słabsze zawsze zdra-
dzają się gwałtownością, zbyt pośpiech-
nym biegiem i porywczością, w czynie.
Taką była i Kolina, a ludzie po-
wierzchownie sądzący, tak samo jak
fantazje jej brali za oryginalność,
żywość też i pośpiech nazywali ener-
gią.

Po ostatniej swej bytności parę dni

Nie ukazał się Don Esteban na Wallnerstrasse, niepokój owładnął Roliną. Chciała już posłać do niego, dowiedzieć się co się z nim stało, i Kalbina ledwie jej to odradzić mogła. Niecierpliwiła się, żżymała. Ostatniego dnia wieczór, niemożna było jej uspokoić, gdy dosyć późno już, u drzwi zadzwoniono.

Było już po dziesiątej. Rolina zdziwiła się widząc o tej porze wchodzącego amerykanina, zmięszanego, z twarzą wystraszoną, zmienioną, jaką czasem widywała u niego gdy był bardzo rozdrażniony. Sam ubiór jego mógł uderzać jako niezwyczajny. ~~[illegible]~~ Odziany był jak do podróży, małej torebki którą miał na sobie, nie zrzucił, wszedł z nią do pokoju.

Pośpiesznym krokiem, jakby się lękał pogoni, nasłuchując, rzucając oczyma do koła wtargnął do salonu. — w ręku niósł pudełko dosyć spore, ozdobne, okute misternie, które natychmiast postawił na ziemi.

— Stało się, com przewidywał — zawołał

trząc włosy. Jestem zmęczonym i o-
chrypłym – muszę natychmiast je-
chać – natychmiast! – Składam do
rąk jej depozyt, o którym mówiłem,
(wskazał na pudełko) – ale nikt o
tem nie ma wiedzieć! Są w niem
papiery bardzo ważne i kosztowności.

– Możesz o nie być spokojnym – ode-
zwała się Rolina.

Amerykanin ciągnął dalej –

– Jeżeli pani je zechcesz złożyć u
tego notarjusza czy adwokata, o
którym wspominałaś, proszę je ka-
zać otworzyć, obić, aby nie było tak
znacznem. – Widywano je u mnie,
a nie chcę, aby wiedziano gdzie zło-
żone zostało. Idzie mi o to.

Mówił prędko, słowy przerywanemi,
które go dławiły; uchwycił rękę
Roliny, zaczął ją całować namięt-
nie, zbliżył się, przycisnął ją do
piersi. – Musiała tę napaść nieco
pohamować kobieta gwałtowna.

Zdawał się napół obłąkanym.

Siadł potem na chwilę, opierając czo-
ło, oddychając ciężko.

W kamienicy zadzwonił ktoś na
drugiem piętrze, Don Esteban posły-
szawszy dzwonek, zerwał się przera-
żony.

Rolina spoglądała nań. Sama też przelękła i nieprzyjemnie zdziwiona. Mógłże się on obawiać czego??
Była w tem tajemnica, której duma jej nie znosiła.
W tem Don Esteban spojrzawszy na zegarek zaczął się żegnać.
– Polecam pani depozyt, – rzekł już w progu. Odprowadziła go do drzwi, zniknął.–
Wkrótce potem turkot powozu oznajmił że odjechał.
Powróciwszy do salonu, pomimo nieprzyjemnego wrażenia, jakiego doznała, Rolina ciekawa pobiegła do tajemniczej szkatułki.
Była tak ciężka że zaledwie udźwignąć ją mogła, i oburącz musiała nieść do swego pokoju – Kuferek, angielskiego wyrobu, który okryty bronzami okuty, był tak misternie zamknięty, iż ani zamka ani miejsca w którem się on mógł znajdować nie można było odgadnąć – wyglądał ozdobnie. Rolina zamknęła go w swej szafie.
Następnie dała miarę, aby jej drewniane na niego zrobiono pudełko, i chciała się co prędzej pozbyć niespokojnego depozytu.

Trzeciego dnia zrana z opieczętowaną szkatułeczką pojechała do Dr. Hollendra i złożywszy ją u niego, dopiero odetchnęła swobodniej.

Zobaczywszy pudełko tak starannie a niezgrabnie, po kobiecemu oszurowane i opieczętowane, adwokat śmiać się począł.

— Widzę, rzekł, że pani musiała się przelęknąć tego co pewnie czytała w dziennikach—?

— Tak! ale od kilku dni nie czytałam gazet. Cóż w nich było? zapytała Kolina. Ja zwykle nawet szukam w nich tylko co w teatrach grają i gdzie można posłyszeć muzykę.

— Sądziłem że pani dowiedziała się o wypadku który cały Wiedeń zajmuje — rzekł Hollender. Jednego dnia popełniono dwie ogromne i nadzwyczaj zuchwałe kradzieże, możnaby powiedzieć rabunki, ale do nich nie siłą tylko oszustwem się posłużono.

— Gdzie? jakie?

— U bankiera N. — na Grabenie, za fałszywym wekslem ~~Rothsch~~ z Londynu, pochwycił jakiś oszust półtora kroć sto tysięcy guldenów, i tegoż

tegoż samego dnia u jubilera na Ringu, nadzwyczaj zręcznie wyłudzono kosztowny naszyjnik brylantowy ze szmaragdami, ceniony na kilkadziesiąt tysięcy. Prawdopodobnie obie te sprawki są dziełem jednego człowieka.

Policja, telegrafy, wszystko w ruchu... ale ma śladu.

— O niczem dotąd nie słyszałam, odpowiedziała spokojnie Rolina — ale my same nie szukamy, ja często wychodzę z sepi, stara sługa niebardzo rozgarnięta — a to mój majątek cały..

— Ma pani słuszność, rzekł Dr. Hollender, u mnie przynajmniej jest kassa zamczysta.. i zawsze ktoś zostaje w domu na straży.

— Proszę pana — dodała Rolina — o moim depozycie, niech nikt nie wie...

Doktor piszący kwit uśmiechnął się.

— Będzie pani spokojna, adwokat jest jak spowiednik obowiązany do tajemnicy.

Rolina wróciła do domu, czując jakby jej wielki ciężar spadł z ramion.

Czekała na list od amerykanina, który przyrzekł jéj pisać wprędce, ale tygodni kilka upłynęło, a nie dał o sobie żadnéj wiadomości.

Karteczka nakreślona pośpiesznie przyszła wreście z Paryża, po niéj druga podobna z Londynu, a po nich nastąpiło długie milczenie.

Na obu tych biletach Don Esteban Corcero-prolados, podpisywał się nazwiskiem przybranem — jakiegoś para Etienne de Mauriène. Dla czego zmienił i ukrywał swoje własne? — pułkownikówna się odgadując przypisywać musiała téj polityce i dyplomatycznym tajemnicom, których nic a nic nie rozumiała.

Po nowéj przerwie w korespondencyi, coraz bardziéj niespokojnéj, pan de Mauriène w krótkim liście z Hamburga, doniósł nareście że w krótce spodziewa się przenieść do Berlina; że naprzód albo sam lub przez przyjaciela wszystko tam każe przygotować na przyjęcie Roliny, którą prosił o gotowość do podróży, gdyż wielce był za nią stęskniony.

Wiadomość ta poruszyła mocno pułkownikównę.

Nudziło ją już oczekiwanie i samot-
ność zaledwie przerywana, ojcows-
kiemi odwiedzinami starego hrabie
go Bongi, lub zalotnego a dużej
nadziei barona St. Foix.

Młodej Księżniczko widywała tylko zda-
leka, jak cień chodzące za nią, a
zbliżyć się nieśmiejące i takie smutne
a nieszczęśliwe! Adama Mortimera
nie ~~[illegible]~~ spotkała prawie, nie wie
działa co się z nim działo.

Po odebraniu listu, myślami już
była cała w Berlinie.

Mieszkanie zostało wymówione,
meble tak jak sprzedane, kufry
na pół popakowane czekały tylko
hasła, które lada chwila nadejść mo
gło.

Rolina śledziła z zajęciem i czyta
ła, o wielkim mającym się w Berli
nie odbywać Kongresie.

Na ostatek list, na który z takiem
upragnieniem oczekiwano, nadszedł
dnia jednego, oznajmujący że na
imię panny Roliny von Makolich,
najęta villa Agnese w Thiergar-
tenie czekała.

Amerykanin, którego poprzedzające
listy były krótkie, popisywane,

nie jasne, ostatki pisał wesoło i
w dalekiem [illegible] usposobienia.
Mieściły się też w niem czułości do
Lyi pierwotnym sposobem i nie bar-
dzo delikatnie wystylizowane, tak
że Kolina odczytawszy je z rumień-
cem na twarzy, z Balbiną się niemi
podzielić nie mogła.
Pani Boehm, dość ciekawa nieznanej
stolicy, o której słyszała wiele, Sepi
po dziecinnemu cieszącą się podró-
żą — wszyscy pospiesznie rzucili się
pakować .. w drogę! w drogę!
W wigilję wyjazdu Kolina pojechała
do Dr. Hollendra dla odebrania
depozytu, a naraz jadły kufry, ku-
wotki, paczki, torby i nieskończona
ilość drobnych rzeczy, które zdawały
się niezbędnie potrzebnemi, — jechały
na kolej.
Pułkownikówna inaczej jak pierwszą
klasą jechać nie mogła. — Osobista
interwencja jej czarnych oczów potra-
fiła u naczelnika stacji wyrobić o-
sobne kupe, w którem wszystkie trzy
spodziewały się, nie wysiadając doje-
chać aż do Berlina.
W chwili wsiadania na peronie

